



10 marca br. do grona doktorów honorowych Uniwersytetu Opolskiego dołączyli prof. Jan Miodek i Jerzy Janicki

W numerze m.in.: Frysztański, Gajos, Goczół, Gutorow, Kaczorowski, Kaniasty, Kozera, Kurek, Nicieja, Nijakowski, Ołdak, Pichurski, Piekorz, Podsiadło, Wierciński, Wyczółkowska, Wyderka

W trójkę różniej



Doktorzy honorowi UO – prof. Jan Miodek i Jerzy Janicki.

Profesorowi Miodekowi (zdjęcie u góry) towarzyszą: **prof. Bogusław Wyderka** i **prof. Jerzy Bralczyk** (z prawej). Jerzemu Janickiemu – **prof. Władysław Bonusiak** i **prof. Czesław Osękowski** (z prawej).

Fot. Tadeusz Parcej



Indeks. Pismo UO

Wydawca: Uniwersytet Opolski, 45-040 Opole, pl. Kopernika 11, Collegium Maius, pok. 217, tel. 541-60-17, e-mail: indeks@uni.opole.pl, www.indeks.uni.opole.pl, Zespół redakcyjny: Barbara Stankiewicz-Buchowska (redaktor naczelna), Beata Zaremba-Lekki.

Zdjęcia: Jerzy Mokrzycki, Tadeusz Parcej,
Skład: Henryk Kobiela, Druk: Drukarnia św. Krzyża.

Spis treści

Kronika uniwersytecka	3
Jerzy Janicki i prof. Jan Miodek doktorami h.c. UO	7
Laudacja prof. Stanisława S. Nicieji	13
Wystąpienie Jerzego Janickiego	17
Laudacja prof. Bogusława Wyderki	19
Wystąpienie prof. Jana Miodka	23
Goście UO: Leszek Mazan i Mieczysław Czuma	26
Rozmowa z dr. Andrzejem Kurkiem	28
Dwa porozumienia (Mariusz Patelski) ..	33
Rozmowa z prof. Krzysztofem Kaniastym	35
O sprawiedliwości społecznej (Krzysztof Frysztacki)	39

Dodatek literacko-artystyczny

Wit Pichurski – galeria rzeźby	I
Jan Goczoł – wiersze	II
Jacek Gutorow o książce Ireny Wyczółkowskiej	III
Jacek Podsiadło – <i>Historyjki</i>	IV
Rozmowa z Leszkiem Ołdakiem	V
Galeria opolskiej „Zachęty”	X
Jacek Getner – <i>Samobójca</i>	XIII
Irena Wyczółkowska – O fotografiach Grzegorza Gajosa	XIV
Rozmowa z Magdaleną Piekorz	XVI
Wacław Panek o <i>Dramma per Musica</i>	XIX
Przemysław Rostropowicz – wiersze	XX
Felieton Adama Wiercińskiego	XXI
Odeszli: Jerzy Karecki	XXII

Brzeżany – część II (Stanisław S. Nicieja)	45
Kamieniołom na Górze św. Anny (Krzysztof Spalek)	50
Rozmowa z Zuzanną Śliwą	52
„Dyskurs” – pismo politologiczne	56
„Moja fizyka” na serwerze UO	56
Opolskie dinozaury idą do szkoły	57
Opole. 150 lat fotografii (Halina Nicieja)	58
Lucjan Kydryński w Opolu	62
Prof. W. Czaplński (Włodzimierz Kaczorowski)	63
Prof. E. Hornowa (Elżbieta Trela-Mazur)	65
Odeszli: R. Hładko (Lech Nijakowski) ..	67
Odeszli: Zdzisława Błażkowska	70
Irena Bączkowska (Adam Wierciński) ..	72
Nadzieja w młodych (fragment tekstu Barbary Skargi)	73
Cytaty z importu (fragment wywiadu z prof. Adamem Suchońskim) ..	74
Do-Mnie-Mania (Bartłomiej Kozera) ..	76
Zamoyscy w dziejach Polski	78
Z prac Senatu UO	80
Zapowiedzi wydawnicze (Adam Wierciński)	83
Nowości wydawnicze	84

Kronika uniwersytecka

- **24–27 listopada 2005.** Z wizytą na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Wileńskiego w Kownie gościli: pełnomocnik dziekana Wydziału Ekonomicznego UO ds. współpracy zagranicznej prof. UO Joost Platje oraz Bartosz Fortuński. Spotkanie dotyczyło planów współpracy obu wydziałów – m.in. wymiany studentów i współpracy naukowej.
- **12–13 grudnia.** W Kamieniu Śląskim odbyła się międzynarodowa konferencja naukowa pt.: *Prawno-administracyjne regulacje samorządności i zarządzania państwem w Unii Europejskiej*. Organizatorem konferencji był Międzywydziałowy Instytut Prawa i Administracji UO we współpracy z m.in.: Uniwersytetem Wrocławskim, Uniwersytetem Technicznym w Cottbus, Tauryńskim Narodowym Uniwersytetem w Symferopolu i

Państwowym Uniwersytetem w Brześciu.

- **14 grudnia.** W Sali Plafonowej Collegium Maius UO odbyło się spotkanie pt. *Uniwersytet w mieście (co Uniwersytet ma z Opolą?)*. W dyskusji wzięli udział m.in. **dr Danuta Berlińska**, **dr Jan Trzos**, **dr Alfred Wolny**.
- **15 grudnia.** Duszpasterstwo Akademickie „Resurrexit” było organizatorem spotkania (pt. *Nie potrzebuję psychologa – modłę się!*) z Tomaszem Adamkiem, mistrzem świata w boksie zawodowym, Znaczący prawa finansowego z Międzywydziałowego Instytutu Prawa i Administracji zorganizowali ósme już spotkanie dla osób zainteresowanych prawem finansowym. Uczestnicy panelu, który odbył się w sali konferencyjnej Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego wysłuchali referatu Tomasza Zborzyńskiego, sędzie-

go WSA w Opolu nt. *Postępowanie podatkowe a postępowanie o stwierdzenie nadpłaty*.

W Auli Błękitnej Collegium Maius odbyło się spotkanie dotyczące twórczości Biljany Srbljanović i współczesnego dramatu serbskiego, zorganizowane przez studentów specjalizacji serbsko-chorwackiej i Koło Naukowe Teatrológów. W Teatrze im. Jana Kochanowskiego odbył się spektakl Marka Fiedora pt. „Sytuacje rodzinne”.

- **16 grudnia.** Gościem spotkania zorganizowanego przez Polskie Towarzystwo Ekonomiczne w Opolu oraz Wydział Ekonomiczny UO – w ramach seminarium z cyklu „Opolskie spotkania ekonomistów” – był prof. dr hab. Marian Noga, członek Rady Polityki Pieniężnej, były senator, członek wielu prestiżowych organizacji. Prof. M. Noga wygłosił wykład pt. *Polityka monetarna Polski w latach 2004–2005*. Prorektor UO dr hab. Marek Masnyk wziął udział w posiedzeniu Uniwersyteckiej Komisji Akredytacyjnej w Ciężeniu koło Słupcy.

- **20 grudnia.** W auli Wydziału Ekonomicznego odbyła się uroczystość wręczenia dyplomów ukończenia studiów i indeksów dla studentów rozpoczynających studia.

- **7 stycznia.** W Collegium Maius UO odbył się pokaz filmów dokumentalnych Magdaleny Piekorz (Grand Prix XXIX Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych Gdynia 2004 za film „Pręgi”), zorganizowany przez studentów III roku zaocznego kulturoznawstwa, połączony ze spotkaniem z reżyserką. Wywiad z Magdaleną Piekorz na str. XVI.



16 XII 2005. Od lewej stoją: prof. dr hab. Janusz Słodczyk, prof. dr hab. Marian Noga z żoną (czwarta z lewej), Alina Jakubowska, prof. dr hab. Zbigniew Mikołajewicz



20 XII 2005. Uroczystość wręczenia dyplomów ukończenia studiów i indeksów dla studentów rozpoczynających studia na Wydziale Ekonomicznym UO.

- **11 stycznia.** Wykład pt: *Impresje Weneckie – relacja z 51. Biennale Sztuki w Wenecji* wygłosiła w Galerii Sztuki Współczesnej dr Aleksandra Janik z Instytutu Sztuki UO. Spotkanie połączone było z pokazem slajdów.
- **12 stycznia.** W Sali Kapitulnej Kurii Biskupiej w Opolu odbyło się sympozjum kanonistyczne i okolicznościowe spotkanie pracowników Biskupiego Sądu Duchownego i kanonistów opolskich, zorganizowane przez ks. dra Piotra Sadowskiego, audytora Sądu Biskupiego i wykładowcę łaciny oraz prawa rzymskiego w Międzywydziałowym Instytucie Prawa i Administracji UO, przy pomocy dra Andrzeja Szymańskiego, świeckiego kanonisty, pracownika MIPiA. W trakcie sympozjum ks. dr Henryk Pawluk wygłosił referat pt. *Psychiczna niezdolność do podjęcia i wypełnienia istotnych obowiązków małżeńskich – kan. 1095 nr 3 KPK*; ks. dr Józef Kobylka – *Koncepcja małżeństwa w katolicyzmie, prawosławiu i protestantyzmie*; dr Andrzej Szymański – *Adwokatura kościelna wyrazem realizacji praw*

człowieka; ks. dr Piotr Sadowski – *Casus Pellegrini contra Italiam – wyzwaniem dla sądownictwa kościelnego*.

- **17 stycznia.** W Muzeum Diecezjalnym w Opolu odbyła się promocja książek dr Ewy Wólkiewicz z Instytutu Historii UO – *Kapituła kolegiacka św. Mikołaja w Otmuchowie* i *Kapituła*

kolegiacka św. Bartłomieja w Głogówku.

- **18 stycznia.** W Sali Plafonowej Collegium Maius z inicjatywy profesorów Bartłomieja Kozery i Michała Lisa odbyło się seminarium pt. *Student na uniwersytecie i w mieście*.

W Bibliotece Głównej odbyło się spotkanie z redaktorami *Mieczysławem Czumą* i *Leszkiem Mazanem* w ramach „Złotej Serii Wykładów”. Więcej na str. 26.

W Galerii Sztuki Współczesnej w Opolu wykład pt. *Sztuka po końcu sztuki* wygłosił prof. Grzegorz Dziamski z Uniwersytetu A. Mickiewicza w Poznaniu.

- **19 stycznia.** Polskie Towarzystwo Ekonomiczne – Oddział w Opolu oraz Wydział Ekonomiczny UO był organizatorem seminarium z cyklu „spotkania ekonomistów”. Gościem spotkania był prof. zw. dr hab. Jerzy Hausner, który wygłosił wykład pt: *Suwerenna myśl strategiczna a narodowy plan rozwoju na lata 2007–2013*.

- **20 stycznia.** Prorektor UO dr hab. Marek Masnyk, prof. UO uczestniczył w posiedzeniu Uniwersyteckiej Komisji Akredytacyjnej na Uniwersytecie im. A.



7 I 2006. Magdalena Piekorz w towarzystwie piosenkarza Jarosława Wasika i rektora UO prof. dra hab. Stanisława Niciejki.



18 I 2006. Goście z Krakowa w towarzystwie gospodarzy Uniwersytetu Opolskiego. Od lewej: Wanda Matwiejczuk, dyrektor Biblioteki Głównej UO; Mieczysław Czuma oraz rektor UO prof. dr hab. Stanisław Nicieja i Leszek Mazan.

Mickiewicza w Poznaniu.

- **21 stycznia.** Gościem rektora był wicewojewoda opolski Ireneusz Dąbrowski.
- **24 stycznia.** W Auli Błękitnej prorektor UO dr hab. Marek Masnyk, prof. UO wykładem inauguracyjnym rozpoczął realizację projektu finansowanego ze środków Europejskiego

Funduszu Społecznego studia podyplomowe „Szkolny doradca zawodowy”.

- **26 stycznia.** Obradował Senat UO, na który zaproszony został wojewoda opolski Bogdan Tomaszek, wicemarszałek województwa opolskiego Józef Kotyś i Karina Bedrunka – dyrektor Departamentu Koordynacji Pro-



Wicewojewoda Ireneusz Dąbrowski w towarzystwie rektora UO prof. dra hab. Stanisława Nicieji i Henryka Kaźmirowicza, doradcy politycznego wojewody opolskiego.

gramów Operacyjnych Urzędu Marszałkowskiego. Wojewoda opolski uhonorował pracowników UO odznaczeniami państwowymi. Więcej na str. 80.

Rektor UO prof. dr hab. Stanisław Nicieja wziął udział w uroczystym spotkaniu, jakie odbyło się w Instytucie Nauk Pedagogicznych w związku z uzyskaną akredytacją.

W gmachu Collegium Maius UO odbyło się dziewiąte spotkanie Forum Prawa Finansowego. Tematem spotkania była problematyka nadpłaty podatku, którą przedstawił Grzegorz Góreczny, pracownik Izby Skarbowej w Opolu w referacie pt. *Odpowiedzialność podatkowa osób trzecich*.

- **1 lutego.** Rektor UO prof. dr hab. Stanisław Nicieja wspólnie z prorektorem UO prof. dr hab. Jerzym Lisem byli gośćmi wojewody opolskiego.
 - **7 lutego.** Gościem UO był konsul generalny Federacji Rosyjskiej Władimir P. Kuzniecowa, z którym spotkała się prorektor UO prof. dr hab. Krystyna Czaja. W spotkaniu również udział wzięli prezes Stowarzyszenia Fundacji Współpracy Polska-Wschód Eugeniusz Brudkiewicz i przedstawiciele Instytutu Filologii Wschodniosłowiańskiej UO: prof. dr hab. Wojciech Chlebda oraz dr Tomasz Wielg.
 - **8 lutego.** Rektor UO prof. dr hab. Stanisław Nicieja spotkał się z prof. Stefanem Jurgą, wiceministrem edukacji narodowej.
 - **15 lutego.** *Uniwersytet – idea a rzeczywistość*. Tak brzmiał tytuł seminarium zorganizowanego przez prof. Bartłomieja Kozere i prof. Michała Lisa w Sali Plafonowej Collegium Maius. W dyskusji wzięli udział m.in. prof. Stanisław Gajda, prof. Maria Nowakowska i ks. prof. Helmut Jan Sobeczko.
- Prorektor UO prof. dr hab. Krystyna Czaja uczestniczyła w posiedzeniu Rady Wydawniczej UO.



22 II 2006. Odznaczeni pracownicy UO w towarzystwie rektora UO prof. dra hab. Stanisława Nicieji.

- **16 lutego.** Odbyło się wspólne posiedzenie senackich komisji – ds. kadry naukowej i zatrudnienia oraz ds. organizacji i rozwoju UO. W posiedzeniu udział wzięli prorektory UO: prof. dr hab. Krystyna Czaja oraz prof. dr hab. Jerzy Lis.
- **22–23 lutego.** Rektor UO, prof. dr hab. Stanisław Nicieja uczestniczył w obchodach 60-lecia Uniwersytetu Pałackiego w Ołomuńcu. Obradował Senat UO.
- **23 lutego.** Dyrekcja Instytutu Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Opolskiego zorganizowała wykład pt.: *Ekonomia i etyka*, który wygłosił prof. dr Dariusz Aleksandrowicz (Europa Universität Viadrina Frankfurt Oder).
- **28 lutego.** Komisja ds. Tradycji i Historii Związku Polskich Spadochroniarzy i Miejska Biblioteka Publiczna w Opolu zorganizowały wystawę „Spadochroniarstwo w filatelistyce”. Zaprezentowane zostały zbiory Andrzeja Kanadysa, majora Wojska Polskiego, absolwenta WSOWZ we Wrocławiu i Akademii Pedagogicznej w Krakowie. Andrzej Kanadys spadochroniarstwo sportowe zaczął uprawiać w 1972 r. w Aeroklubie Lubelskim, jest autorem kilku publikacji filatelistycznych w

MMS „Komandos” oraz historycznych w „Spadochroniarzu”, a także sekretarzem Komisji Historycznej Związku Polskich Spadochroniarzy.

- **1 marca.** Rektor UO prof. dr hab. Stanisław Nicieja spotkał się z władzami Straży Miejskiej w Opolu: komendantem Mirosławem Banasiem i zastępcą komendanta Aleksandrą Lis-Natorską. Gościem rektora była również Róża Malik, burmistrz

Prószkowa.

- **2 marca.** Odbyło się posiedzenie Rady Bibliotecznej Uniwersytetu Opolskiego, w którym wzięła udział prorektora UO prof. dr hab. Krystyna Czaja.
- **1–3 marca.** Koło Naukowe Orientalistów Uniwersytetu Opolskiego zorganizowało II Uniwersyteckie Dni Tybetu. Z wykładem pt. *Sangha House – tybetańska wyspa w Opolu?* wystąpił Marek Witek, przewodniczący Buddyjskiego Ośrodka Diamentowej Drogi w Opolu. O antyMarixowej technologii oświetlenia z Tybetu mówił Marek Górny. Dr Karol Ślęczek z Krakowa opowiedział o filozofii buddyzmu tybetańskiego w europejskim społeczeństwie. Anastazja Miało mówiła o medycynie tybetańskiej. W holu Collegium Maius UO zaprezentowano wystawę fotograficzną pt. *Tybet bliski i daleki*.
- **2–4 marca.** Rektor UO, prof. dr hab. Stanisław Nicieja przebywał w Białowieży na zjeździe rektorów wyższych uczelni, gdzie m.in. omawiał z wiceministrem edukacji narodowej prof. Stefanem Jurgą plany rozwoju Uniwersytetu Opolskiego.



2 III 2006. Na zdjęciu od prawej: prof. Stanisław S. Nicieja, rektor UO i prof. Stefan Jurga, wiceminister edukacji narodowej.

- **5 marca.** W Muzeum Diecezjalnym w Opolu otwarto wystawę pt. *Chińskie oblicza Jezusa Chrystusa*. Wystawę zorganizował Instytut Monumenta Serica w St. Augustin k/Bonn oraz Prowincjalny Sekretariat ds. Misji Księża Werbistów.
- **9 marca.** Miejska Biblioteka Publiczna zorganizowała spotkanie z Teresą Nietykszą i Ludmiłą Małgorzatą Sobolewską pt. *Różnie o tym samym ...* Teresa Nietyksza (ur. w 1937 r.) studiowała w Wyższej Szkole

Pedagogicznej w Krakowie w latach 1956–1960. Od roku 1960 związana z Opolem. Pracowała w Wydawnictwie Instytutu Śląskiego. Debiutowała w 1959 r. Autorka tomów poetyckich: „Cień z oczu”, „Powietrzem i miłością”, „Podróż Penelopy” oraz licznych publikacji w wydaniach zbiorowych. W 2004 r. otrzymała I nagrodę w dziedzinie poezji w XX Ogólnopolskim Konkursie Literackim J. I. Kraszewskiego. Jest członkiem opolskiego Nauczycielskiego Klubu Litera-

ckiego. Ludmiła Małgorzata Sobolewska jest absolwentką Uniwersytetu Opolskiego, laureatką Złotej Buławy w ogólnopolskim konkursie literackim „O Buławę Hetmańską”. Zdobywczyni I miejsca w konkursie „Natura moich okolic” (2005). Otrzymała wyróżnienie w konkursie „Autoportret jesienny” (2005) w Krotoszynie.

Instytut Psychologii zorganizował wykład otwarty prof. Dariusza Galasińskiego pt. Świat według Becka w interakcji z BDI.

Prof. Jan Miodek i Jerzy Janicki doktorami honoris causa UO

Benefis śląsko-lwowski

W święto Uniwersytetu Opolskiego, 10 marca br., dyplomy doktorów honoris causa Uniwersytetu Opolskiego z rąk rektora UO prof. Stanisława S. Nicieji przyjęli: językoznawca prof. Jan Miodek i pisarz, scenarzysta Jerzy Janicki. Tym samym w Opolu, w wypełnionej do granic auli Wydziału Teologicznego, spotkały się dwie wielkie osobowości: wybitny pisarz, scenarzysta i dramaturg, piewca Lwowa – miasta nieustannie obecnego w jego twórczości oraz niestrudzony propagator piękna języka polskiego, podkreślający swoje silne związki ze Śląskiem.

Dzień wcześniej, w Kościele Seminaryjno-Akademickim pw. św. Jadwigi Śląskiej odbyła się uroczysta msza święta w intencji społeczności uniwersyteckiej, koncelebrowana pod przewodnictwem ks. abpa prof. dra hab. Alfonsa Nossola.

W tej uroczystości prof. Janowi Miodekowi i Jerzemu Janickiemu towarzyszyło kilkaset osób – wśród nich rektorzy i prorektorzy wielu polskich uczelni, przedstawiciele władz Wrocławia (z prezydentem tego miasta **Rafałem Dutkiewiczem**), Opolą, Tarnowskich Gór, gdzie mieszka prof. Jan Miodek (burmistrz tego miasta, **Kazimierz Szczerba**, to – jak się okazało – absolwent WSP w Opolu), opolscy parlamentarzyści, samorządowcy, muzealnicy, literaci,

dyrektorzy opolskich bibliotek i instytucji zaprzyjaźnionych z Uniwersytetem Opolskim. Był z nami jak zwykle Wielki Kanclerz Wydziału Teologicznego UO ks. abp **Alfons Nossol**, a także konsul RFN w Opolu **Rupert Vogel**. W uroczystości wzięli także udział byli rektorzy naszej uczelni, profesorowie: **Jan Serejka**, **Stanisław Kochman**, **Jerzy Pośpiech**, **Franciszek Marek** i **Józef Musielok**. Aulę Wydziału Teologicznego zapełniła też młodzież licealna z opolskich liceów nr 2 i 3, Zespołu Szkół Mechanicznych w Opolu, a także Zespołu Szkół w Dobrzeniu Wielkim.

Jerzemu Janickiemu towarzyszyli: żona **Krystyna**





Czechowicz-Janicka, prof. Hanna Niżankowska, Krystyna Grandowska, Hanna Milewska-Firganek, Zbigniew Chrzanowski, dr Tadeusz Samborski, Henryk Janas, a także prezes Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich **dr Andrzej Kamiński** i prezes opolskiego oddziału **Zdzisław Kuhl** z kilkudziesięcioosobową grupą lwowiaków oraz **Andrzej Bartkiewicz** – dyrektor TV Polonia.

Gośćmi specjalnymi Jana Miodka byli: żona **Teresa**, syn **Marcin** z żoną **Agnieszka**, **dr Romana Lobodzińska** i **prof. Władysław Dynak** – wicedyrektorzy Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego, przedstawiciele Rady Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Wrocławskiego z dziekanem **prof. Michałem Sarnowskim**, senator RP **Maria Pańczyk-Rozdziej** (absolwentka opolskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej), przyjaciele z Tarnowskich Gór – **Marian** i **Henryk Witkowscy**, **Małgorzata** i **Janusz Zacharjasiewiczowie**, **Jadwiga** i **Jerzy Osadnikowie**, a także **Aleksandra Czyżniewska**, dziennikarka Radia Opole i **Wilhelm Kulik** z Żędowic.

Recenzentami w przewodzie doktorskim Jerzego Janickiego byli: **prof. dr hab. Włodzimierz Bonusiak** z Uniwersytetu Rzeszowskiego i **prof. dr hab. Czesław Osękowski** z Uniwersytetu Zielonogórskiego. Laudatorem – **prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja**. Recenzentami w przewodzie doktorskim prof. dr. hab. Jana Miodka byli: **prof. dr hab. Jerzy Bralczyk** z Uniwersytetu Warszawskiego i **prof. dr hab. Stanisław Bąba** z Uniwersy-

tetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Laudatorem – **prof. dr hab. Bogusław Wyderka** z Uniwersytetu Opolskiego.

Sylwetkę prof. Jana Miodka przedstawiła dziekan Wydziału Filologicznego UO **dr hab. Irena Jokiel, prof. UO**, podkreślając, że dorobek naukowy honorowego doktoranta obejmuje 14 monografii, ok. 600 artykułów naukowych i popularnonaukowych oraz ok. 1800 artykułów publicystycznych. Są wśród nich m.in. książki: *Syntetyczne konstrukcje leksykalne w języku polskim* (1973), *Kultura języka w teorii i praktyce* (1983), *Rzecz o języku. Szkice o współczesnej polszczyźnie* (1983), *Odpowiednie dać rzeczy słowo. Szkice o współczesnej polszczyźnie* (1987, 1988, 1993), *Oj-*

czyzna polszczyzna (1990, 1991, 1996), *Śląska ojczyzna polszczyzna* (1991), *O języku do kamery* (1992), *Jaka jesteś polszczyzno?* (1996, 2000), *Słownik ojczyny polszczyzny* (2002). Prof. Jan Miodek jest od 1989 r. dyrektorem Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego, a od 2001 r. – kierownikiem Katedry Historii Języka Polskiego. Jest także członkiem Komitetu Językoznawstwa Polskiej Akademii Nauk i Rady Języka Polskiego PAN, częstym gościem zagranicznych uniwersytetów (Czechy, Litwa, Słowacja, Niemcy, Szwecja, Kanada), na których wygłasza wykłady.

Wśród wielu nagród, jakimi był wyróżniany (m.in. Nagroda MEN – dwukrotnie, Nagroda im. W. Korfańtego, Nagroda im. Hugona Steinhausa, warszawskich dziennikarzy) znalazły się i telewizyjne Wiktory (1991 i 1998) oraz Super-Wiktor (1999) – za ciesząc się



W uroczystości wzięli udział rektorzy wielu polskich uczelni.

ogromną popularnością wśród widzów program telewizyjny „Ojczyzna polszczyzna” i jego regionalną odmianę „Profesor Miodek odpowiada”. Jest – jak podkreśliła prof. Irena Jokiel – „wybitnym językoznawcą, znakomitym popularyzatorem wiedzy o języku polskim, krzewicielem kultury i piękna polszczyzny, uczonym o wielkiej sławie i popularności”.

Sylwetkę Jerzego Janickiego przedstawił dziekan Wydziału Historyczno-Pedagogicznego UO **dr hab. Stefan M. Grochalski, prof. UO**, przypominając zebrany, że honorowy doktorant jest autorem scenariuszy do 18 filmów fabularnych i seriali telewizyjnych – a są wśród nich tak znane, jak „Polskie drogi”, „Ballada o Januszku” czy serial telewizyjny „Dom” (scenariusz pisany wraz z Andrzejem Mularczykiem), uznany przez widzów za serial wszechczasów. To twórca kilkudziesięciu słuchowisk radiowych, tomów opowiadań, pomysłodawca i autor licznych audycji telewizyjnych i filmów o tematyce lwowskiej (m.in. „Ni ma jak Lwów” oraz trylogia – „Cały Lwów na mój głów”, „Towarzystwo weteranów... znam tych panów”, „A do Lwowa daleko, aż strach”), a także autor książek, będących wielką lwowską sagą: „Czkawka”. „Kluczyk Yale”, „Krakidały”. Jerzy Janicki, urodzony w Czortkowie, we Lwowie spędził swoje lata młodości, tam też rozpoczął swoją edukację, stamtąd – jak wielu Polaków – musiał po wojnie wyjechać. I odtąd Lwów stał się jego rajem utraconym, do którego wciąż powraca w swojej



Jerzy Janicki doktorem honoris causa Uniwersytetu Opolskiego.

twórczości. Jerzy Janicki – podkreślił prof. Marek Grochalski – „swą twórczością artystyczną udowodnił, iż prostym językiem, zrozumiałym dla każdego, można popularyzować wiedzę i przekazywać wartości całemu polskiemu społeczeństwu”.

Swoją mowę pochwalną prof. Stanisław S. Nicieja – promotor w przewodzie doktorskim Jerzego Janickiego rozpoczął od cytatu z eseju Leszka Żulińskiego: *„Każdy ma swój Eden, z którego został wypędzony. Czasem bywają to całe ludy. Wtedy mit raju utraconego przekazywany jest z pokolenia na pokolenie i chroniony jak relikwia. Bo mit ten jest pieczęcią tożsamości i łącznikiem diaspor. Wszyscy banici i wędrowcy szukają wspólnoty w kulturze. Bo tak naprawdę tylko ona jest naszym domem. Dom ten może być ogromny jak kraj, niewielki jak region, czasami mały – jak miasto. Miasto! Czy Joyce miał coś droższego ponad Dublin? Mann – ponad Lubekę? A Grass – ponad Gdańsk?”*

Przywołane przez Żulińskiego egzemplifikacje miast uruchamiających najczulsze struny pamięci, wypełnionych miłością, jakże często rajów utraconych, do których wyobraźnia ciągle powraca, by wędrować po ścieżkach młodości wspomnień, można by mnożyć. Dla Alberta Camusa był to Algier. Dla Immanuela Kanta był to Królewiec, dla Juliana Tuwima Łódź, dla Horsta Bienka Gliwice, dla Goethego małe Weimar, dla Krzysztofa Buckiego Pińczów, dla Josepha Eichendorffa małe Nysa. A dla Jerzego Janickiego jest to Lwów.



Prof. Jan Miodek z dyplomem doktora honoris causa Uniwersytetu Opolskiego.



Jerzemu Janickiemu towarzyszyli recenzenci: prof. Włodzimierz Bonusiak i prof. Czesław Osękowski.

I właśnie lwowskim śladom w twórczości Jerzego Janickiego poświęcona była spora część tej laudacji, której autor przypomniał także pierwsze próby literackie Jerzego Janickiego, przytoczył masę szczegółów dotyczących realizacji kolejnych filmów fabularnych, audycji telewizyjnych i filmów biograficznych dotyczących znanych lwowiaków, omówił także twórczość literacką Janickiego (skrót laudacji – na str. 13).

Janicki jest encyklopedystą – powiedział na zakończenie prof. Stanisław S. Nicieja – o ludziach, których spotkał w swoim życiu wie prawie wszystko... Potrafi ich biografie i czyny zmitologizować i ozdobić pięknym, dowcipnym, literackim ornamentem.

Wydaje się, że cała twórczość Janickiego zmierza do wyrwania ludzi z anonimowości, kreślenia ich artystycznych portretów, zaludniania naszej historii postaciami barwnymi, pięknymi, ważnymi, niezbędnymi, potrzebnymi.

I za tę twórczość, jej wielki ładunek edukacyjny i moralny, emanujący z niej wielki humanizm i patriotyzm jesteśmy Jerzemu Janickiemu jako społeczność uniwersytecka wdzięczni; darując najwyższe uniwersyteckie wyróżnienie – doktorat honoris causa, dajemy wyraz, iż takie wartości cenimy sobie najwyżej i pragniemy je propagować i zwracać na nie uwagę.

Prof. Bogusław Wyderka – promotor w przewodzie doktorskim prof. Jana Miodka – w swojej laudacji zwrócił uwagę na rolę wielkich postaci kultury polskiej dla rozwoju języka ojczystego, podkreślając, że „do gro-
na owych krzewicieli i miłośników polszczyzny wpisał się już na trwałe

Jan Miodek, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego”, który „stał się ikoną językoznawstwa polonistycznego, autorytetem naukowym, który nie tylko wyjaśnia zawiloci polszczyzny, ale też proponuje Polakom refleksję nad ich mową ojczystą”.

– Popularność profesora Jana Miodka jest ogromna – powiedział prof. Bogusław Wyderka. – O takiej popularności wielu współczesnych wybitnych humanistów nawet nie marzy. Jeśli za miarę rozgłosu przyjąć liczbę stron internetowych, to należy zaznaczyć, że stron z nazwiskiem Jan Miodek jedna tylko z przeglądarek wskazała około 700. Oczywiście, są to strony o różnej wartości merytorycznej czy informacyjnej. W tym przypadku istotne jest to, że różnego rodzaju instytucje, szkoły, domy

kultury poczytują sobie za zaszczyt gości profesora i fakty związane z jego pobylem skrupulatnie odnotowują w kronikach. Jednym słowem – stał się on własnością społeczną. Na jego poglądy i porady językowe powołują się dorośli i młodzież, nauczyciele i uczniowie, dziennikarze i studenci. Nie wiem, czy jest w Polsce osoba, która nie wiedziałaby, kim jest profesor Miodek. Stał się on ulubieńcem mediów, przede wszystkim telewizji, ale też w sposób mistrzowski wykorzystuje jej możliwości w dziedzinie popularyzacji wiedzy (laudacja – str. 19).

Po tych laudacjach rektor UO prof. Stanisław S. Nicieja wręczył Jerzemu Janickiemu i Janowi Miodkowi dyplomy doktorów honorowych Uniwersytetu Opolskiego.

Dziękując za tę najwyższą akademicką godność – tytuł doktora honoris causa – Jerzy Janicki przyznał, że jest ogromnie wzruszony, przy czym to wzruszenie wynika



i z faktu, że to wszystko dzieje się właśnie w Opolu. Mieście, w którym przed sześćdziesięciu laty, jako początkujący dziennikarz „Słowa Polskiego” spotkał się ze Stanisławem Wasylewskim, pisującym do „Słowa Polskiego” pod pseudonimem Tadeusz Szafraniec. *Wtedy nie zdawałem sobie sprawy – powiedział Janicki – jak ważne było to spotkanie, bo jak człowiek ma siedemnaście lat, nie ceni historii. Wasylewski przybył do Opola z Kresów, z tysiącami ludzi, którzy traktują Opolszczyznę jak port – po wypędzeniu z własnej ojczyzny.*

Wyrażając radość z faktu, że na sali jest tak wielu ludzi młodych Jerzy Janicki zaapelował do nauczycieli, aby tłumaczyli młodzieży, czym był przed wojną Lwów, jak ważne były kresy – z całą ich kulturą, tradycją... – *Zróbcie coś z tym! Nie wolno nie wiedzieć co to był Lwów! Miasto, które tylko przez kilkadziesiąt lat nie było polskim miastem, w którym przed wojną, w 1939 roku, mieszkało 220 tysięcy Polaków, 110 tysięcy Żydów i 40 tysięcy Ukraińców i obywateli innych nacji.*

A niewiedza jest ogromna – ubolewał Janicki, któremu, jak mówił, dziennikarze zadawali np. pytanie: *ilu Polaków mieszkało we Lwowie przed wojną? A ja na to: „a ilu Francuzów mieszkało w przed wojną w Paryżu?” I tu dziennikarz zrozumiał, że jest idiotą.*

– *Jestem wzruszony* – zakończył swoje wystąpienie Jerzy Janicki, doktor honoris causa Uniwersytetu Opolskiego – *że stoję w jednym rzędzie, jako doktor honorowy tego uniwersytetu, z Adasiem Hanuszkiewiczem, Wojciechem Kilarem, Stanisławem Lemem i dziś z profesorem Miodkiem, z którym dzielę i Super-Wiktora. Jest tu z nami dr Andrzej Kamiński, prezes Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa i jedno mam mu do powiedzenia: „Panie prezesie, melduję wykonanie zadania!”* (obszerne fragmenty wystąpienia Jerzego Janickiego – str. 17).

Nie był to koniec wzruszeń Jerzego Janickiego – Chór Akademicki Uniwersytetu Opolskiego *Dramma per Musica* pod dyrekcją dr Elżbiety Trylnik wykonał specjalnie dla niego piosenkę Henryka Warsa „Nie ma jak Lwów” oraz „Husia sisia” (autor nieznany), oba utwory w opracowaniu prof. Jerzego Świdra.

Dziękując za wyróżnienie go tytułem doktora honoris causa UO prof. Jan Miodek zwrócił uwagę na fakt, że z Opolem, a także opolską uczelnią czuje się związany od wielu lat:

– *Z jej działalnością kojarzeni są przecież do dziś wybitni uczeni wrocławscy – z profesorami polonistami Stanisławem Rospondem i Stanisławem Kolbuszewskim*

na czele. I ja – jak bardzo wielu starszych ode mnie wrocławian – związany z nią byłem działalnością dydaktyczną, a mianowicie po swoim doktoracie – w roku akademickim 1973/1974, kiedy to na gościnne wykłady i ćwiczenia zaprosił mnie jeden z recenzentów tegoż doktoratu – prof. Henryk Borek, rodem z Kalet Jędry-



Prof. Jan Miodek z recenzentem prof. Jerzym Bralczykiem i laudatorem prof. Bogusławem Wyderką.

ska, absolwent z roku 1950 Państwowego Gimnazjum i Liceum w Tarnowskich Górach, które i ja ukończyłem 13 lat później. Potem przyjeżdżałem tutaj wiele razy na wykłady i wieczory autorskie, na obchody jubileuszowe, a także dwa razy uczestniczyłem w pracach komisji akredytacyjnej wizytującej opolską polonistykę.

Prof. Jan Miodek podkreślił, że Opole – leżące w połowie drogi między Wrocławiem a Tarnowskimi Górami to zarazem duchowy styk dwu Śląsków, tego z jego dzieciństwa oraz tego, który stał się miejscem jego studiów i pracy zawodowej. – *Kiedy mówię, że w moim życiu te dwa Śląski ciągle się dopełniają, to w tej syntezie Opole i Opolszczyzna odgrywają rolę szczególną. Mieszkam bowiem od 43 lat w historycznej stolicy Śląska, na ziemi Ślężan, od których nazwa Śląsk pochodzi, ale w mieście dziś językowo nieśląskim, bo w roku 1945 i w kolejnych latach przyjechali do niego ludzie dosłownie z całej Polski. Niektórzy z nich – tacy jak ja – przyjechali z Górnego Śląska, też już znacznie ludnościowo wymieszanego, ale ciągle jednak Śląska z dominującym śląskim etnikum i wyrazistym dialektem. W środku jest Opole i Opolszczyzna – ziemia stopniowego przechodzenia od jednego do drugiego stanu etniczno-językowego, ziemia tak jak moje Śląski – „tarnogórski” i „wrocławski” – historii i kultur polskiej, czeskiej, austriackiej i niemieckiej, a także w pewnym stopniu żydowskiej, po II wojnie światowej wzbogaconą obyczajowymi i kultu-*

rowymi elementami wniesionymi przez ludność napływową – głównie kresową.

Prof. Jan Miodek uznał za symboliczny fakt, że godność doktora honoris causa Uniwersytetu Opolskiego odbiera wraz z nim Jerzy Janicki, urodzony w Czortkowie – we Lwowie zakochany, a po wojnie pracujący jako dziennikarz i w katowickim „Sporcie”, i we wrocławskim „Słowie Polskim”, a więc na moich dwóch Śląskach.

Życząc wszystkim mieszkańcom Opolszczyzny, aby na tej ziemi czuli się dobrze, zwrócił się profesor Miodek i do studentów oraz pracowników Uniwersytetu Opolskiego, przypominając przy okazji etymologię powszechnie kojarzonego z naszym regionem słowa *heimat*: – Niech przez swoją małą ojczyznę – *Heimat*, jak mówią Niemcy – odkrywają świat, zwłaszcza że starogermański pień „*heim*”, jak twierdzą niektórzy, pierwotnie właśnie wszechświat, kosmos oznaczał.

Po tym wystąpieniu (pełny tekst mowy prof. Jana Miodka – na str. 23) Chór Akademicki Uniwersytetu Opolskiego *Dramma per Musica* wykonał dwa utwory ludowe z Górnego Śląska – „Szła liseczka” i „Po lekuśku” oraz „Rondo żartobliwe” Tadeusza Szelińskiego.

Do znajomości z obu doktorami honorowymi: Jerzym Janickim i prof. Janem Miodkiem odniósł się w swoim ciepłym, momentami żartobliwym wystąpieniu ks. abp Alfons Nossol, dziękując Jerzemu Janickiemu za to, że tak hojnie dzieli się z nami bogactwem kresowej kultury, prof. Janowi Miodkowi – za wprowadzanie nas w uroki wspaniałej mowy polskiej (obszerne fragmenty wystąpienia ks. abp Alfonsa Nossola – w ramce niżej).

Uroczystości towarzyszyła wystawa książek, publikacji, dokumentów i fotografii (także z albumów rodzinnych) obu doktorów honorowych, którą zorganizowano w holu Collegium Maius UO. Tam też można było obejrzeć film dokumentalny o Jerzym Janickim oraz fragment programu „Ojczyzna polszczyzna” Jana Miodka.

Wystawę, otwartą w przeddzień przez rektora UO prof. Stanisława S. Nicieję i dyr. Biblioteki Głównej UO dr Wandę Matwiejczuk, przygotowali: **Barbara Orłowska, Joanna Król, Danuta Szewczyk-Klos, Marian Wojewoda, Kazimierz Zieliński i Mieczysław Balowski.**

Barbara Stankiewicz

Fot. Jerzy Mokrzycki i Tadeusz Parcej

Ks. abp Alfons Nossol, Wielki Kanclerz Wydziału Teologicznego UO:

– Zawsze miałem szczególny stosunek do Lwowa, choćby przez fakt znajomości z biskupem Adamiukiem, który uczył nas uroków Kresów. Ja dzieciństwo też spędziłem na kresach, śląskich oczywiście. Moimi pierwszymi nauczycielami akademickimi byli kresowiaci, ze Lwowa, skąd pochodzi jeden z naszych doktorów honorowych, Jerzy Janicki. Pan stracił bardzo dużo, bo strony rodzinne. Strony, w których po raz pierwszy zobaczył pan niebo. Tej straty nic nie ukoi. Ale mimo tej straty jest pan jednym z milionerów. Bo biedny jest ten, kogo nikt nie słucha, a pana – iluż ludzi słuchało! I jak pan hojnie dzielił się z nami bogactwem tej kresowej kultury.

Nasz drugi doktor honorowy to też mój znajomy. Nawet kręciliśmy razem film dotyczący pojęcia miłości. Profesor Miodek jest mistrzem języka ojczystego, tej szaty słowa. Ale uważajmy: tam gdzie pada słowo „szata”, tam na usta ciśnie się i słowo „moda”. A biada temu, kto chce się z modą ożenić – jutro zostanie wdowcem!

Kiedyś zwrócił się do mnie profesor Miodek o poradę... Nie duszpasterską, ale lingwistyczną. Bo mamy na Opolszczyźnie miejscowość Kup – pyta mnie profesor, jak my sobie z tym Kup

radzimy, jak odmieniamy przez przypadki. Odpowiedziałem: „panie kolego, ja osobiście jej w ogóle nie odmieniam”. W odpowiedzi usłyszałem: „strategiczne wyjście, przyjmuję je”.

Jest profesor apologetą wszelkiej różnorodności. A ja przez całe swoje życie zajmuję się właśnie jednaniem różno-



Ks. abp. Alfons Nossol.

rodności na niwie katolicyzmu. Bo różnorodność to inność, ale nie obcość, to coś wspólnego, to wzajemna wymiana darów. I taka ma być ta nasza wspólna Europa.

Gorąco panu dziękuję za wprowadzanie nas w piękno wspaniałej mowy polskiej. Potrafię to docenić, bo pamiętam jak w 1945 r. zaczynałem naukę w szkole polskiej... Wybrałem się po podręczniki, między innymi „Mowę polską” – a najbliższa księgarnia była w mieście, siedem kilometrów od mojego Broźca. Pieszko szedłem, bo nasze rowery wyruszyły gdzieś w stronę Kaukazu... Wcześniej ojciec mnie

poinstruiował, jak mam po polsku zapytać o te podręczniki. Jak już dotarłem do księgarni, byłem strasznie przejęty, a w dodatku bałem się, że mi zabraknie pieniędzy... Wszystko pozapominałem. W końcu wydusiłem z siebie: – Wie wiel kosztet „Mowa polska”? A sprzedawczyni na to: – Synku, nur zwanzig złotych.

Szanowni doktorzy honorowi! Ubogaciliście tę uczelnię. Za waszą pracę, za to, że dzielicie się nią z nami – serdeczne Bóg zapłać!

Wygnany z Edenu

(fragmenty laudacji prof. Stanisława Sławomira Nicieji z okazji przyznania Jerzemu Janickiemu tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Opolskiego)

Leszek Żuliński w jednym z esejów napisał: „Każdy ma swój Eden, z którego został wypędzony. Czasem bywają to całe ludy. Wtedy mit raju utraconego przekazywany jest z pokolenia na pokolenie i chroniony jak relikwia. Bo mit ten jest pieczęcią tożsamości i łącznikiem diaspory. Wszyscy banici i wędrowcy szukają wspólnoty w kulturze. Bo tak naprawdę tylko ona jest naszym domem. Dom ten może być ogromny jak kraj, niewielki jak region, czasami mały – jak miasto. Miasto! Czy Joyce miał coś droższego ponad Dublin? Mann – ponad Lubekę? A Grass – ponad Gdańsk?”

Przywołane przez Żulińskiego egzemplifikacje miast uruchamiających najczulsze struny pamięci, wypełnionych miłością, jakże często rajów utraconych, do których wyobraźnia ciągle powraca, by wędrować po ścieżkach młodzieńczych wspomnień, można by mnożyć. Dla Alberta Camusa był to Algier. Dla Immanuela Kanta był to Królewiec, dla Juliana Tuwima Łódź, dla Horsta Bienka Gliwice, dla Goethego maleńki Weimar, dla Krzysztofa Buckiego Pińczów, dla Josepha Eichendorffa maleńka śląska Nysa. A dla Jerzego Janickiego jest to Lwów.

Rzecz zadziwiająca, jak dla wielu twórców, i to ludzi różnych zawodów i zdolności, tym magicznym miejscem jest właśnie Lwów – miasto, które w swych dziejach bodaj najczęściej zmieniało nazwę, wtłaczane w różnorakie organizmy państwowe i narodowe. Norman Davies w swej świetnej książce *Europa* poświęcił temu miastu specjalną „kapsułkę”, zastanawiając się nad fenomenem pulsującej nazwy: Lwów, Lwiv, Lemberg, Löwenberg, Leopoldis, Lwow, a Jurij Andruchowycz użył nawet sanskryckiej nazwy Singapur i romańskiej Peugot.

Jeszcze większym fenomenem tego miasta jest to, że miało ono nader liczne grono utalentowanych, a częstokroć genialnych piewców swego piękna i wielkości, którzy nie byli w stanie uwolnić się od nostalgicznych nawrotów do utraconego raju młodości. Najwięcej spośród nich było Polaków, jak choćby Herbert, Śliwiak, Kilar, Zagajewski, Lem, Makuszyński, Hemar, Parandowski, ale nie brakowało też Żydów, Ormian, Rusinów, Niemców, Francuzów. Mógłbym wymieniać dziesiątki nazwisk sławnych lwowiaków o zadziwiająco różnorodnych profesjach i talentach, odnotowanych przez wszystkie leksykony, encyklopedie i słowniki biograficzne.

Nie sposób, próbując ogarnąć całość niezwyklego zjawiska literackiego, jakim jest Jerzy Janicki, nie odwołać się do Jego biografii i mitologii miasta, które jest Jego mikrokosmosem, źródłem fascynacji, przedmiotem nostalgii, które uczyniło zeń narkotycznego kolekcjonera leopolitan i osobliwego pasażera podróżującego Schulzowskim pociągami między *Sklepami cynamonowymi* a *Sanatorium Pod Klepsydrą*, między Łyczakowem, Zamarstynowem, Gródkiem, Kleparowem, Winnikami





Zdjęcie z lat dziecińczych Jerzego Janickiego.

i dalej na Buczacz, Jazłowiec, Czortków, Kamieniec Podolski.

Mam głębokie przekonanie, że jednym z ostatnich, co tak poloneza wodzi w mitologizowaniu Lwowa, jest Jerzy Janicki ze swą niezwykłą twórczością, będącą najczęściej literacką wyprawą w krainę własnej młodości.

Jerzy Janicki (rocznik 1928), urodzony w Czortkowie na Podolu w rodzinie notariusza Zdzisława Janickiego, lata chłopięce i młodość spędził we Lwowie, na Łyczakowie w kamienicy pod numerem 87. We Lwowie uczęszczał do szkoły razem ze znanym później dyrygentem Stanisławem Skrowaczewskim, aktorem Ryszardem Pietruskim, pisarzem Adamem Hollankiem i Ireną Dziezic – później pierwszą damą Telewizji Polskiej.

Po decyzjach poczdamskich opuścił swe rodzinne miasto i z tysiącami wygnańców wyjechał na Zachód. W Krakowie w 1946 r. zdał egzamin dojrzałości i rozpoczął pracę dziennikarską jako reporter sportowy. W latach 1947–1948 studiował polonistykę na Uniwersytecie Wrocławskim, następnie przeniósł się do Warszawy, gdzie już jako zawodowy dziennikarz pracował w różnych redakcjach, m.in. w „Razem” i „Pokoleniu”. Od roku 1952 na łamach tygodnika „Świat” dość regularnie publikował reportaże i opowiadania.

Za Jego debiut literacki uznawany jest reportaż pt. *Nylon* zamieszczony na łamach „Świata” w roku 1953. Rok później podjął pracę w redakcji literackiej Polskiego Radia, co okazało się momentem przełomowym w Jego biografii artystycznej. Z czasem zaczął w radiu redagować magazyn satyryczny *Parnasik*, cieszący się ogromną popularnością i skupiający wokół siebie wybitnych polskich aktorów i satyryków. Podobnym uznaniem cieszyła się inna audycja paraliteracka *Krasnoludki są na świecie*, redagowana wspólnie z Andrzejem Kudelskim. W 1956 r. pojawiła się na antenie powieść radiowa *Matysiakowie*, która w ówczesnych warun-

kach była ewenementem w Europie; wyprzedziła o prawie pół wieku tak modne obecnie w telewizjach europejskich telenowele rodzinne. To, co w tej materii stało się zjawiskiem powszechnym, niegdyś było unikatem i Janicki uchodzi za prekursora tak popularnego dziś gatunku.

Jerzy Janicki jest twórcą wyjątkowo płodnym. Przypomnijmy dla porządku, że jest autorem scenariuszy do 18 filmów fabularnych, m.in. do: *Człowieka z M-3* z Bogumiłem Kobielą, *Przerwanego lotu* z Elżbietą Czyżewską, *Bumerangu* z Barbarą Brylską, *Trzech kroków po ziemi* z Tadeuszem Fijewskim i Ewą Wiśniewską, *Miliona za Laurę* z Tadeuszem Rossem, *Wolnej soboty* z Wojciechem Siemionem i Zdzisławem

Wardejnym, *Tragarza puchu* z Hanną Schygullą; jest też autorem scenariuszy głośnych i ważnych dla kultury polskiej, dziś już legendarnych, seriali telewizyjnych: *Umarłem, aby żyć* z Januszem Bukowskim, *Polskie drogi* z Karolem Strasburgerem w roli głównej i piękną, uchodzącą dziś za klasykę, muzyką również wybitnego lwowianina Andrzeja Kurylewicza, *Ballada o Januszk*



Jerzy Janicki z siostrą Jadwigą (w środku) i Tatianą Ziełińską na ul. Akademickiej we Lwowie (1942 r.).

z Lidią Szukszyną, *Dom* z Waławem Kowalskim i piękną muzyką Waldemara Kazaneckiego, twórcy słynnego walca do filmu *Noce i dnie*.

Pamiętamy też, że Janicki jest autorem kilkudziesięciu słuchowisk radiowych – w tym choćby wielokrotnie nagradzanego *Koty to dranie*, *Tragarz puchu*, *Hasło* – i trzykrotnie reprezentował Polskę na Prix Italia. Jest też autorem wielu tomów opowiadań, by wymienić tylko takie książki, jak: *Kłaniaj się drzewom*, *Nieludzki doktor*, *Biografia w walizce*. Warto pamiętać, że Jego sfilmowane opowiadania bieszczadzkie – takie jak *Wolna sobota*, *Hasło*, *Kino objazdowe*, *Niespotkanie spokojny człowiek* – mają swój udział w mitologizacji Bieszczad, które są dla Janickiego, człowieka niebywale aktywnego i ruchliwego, od kilkunastu lat miejscem zapewniającym spokój i ukojenie. To w Zatwarnicy Janicki organizował coroczne przeglądy filmów o Bieszczadach z udziałem najwybitniejszych polskich aktorów i reżyserów.

Swej miłości do miasta rodzinnego dawał publicznie wyraz już w latach 60., kiedy w kraju ze względów politycznych nie można było mówić o Lwowie. Już wówczas, w jakże popularnej w tym czasie – a nadawanej do dziś – radiowej powieści *Matysiakowie* począł dyskretnie wprowadzać co pewien czas dialogi pisane lwowskim bałakiem (postać wuja Feliksa). Tą samą metodą posłużył się w pierwszych odcinkach serialu *Dom* (piękna tragiczna postać akordeonisty Tolka Pociągły – grana również przez lwowiaka, pieśniarza i poetę Jerzego Michotka. Najcięższy zarzut, jaki kierowano później pod adresem *Domu*, to ten, że Janicki tak wcześniej uśmiercił Pociągłą. Powtórzyło się, sto lat temu, Henrykowi Sienkiewiczowi zarzucono, że za wcześniej uśmiercił Longinusa Podbipiętę w *Ogniem i mieczem*).

Fenomen bałaku, który niestety nieodwołalnie umiera i którego nie da się zapisać na papierze, analizuje Janicki w najbardziej poetyckim i jednocześnie noszącym znamiona studium językoznawczego rozdziale *Krakidałów*, w którym jako eksperci występują Kazimierz Schleyen (*Lwowskie gawędy*), Andrzej Chciuk (*W krainie wielkiego bałaku*, *Ziemia księżycowa*) i odkryci przez Janickiego Adam Kozłowski i Mieczysław Magiera (autor zadziwiającego w swej konstrukcji i brzmieniu trzynastozgłoskowca pt. *W krainie stryjskiego bałaku*).

Ale wróćmy do biografii Janickiego. Wątek lwowski w Jego twórczości z całą siłą wypłynął dopiero po roku 1986, kiedy wyraźnie zelżały kleszcze cenzury. Wtedy zrealizował film dokumentalny i opublikował w formie książkowej reportaż pt. *4 lipca o świcie we Lwowie* – o kulisach wymordowania przez Niemców profesorów lwowskich na Wzgórzach Wuleckich w 1941 r.

Nieco później zrealizował film *Tońko, czyli ballada o ostatnim batiarze*, którego bohaterem był jeden ze słynnych komików *Wesołej lwowskiej fali* Henryk Vogelfanger. Film ten, wyświetlany w wieczór wigilijny 1988 r., mając wielomilionową widownię, poruszył nie tylko całą lwowską diasporę rozszaną po kraju, a skupia-



Legitymacja „Słowa Polskiego”.

jącą się w tym czasie w dziesiątkach nowo tworzonych kół miłośników Lwowa. Po tej projekcji w Polsce na nowo stała się przebojem piosenka lwowskich batiarów *Bo gdybym się jeszcze urodzić miał znów – to tylko we Lwowie* i piosenka Hemara *Tyle jest miast, ale Lwów jest jeden na świecie* w świetnej interpretacji Michała Bajora, który, choć urodzony w Opolu, ma też korzenie kresowe.

U schyłku lat 80. Jerzy Janicki był pomysłodawcą i uczestnikiem wielu audycji telewizyjnych o Lwowie, jego kulturze i historii, m.in. głośnych reportaży Stanisława Auguścika pt. *Podróże na Kresy*. Dla nielicznych Polaków, którzy zostali w pojałtańskim Lwowie, organizował różnego rodzaju imprezy artystyczne z udziałem czołowych polskich artystów.

W tym czasie Jerzy Janicki począł realizować filmy biograficzne o tematyce lwowskiej, m.in.: *Tylko dla Orłów* z udziałem obrońcy Lwowa, lekarza osobistego gen. Władysława Andersa, dra Emila Niedźwirskiego, *A do Lwowa daleko aż strach* z udziałem Władysław Majewskiej – muzy Hemara, *Lwów tam i u mnie*, *Kwadrans z Hemarem*. Powstał również świetny cykl wywiadów ze sławnymi członkami lwowskiej diaspory pt. *Salon lwowski*, przekształcony następnie w *Salon kresowy*, obejmujący również Wołyń i Wileńszczyznę.

Ostatnio zrealizował filmy: *Legenda Orłąt Lwowskich* o dziejach budowy, dewastacji, profanacji i odbudowy cmentarza Obrońców Lwowa, *Zadwórze polskie Termopile* i sześciuodcinkowy film *Opowieści cmentarza Łyczakowskiego* (w tych realizacjach miałem przyjemność pełnić rolę narratora), a w minionym roku doprowadził, wspólnie z Henrykiem Janasem, do zakończenia dziesięciuodcinkowego filmu *Strażnice kresowe Rzeczypospolitej* – o Buczaczu, Brzeżanach, Chocimiu, Jazłowcu, Kamieńcu Podolskim, Krzemieńcu, Okopach św. Trójcy, Olesku, Podhorcach, Zbarażu i Żółkwi.

Po książce eseistycznej *Ni ma jak Lwów* (1991), stanowiącej swoistą literacką, poetycką monografię Lwowa, nawiązującej do przedwojennej książki Stanisława Wasylewskiego *Lwów* (z cyklu „Cuda Polski”), Jerzy



Podczas zdjęć do filmu „Opowieści cmentarza Łyczakowskiego”.

Janicki wydał w połowie lat 90. pierwszą swą lwowską trylogię *Cały Lwów na mój głów* (1993), *Towarzystwo weteranów... znam tych panów* (1994), *A do Lwowa daleko aż strach* (1995) – znakomicie ilustrowaną i dowcipną. Jest to osobliwy trzypiętomowy słownik biograficzny wybitnych lwowian i ich potomków rozsianych po świecie, odsłaniający fantastyczne koligacje rodzinne.

W tych trzech książkach, emanujących urodą życia, ale też oddających dramata depolonizowania miasta, unicestwiania jego polskości, mieszają się konwencje: gawędy, reportażu, felietonu, zapisu faktu biograficznego, antologii, anegdoty i dowcipu, powiedzonek oraz notek encyklopedycznych.

Przychodzi wiek XXI i Janicki wydaje w oficynie „Iskry” *Człkawkę* (2001) – pierwszy tom swojej lwowskiej sagi, który jeden z krytyków (Andrzej Ziemilski) na łamach „Rzeczpospolitej” (7 lutego 2001) nazwał poematem romantyczno-dygresyjnym.

Nie była to książka wprost o Lwowie, mimo że w nim są jej prawdziwe korzenie. Jej fabuła wyrastała z 40 biograficznych migawek pamięci o tym, jak historia przetrzucała ludzi z kąta w kąt, jak okoliczności powodowały, że rośli, stawali się bohaterami, zadziwiali swymi czynami i swą postawą, jak osiągnęli sukcesy i sławę, ale też jak niektórzy z nich karleli i zapadli się w ludzką niepamięć albo w bolesne wspomnienie.

W *Człkawce* znalazł się literacki zapis losów: trzykrotnego premiera RP Kazimierza Bartla, zamordowanego we Lwowie, tragicznego samobójcy Alfreda Biłyka – ostatniego wojewody lwowskiego, kupca Ożjasza Hahna (ojca aktorki Ryszardy Hanin) i jego zięcia pisarza Leona Pasternaka, kompozytora Alfreda Schütza – tego od *Czerwonych maków na Monte Cassino*, Szymona Wiesenthala – tropiciela nazistów, Józefa Czaczkesa – plantatora awokado w Izraelu, Jasia Rippera, który w swym sportowym bugatti ścigał się z przesławnym wówczas Caracciola. A wszystko to ma w tle wynisz-

czenie 100 tysięcy Żydów lwowskich i wyrzucenie na Zachód 200 tysięcy Polaków.

W drugim tomie, noszącym tytuł *Kluczyk Yale*, wydanym w 2002 r. Janicki pisał: o lwowskich Ormianach, w tym o swoim dziadku Julianie Łukasiewicz, po którym odziedziczył charakterystyczny mefistofeliczny nos, o słynnym śpiewaku Andrzeju Hiolskim i niegdysiejszej pierwszej damie polskiej telewizji Irenie Dziedzic, sławnych lwowskich piłkarzach Michale Matyasie i Spirydionie Albańskim z Pogoni Lwów, brydżowym rebem Bogusławie Seifercie, kompozytorze Jerzym Abratowskim i jego tragedii związanej ze śmiercią Ludmiły Jakubczak – znakomitej piosenkarki z lat sześćdziesiątych (*Szeptem*

do mnie mów i *Gdy mi ciebie zabraknie*), o światowej sławy primabalerinie Barbarze Bittnerównie, rysownikach i malarzach – Szymonie Kobylńskim, Stanisławie Kaczorze-Batowskim i Edwardzie Dwurniku, o Polskim Teatrze we Lwowie i jego guru Zbigniewie Chrzanowskim, o ułanach jazłowieckich i chlebie kulikowskim, o sławnych cukiernikach Ludwiku i Władysławie Zalewskich, o poecie Jerzym Harasymowiczu i o wielu, wielu innych ludziach i faktach.

I wreszcie trzeci tom, wymuszony na autorze przez czytelników, zasypujących Janickiego listami, e-mailami, telefonami, noszący tytuł *Krakidały* – od słynnego lwowskiego placu, w czasie wojny największego targowiska w Europie, zadziwiającego pchlego targu, na którym handlowano wszystkim – walutą, fałszywymi dokumentami – i nad którym unosiły się chmury pierza z indyków, perliczek i obskubywanych na miejscu gęsi. Czerwonoarmiejcy nabywali tam słynne budziki i inne czasomierze, które przypinali później do rąk i nóg, a żony dygnitarzy sowieckich skupowały masowo nocne koszule, które traktowały jak suknie balowe.



Jerzy Janicki.

Janicki wychodzi z tego fascynującego straganu ze starociami i siłą swego talentu, wyobraźni oraz pamięci, która jest jego wielką zaletą i dumą, komentuje i ożywia wyciągnięty z szuflady szpargał krakidałowskiego pochodzenia. Wędruje po cmentarzysku czarodziejskich dzielnic, miast i kresowych miasteczek, przywołuje cienie kolejnych lwowskich rodzin: Stromengerów, Riedlów, Ruckerów, Ziembickich, przywołuje lwowskich Tatarów, wyjaśnia, na czym polega „austriackie gadanie” i za co lwowiacy kochali cesarza Austro-Węgier Franciszka Józefa, jak historyk-jurysta prof. Oswald Balzer wywalczył dla Polski Morskie Oko i odkrywa nieznane epizody w biografii znakomitej aktorki Wandy Siemaszkowej, Kazimierza Wajdy (słynnego Szczepcia z *Wesołej lwowskiej fali*), Jana Łomnickiego, reżysera *Domu* – rodem z Podhajec. Wreszcie zamyka książkę agonią polskiego Lwowa we wrześniu 1939 r., gdy do miasta wchodzi Armia Czerwona.

W książkach Janickiego bardzo ważna jest szata graficzna; autor jako filmowiec traktuje ją z wielką powagą i znanstwem, częstokroć ilustrując swoje książki dokumentami z epoki, na pierwszy rzut oka wydawałoby się błahostkami: jakimś lwowskim biletem tramwajowym, wyciągiem z księgi meldunkowej; etykietkami lwowskich likierów i rosolisów, zdjęciami pudełek po herbacie i kakao z firmy Riedla, puszek po konserwach Ruckera, nalepkami firm Baczewskiego, Koseckiego i Mikolascha, ogłoszeniem ze starej „Gazety Lwowskiej” repertuaru kina „Świtez”, spisem lwowskich linii tramwajowych.

Niezwykła to materia, którą rzadko posługuje się pisarz, a jednocześnie świadek historii, interpretator, historyk swego miasta i swego pokolenia, ale przede wszystkim artysta – czuły, wrażliwy, życzliwy ludziom, pragnący zachować w pamięci nawet najdrobniejszy ślad, najbledszy cień czyjejs bytności w rajcu utraconym, w arkadii, bytności i aktywnej obecności tych, którzy już bezpowrotnie odeszli. I jeśli – jak zauważa Wisława Szymborska – nie będzie im się płacić naszą pamięcią, naszym wspomnieniem, to rozplyną się we wszechświecie anonimowości.

Dygresje, które wypełniają niemal każdy rozdział trylogii lwowskiej zadziwiają erudycją. Janicki jest encyklopedystą, o ludziach, których spotkał w swoim życiu wie prawie wszystko... Potrafi ich biografie i czyni zmitologizować i ozdobić pięknym, dowcipnym, literackim ornamentem.

Wydaje się, że cała twórczość Janickiego zmierza do wyrwania ludzi z anonimowości, kreślenia ich artystycznych portretów, zaludniania naszej historii postaciami barwnymi, pięknymi, ważnymi, niezbędnymi, potrebnymi.

I za tę twórczość, jej wielki ładunek edukacyjny i moralny, emanujący z niej wielki humanizm i patriotyzm jesteśmy Jerzemu Janickiemu jako społeczności uniwersytecka wdzięczni; darując najwyższe uniwersyteckie wyróżnienie – doktorat honoris causa, dajemy wyraz, iż takie wartości cenimy sobie najwyżej i pragniemy je propagować i zwracać na nie uwagę.

Nie wolno nie wiedzieć – co to był Lwów!

(obszerne fragmenty wystąpienia Jerzego Janickiego)

Dzisiejszego dnia nie jestem w stanie nic wymyślić, jak tylko to, że jestem nieprawdopodobnie wzruszony uroczystością, która w dodatku odbywa się w Opolu.

Dlaczego? Musimy się cofnąć o równo 60 lat. Jako siedemnastoletni wówczas początkujący dziennikarz pisywałem do wrocławskiego „Słowa Polskiego”. Cotygodniowe felietony publikował wtedy na łamach tej gazety autor z Opola podpisujący się nazwiskiem: Tadeusz Szafranec. W jednym jednak tygodniu felieton Szafranca do redakcji nie nadszedł. Niepokojący to był sygnał, więc wysłano mnie do Opola, jako najmłodszego, bym odnalazł autora felietonów. Idąc za wskazanym adresem wszedłem na drugie piętro kamienicy przy ulicy, której nazwy już nie pamiętam, stanąłem pod mieszkaniem numer 8, zapukałem i pomyślałem, że pomyliłem adres,

bo na tabliczce na drzwiach było napisane: Stanisław Wasylewski. Zanim zdołałem cokolwiek zrobić, stanął przede mną żywy Stanisław Wasylewski. Poczuliśmy się jak rekrut przed generałem, albo wikary w obecności arcybiskupa.

Bo trzeba wiedzieć kim był Wasylewski – laureatem Złotego Wawrzynu Polskiej Akademii Literatury, stypendystą Ossolineum, człowiekiem, który specjalizował się w historiografii Lwowa (...). A ileż w pisaniu Wasylewskiego sarmatyzmu, ileż szlachetczyzny, jaki sztyk zdań. Jak mawiał Heniu Vogel, dziś już takich nie robią. Zresztą po co? Dzisiaj pisze się sms-y.

Podkreślam wagę tego strasznie ważnego dla mnie spotkania z Wasylewskim – wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy, bo człowiek, jak ma siedemnaście lat, to nie



Doktor h.c. UO Jerzy Janicki. Fot. Tadeusz Parcej.

zeni historii. Wasylewski był preceptorem mojego późniejszego zawodu. Wtedy takich jak ja, ze wschodnim, kresowym życiorysem, było na Opolszczyźnie wielu. Wasylewski także przybył tu z setkami innych, którzy traktowali Opolszczyznę jak port po wypędzeniu z własnej ojczyzny. Ci wszyscy przybysze byli znawcami Kresów. Co to znaczy być znawcą Kresów dzisiaj, po 50 latach cenzury, podczas których nie można było używać słowa „Lwów”? Irka Dziedzic w swoim „Tele-echu” rozmawiając ze mną o Lwowie używała określeń „w naszym mieście”, „o tym mieście”... Za sprawą cenzury wyrosły dwa pokolenia nieuków, co nie mają zielonego pojęcia o Lwowie. Podczas jednego z wywiadów pewien młody dziennikarz zapytał mnie, czy dużo Polaków mieszkało przed wojną we Lwowie? Odparłem mu: – *To tak jakby zapytać, czy dużo Francuzów mieszkało przed wojną w Paryżu. W tym momencie dziennikarz zrozumiał, że jest idiotą.*

W zeszłym roku, kiedy pozwolono wreszcie otworzyć cmentarz Or-

lą Lwowskich, zadzwoniono do mnie z pewnej stacji telewizyjnej, której nazwy przez litość nie wspomnę, z pytaniem czy można przysłać reportera na rozmowę. Zgodziłem się, dziennikarz przyjechał, włączył kamerę i pyta: – *Kiedy pan się wyprowadził ze Lwowa?*

Zdziwiłem się: – *Pan to przeprowadzką nazywa?*

Dziennikarz poprawił się: – *No, kiedy podjął pan decyzję o wyjeździe ze Lwowa?*

– *Ja nie podejmowałem decyzji – odparłem.*

– *Rozumiem, pan młody był wtedy.*

Ja mu na to: – *Panie, tę decyzję za mnie podjęło trzech sukinsynów w mieście Jalta!*

Całkowity brak wiedzy! Panowie profesorowie, korzystam z okazji, że tu jestem – zróbcie coś z tym! Nie wolno nie wiedzieć, co to był Lwów! Lwów istnieje już 750 lat i tylko przez 60 lat nie było to polskie miasto. Według statystyk w 1939 roku we Lwowie mieszkało 220 tysięcy Polaków, 110 tysięcy Żydów, od 30 do 40 tysięcy – Ukraińców i innych narodowości. Ze Lwowa wywodzą się wielcy artyści, intelektualiści, naukowcy, myśliciele: Szajnocha, Fredro, Mościcki, Zapolska, Bartel. Lwów to Kresy, a jak Kresy, to i zamki kresowe, budowane przed zalewem Tatarów, będące przedmurzem chrześcijaństwa. Pełniły one nie tylko obronną funkcję, bo magnaci postawili sobie za honor szerzenie oświaty. Stąd wywodzili się i Ujejski, i Skarga.

Niestety, gorset cenzury spowodował i ignorancję, i źle pojmowaną lojalność wobec historii, zakłamywaną także przez obecnych mieszkańców tej ziemi. Jesienią, z obecnym tu rektorem Stanisławem Nicieją byliśmy w Olesku, na zamku należącym kiedyś do Daniłowicza, dziadka Jana III Sobieskiego, w którym zresztą Sobieski się urodził. Zjechały tam wycieczki z różnych stron, a kustosz zaczął opowiadać, że w zamku tym ekonomem był dziadek Bohdana Chmielnickiego. I to był powód, zdaniem kustosa, dla którego warto ten



Panie prezesie, melduję wykonanie zadania!

zamek zwiedzić! Nie pojawiło się ani razu nazwisko króla polskiego, który przecież mieszkał tam razem z Marysienką(...)

Przed laty we Wrocławiu szedłem ulicą Grabiszyńską i nagle z tramwaju wyskoczył człowiek: – *A niech cię nagła krew, to ty żyjesz?! –* wykrzyknął do mnie. Okazało się, że to kolega ze Lwowa. Opowiedział mi o swoim życiu i o tym, jak to tuż po wojnie, na dworcu we Wrocławiu spotkał *ryżego bajtla*, z tabliczką zapisaną po niemiecku informującą, że dziecko jest sierotą. – *Adoptował żem sobie tego szwaba –* mówi mi. – *Nazwałem go Jaśko.* W końcu i przedstawił mi Jaśka, chłopak grał właśnie w piłkę. Z gęby żywy szwab, ani

cienia słowiańszczyzny. Ale jak się go zapytałem, czy do Lwowa by pojechał, to odezwał się prawdziwym lwowskim bałakiem: – *Panie, ta ja na kolanach, ta w jednej chwili!*

Jestem wzruszony, że stoję dziś w jednym rzędzie jako doktor honorowy tego uniwersytetu, z lwowiakami: Adasiem Hanuszkiewiczem, Stanisławem Lemem, Wojciechem Kilarem. I dziś – z profesorem Miodkiem, z którym dzielę i Super-Wiktora. Jest tu też z nami doktor Andrzej Kamiński, prezes Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa. I jedno mam mu do powiedzenia: *Panie prezesie, melduję wykonanie zadania!*

Opracowała: Beata Zaremba

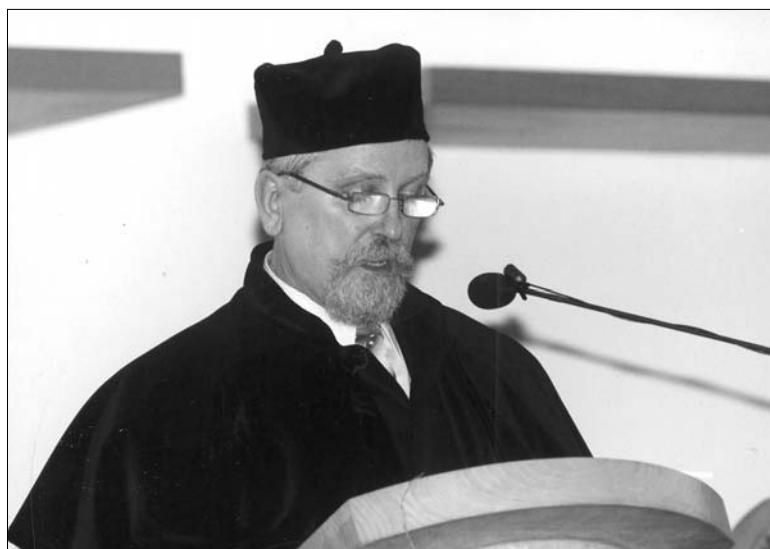
Mag słowa i gestu

Laudacja z okazji nadania tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Opolskiego prof. dr. hab. Janowi Miodkowi wygłoszona przez prof. dra hab. Bogusława Wyderkę z Instytutu Filologii Polskiej UO

Językoznawcy od dawna toczą dyskusje na temat roli wielkich osobowości twórczych w rozwoju języka, ich wpływu na stan języka i na świadomość językową wspólnoty komunikatywnej, która się nim posługuje. Dziś nie chodzi już o racje udowadniające, czy taki wpływ istniał, ale o to, komu i jakie zasługi w tej mierze przypisać, kogo umieścić w panteonie obrońców i krzewicieli języka polskiego. Ogromny wpływ na okrzepnięcie polszczyzny jako języka literackiego przypisujemy najwybitniejszym twórcom polskiej literatury, począwszy od Marcina Bielskiego, Mikołaja Reja czy Jana Kochanowskiego, ale też doceniamy znaczenie popularnych tekstów o szczególnie szerokim zasięgu oddziaływania, jak na przykład *Żywot Pana Jezusa Krysta* Baltazara Opecia czy *Historie rozmaite*, wznawiane od średniowiecza aż po wiek XVIII. Tuż za nimi, a raczej wraz z nimi, w zasługach dla rozwoju języka narodowego plasują się uczeni gramatycy, twórcy leksykonów, teoretycy retoryki. To oni, obserwując zjawiska językowe, tworzą pierwsze opisy polszczyzny, normalizują zjawiska, upowszechniają normy stylistyczne. Wraz z rozwojem nowożytnej kultury i nauki zwiększa się rola znawców języka w nauczaniu polszczyzny i w propagowaniu jej wzorców normatywnych, aż wreszcie przychodzi moment, że to im powierza się rolę stróżów odpowiedzialnych za język ojczysty w każdym wymiarze jego funkcjonowania. Lista ich powinności jest długa. Oprócz zadań sensu stricto poznawczych znajdują się wśród nich: problemy normalizacji języka oraz zgodności norm z wewnętrzną strukturą sy-

stemową języka, problemy związane z przestrzeganiem owych norm i kształtowaniem właściwych zachowań językowych, troska o rozwój stylistyczny języka i o jego bogactwo leksykalne, wreszcie postulat propagowania piękna mowy ojczystej, co na tle niektórych współczesnych nurtów kulturowych wydaje się zasadą dość archaiczną, choć w gruncie rzeczy taką nie jest.

Wszystkie owe dyrektywy związane są z koniecznością i powinnością upowszechniania wiedzy o języku ojczystym – upowszechniania jej nie wśród studentów w sali wykładowej, co jest dla nauczycieli akademickich stosunkowo proste, ale jej uprzystępniania szerokim kręgom społecznym. Już samo nawiązanie trwałego



Prof. Bogusław Wyderka. Fot. Tadeusz Parcej.



Promocja doktorska, kwiecień 1974 r. Na zdjęciu od lewej profesorowie: Mieczysław Klimowicz, Bronisław Kocowski, Antoni Knot, Bogdan Zakrzewski, Bogdan Siciński (wręcza dyplom).

kontaktu ze współczesnym odbiorcą stanowi dla niemal każdego autora prawdziwe wyzwanie. Wymaga to wiedzy i talentu. Umiejętnością podstawową staje się zdobycie przychylności słuchacza i przekonanie go do głoszonej racji. Chodzi jednak o to, że nie wystarczy operować wiedzą przedmiotową czy wiedzą z zakresu teorii retoryki – trzeba mieć jeszcze ową iskrę, którą nazywamy talentem, ów dar retoryczny, który pomaga porwać już nie setki, ale miliony słuchaczy, widzów i czytelników. Chodzi też o to, że nie każdy ową iskrę ma. Zadziwiające, jak reguły współczesnej komunikacji niewiele odbiegają od ustaleń starożytnych retorów.

Nieprzypadkowo na wstępie mojego wystąpienia nawiązałem do znaczenia wielkich postaci kultury polskiej dla rozwoju języka ojczystego. Do grona owych krzewicieli i miłośników polszczyzny wpisał się już na trwałe Jan Miodek, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego. Jego sylwetkę mam zaszczyt, w imieniu Uniwersytetu Opolskiego, promować. Dla szerokich kręgów społeczeństwa polskiego naszych czasów, czasów przełomu XX i XXI wieku, stał się On ikoną językoznawstwa polonistycznego, autorytetem naukowym, który nie tylko wyjaśnia zawilgości polszczyzny, ale też proponuje Polakom refleksję nad ich mową ojczystą.

Nieprzypadkowo też nawiązałem do retoryki. Siłą Profesora Miodka jest przede wszystkim żywe słowo, piękne żywe słowo, którego czar i siła przykuwa do ekranów telewizorów miliony widzów, ściąga na spotkania i odczyty rzesze słuchaczy – a

przypomnę, że zagadnienia, które omawia, z reguły nie należą do łatwych i rozrywkowych. Istotne jest to, że owe poważne problemy przedstawia On w sposób przystępny, przekonujący i poruszający wyobraźnię przeciętnego Polaka. Niedawno natrafiłem w Internecie na cytat z wypowiedzi Profesora, w której mówi On o sobie żartobliwie, że jest „gestyczny”. Ja powiem więcej – jest „magiczny”. Magiczny słowem. Słowem również pisanim. Nakłady kolejnych „miodków”, bo tak potocznie nazywane są poradniki oraz zbiory artykułów i felietonów Jego autorstwa, znikają natychmiast z księgarskich półek.

Popularność Profesora Jana Miodka jest ogromna. O takiej popularności wielu współczesnych wybitnych humanistów nawet nie marzy. Jeśli za miarę rozgłosu przyjąć liczbę stron internetowych, to należy zaznaczyć, że stron z nazwiskiem Jan Miodek jedna tylko z przeglądarek wskazała około 700. Oczywiście, są to strony

o różnej wartości merytorycznej czy informacyjnej. W tym przypadku istotne jest to, że różnego rodzaju instytucje, szkoły, domy kultury poczytują sobie za zaszczyt gościć Profesora i fakty związane z jego pobytom skrupulatnie odnotowują w kronikach. Jednym słowem – stał się On własnością społeczną. Na Jego poglądy i porady językowe powołują się dorośli i młodzież, nauczyciele i uczniowie, dziennikarze i studenci. Nie wiem, czy jest w Polsce osoba, która nie wiedziała-by, kim jest Profesor Miodek. Stał się On ulubieńcem mediów, przede wszystkim telewizji, ale też w sposób mistrzowski wykorzystuje jej możliwości w dziedzinie



Jan Miodek po promocji doktorskiej, z rodzicami: Janiną i Franciszkiem.

popularyzacji wiedzy.

Nie tylko talent i zdolności intelektualne stanowią podstawę sukcesu – potrzebna jest też praca, mozolna praca nad doskonaleniem warsztatu naukowego. Może warto zapytać naszego wielce szanownego doktora honorowego: Ile czasu poświęcił i poświęca na studiowanie ksiąg, z ilu przyjemności życiowych zrezygnował? Pytanie jest czysto retoryczne – przecież z nauką związał On swój los. Przyjrzyjmy się zatem pokrótce Jego życiowej drodze.

Jan Miodek urodził się 7 czerwca 1946 roku w Tarnowskich Górach w rodzinie nauczycielskiej. Od szkoły średniej marzył o dziennikarstwie, toteż po maturze wyjeżdża na studia polonistyczne do Wrocławia i z tym miastem, a właściwie z Uniwersytetem Wrocławskim, wiąże się już na stałe. Jego sylwetkę intelektualną ukształtowało środowisko o charakterze kulturowym odmiennym od środowisk przemysłowych miast Górnego Śląska lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Nie zapomniał jednakże o swych korzeniach. Bezwzględnie przyznaje się do śląskości, demonstrując przy tym szacunek do nabytej w dzieciństwie gwary śląskiej, aczkolwiek niewyniesionej z domu rodzinnego, bo w nim mówiono polszczyzną literacką. W jednym z wywiadów na pytanie, czy zna gwarę śląską, odpowiada: „Ojej, perfekt ją znam”. Zapewne kontrasty w mowie środowiska, które od dzieciństwa obserwuje, uwrażliwiają Go na problemy języka. Ale niewątpliwie przyczyniają się do tego też znakomicie w środowisku opolskim znani i wielce dla niego zasłużeni profesorowie: Stanisław Rospond i Antoni Furdal, z którymi Jan Miodek wiąże się w początkach swojej kariery naukowej. Pierwszy z nich był promotorem Jego pracy magisterskiej zatytułowanej *Nazwy miejscowe kulturowe typu Środa, Piątek, Wola, Osiek* (1968), drugi – promotorem Jego rozprawy doktorskiej pod tytułem *Syntetyczne konstrukcje leksykalne w języku polskim* (1973). Jako publicysta i jako naukowiec zadebiutował już w trakcie studiów. Związał się bowiem ze studenckim ruchem naukowym oraz z pismem „Agora”, w którym drukował swe pierwsze teksty.

Kariera naukowa Profesora Miodka przebiegała w sposób właściwy rytmowi akademickich karier naukowych. Po uzyskaniu stopnia doktora nauk humanistycznych zostaje On adiunktem w Katedrze Języka Polskiego Uniwersytetu Wrocławskiego. Kolejne lata przynoszą nowe doświadczenia. Jan Miodek przelotnie związany jest nawet z Opolem, wykładając na tutejszej polonistyce. Przez krótki okres – 1975 rok – pełni funkcję wicedyrektora Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego. Ale już w październiku tegoż roku podejmuje obowiązki lektora języka polskiego na Uniwersytecie Wilhelma w Münster w Republice Fede-



Z Lechem Wałęsą.

ralnej Niemiec. Wkrótce ukazują się Jego książki: *Rzecz o języku. Szkice o współczesnej polszczyźnie* (1983) oraz *Kultura języka w teorii i praktyce* (1983). Na ich podstawie w czerwcu 1983 roku Jan Miodek uzyskuje stopień naukowy doktora habilitowanego, a wkrótce też stanowisko docenta Uniwersytetu Wrocławskiego oraz kierownika Zakładu Języka Polskiego i Kultury dla Cudzoziemców. W 1987 roku ponownie zostaje wicedyrektorem Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego, a w maju 1989 roku – jego dyrektorem. Funkcję tę pełni do dziś. W tym czasie publikuje kolejne książki będące pokłosiem prowadzonych prac badawczych, ale przede wszystkim publicystyki popularnonaukowej; w kolejności chronologicznej są to: *Odpowiednie dać rzeczy słowo. Szkice o współczesnej polszczyźnie* (pierwsze wydanie – 1987), *Ojczyzna polszczyzna dla uczniów* (pierwsze wydanie – 1990) – obie te pozycje były kilkakrotnie wznawiane, *Przez lata ze „Słowem Polskim”* (1991), *Śląska ojczyzna polszczyzna* (1991), *O języku do kamery* (1992), *Nie taki język straszny. O polszczyźnie dla uczniów* (1992), *Miodek drąży skalę* (1993). Zaiste, jest to dorobek ogromny i przebogaty. Tytuł profesora Jan Miodek otrzymuje w 1995 roku. Nie spoczywa na laurach, przeciwnie – Jego dorobek powiększa się błyskawicznie. Publikuje kolejne zbiory prac: w 1996 roku ukazują się *Jaka jesteś polszczyźno?*, w 1998 roku – *Rozmyślajcie nad mową!*, w 2000 roku – *ABC polszczyzny*. O popularności tych książek świadczą ich kolejne wydania i szybkie wyczerpywanie się nakładów. Niektóre książki całymi latami czekają na nabywcę. „Miodków” na księgarskich półkach się nie uświadczy. Ukoronowaniem aktywności wydawniczej Profesora Miodka jest opublikowany w 2002 roku *Słownik ojczyzny polszczyzny*, scalający cały Jego dotychczasowy dorobek w zakresie szeroko pojętej kultury języka.

Działalność naukową Profesora Miodka dopełnia praca na rzecz organizacji nauki i kształcenia kadr naukowych. Oprócz pełnienia funkcji dyrektora Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego zasiada On w gremiach kierowniczych kilku instytucji naukowych. Wypromował 16 doktorów, w tym jednego doktora honorowego, którym jest Ryszard Kapuściński; opracował kilkadziesiąt recenzji w przewodach doktorskich, habilitacyjnych oraz w postępowaniach o nadanie tytułu profesora.

Spotkanie z publicznością, a więc działalność, która z czasem zrodziła owego właściwego, wielkiego Miodka, rozpoczął w początkach swojej kariery naukowej. W listopadzie 1968 roku we wrocławskim „Słowie Polskim” ukazał się pierwszy felieton z cyklu *Rzecz o języku*. Odtąd regularnie raz w tygodniu ukazuje się artykuł poświęcony zjawiskom współczesnej i historycznej polszczyzny. Dziś ich liczba sięga około 1700 pozycji, powstało z nich 6 spośród wymienionych wcześniej książek. Przez wiele lat Jan Miodek był obecny także na łamach „Wiedzy i Życia”. Utrzymywał też stały kontakt ze słuchaczami Polskiego Radia we Wrocławiu i Opolu. Jednakże kamieniem milowym w Jego działalności popularyzatorskiej stała się współpraca z telewizją. Rozpoczęła się ona w 1987 roku, kiedy to reżyser Władysław Tomasz Stecewicz z 2 Programu Telewizji Polskiej zaproponował Profesorowi Miodkowi prowadzenie cyklicznej audycji zatytułowanej *Ojczyzna polszczyzna*. Audycja z miejsca zdobyła ogromną popularność i stałych widzów, a Profesor Miodek – rzesze wielbicieli. Od połowy lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku audycja dopełniona została



Spotkanie z uczniami sobotnio-niedzielnej szkoły polskiej w Vancouver (Kanada), październik 2002 r.

codwutygodniowymi spotkaniami, emitowanymi na żywo przez wrocławską telewizję, pod tytułem *Profesor Miodek odpowiada*.

Te znakomicie przygotowane i prowadzone programy przynoszą Profesorowi Miodkowi rozgłos i powszechne uznanie, również w ocenach kolegów wielu prestiżowych nagród. Nie sposób nie wspomnieć o trzykrotnie przyznanym Mu Wiktorze (nagrodzie Akademii Telewizyjnej) i Super-Wiktorze, o Złotym Ekranie, o czołowych miejscach, jakie zajmował w plebiscytach na najwybitniejsze osobowości naszych czasów. Zaliczono też Profesora Miodka do grona 50 Gwiazd Telewizji Polskiej na jej 50-lecie w 2002 roku. Wspomnieć również należy o uhonorowaniu akademickim, mianowicie o otrzymanym w październiku ubiegłego roku doktoracie honorowym Wileńskiego Uniwersytetu Pedagogicznego. Z uwagi na ograniczone ramy mojej wypowiedzi nie wymieniam wielu innych licznych i znaczących nagród i wyróżnień, których Profesor jest laureatem.

Jak już wspomniałem (i do czego zapewne nie musiałem szczególnie przekonywać szanownych słuchaczy), Profesor Jan Miodek swoją działalnością wpisał się do grona wielkich postaci kultury i nauki polskiej, do grona wybitnych krzewicieli wiedzy i miłośników polszczyzny. W imieniu społeczności akademickiej Uniwersytetu Opolskiego oświadczam, że dostrzegamy nieprzeciętność osobowości Profesora, Jego osiągnięcia naukowe i popularyzatorskie. Wyrazem uznania i szacunku, jakim Go darzymy, jest przyznany Mu tytuł doktora honoris causa naszego Uniwersytetu.



Mag słowa i gestu.

Opinia o dorobku Profesora Jana Miodka, przygotowana przez prof. Jerzego Bralczyka z Uniwersytetu Warszawskiego (fragment)

Profesor Jan Miodek jest jednym z najbardziej znanych polskich uczonych – o ile nie najbardziej znanym. Niewielu jest Polaków, którzy nie rozpoznają jego twarzy, a jeszcze mniej tych, którzy nie słyszeli jego nazwiska. Ta popularność ma niezwykle szlachetny charakter – Profesor Miodek jest dla ogromnej rzeszy ludzi, także tych, którzy z nauką stykają się rzadko lub nie stykają się wcale, uosobieniem wiedzy naukowej, najwyższym autorytetem nie tylko językowym, a oprócz tego bliskim człowiekiem. (...)

Profesor Miodek jest językoznawcą, polonistą. Zajmuje się historią języka, dialektologią, gramatyką współczesnego języka polskiego, jego stylistyką i leksykologią – właściwie nie ma działu językoznawstwa, w którym nie zostawiłby istotnego śladu. Ale przede wszystkim jest normatywistą, wybitnym specjalistą w zakresie kultury języka. A językoznawca uprawiający tę dziedzinę to zazwyczaj nie tylko uczonej i nauczyciel, lecz także współtwórca kulturowego dorobku społeczeństwa, współ-decydujący o jakości i kształcie ogólnonarodowego dyskursu. Profesor Miodek jest par excellence językowym twórcą i zarazem sługą języka, czującym ogromną odpowiedzialność za swoje dokonania, mające tak silny wpływ na ludzi mówiących po polsku.

Żeby być dla społeczeństwa wielkiego narodu tym, czym w ciągu swojej kilkudziesięcioletniej nieustannej i pracowitej działalności popularyzatorskiej stał się Profesor Miodek, nie wystarczy być wybitnym uczonym. Trzeba mieć cechy szczególne, sprawiające, że będzie się nie tylko rozpoznawanym, lecz także, w obu znaczeniach, słuchanym: słyszany i mającym wpływ.

Gdybym miał wskazać główną cechę, która sprawia, że Profesor Miodek jest dla Polaków tym, kim jest – wskazałbym radość. Radość z tego, co się czyni, radość z kontaktu z ludźmi, radość z uprawiania nauki, radość z tego, co dla wielu, także dla mnie, jest najważniejsze – radość z języka. A zwłaszcza z polszczyzny, będącej dziś w pewnym niebezpieczeństwie, lecz dzielnie próbującej sprostać zwiększającym się gwałtownie wymaganiom współczesności.

Profesor Miodek w swoich felietonach i programach telewizyjnych, prowadzonych z ogromną erudycją, kompetencją, a także z pełnym i tak bardzo sympatycznym dla odbiorców zaangażowaniem emocjonalnym, pokazuje zjawiska językowe w ich szerokim kontekście kulturowym i w ich systemowym uwikłaniu. Dzięki temu miliony Polaków mogą zyskać poczucie znajomości języka. Jest to sprawa nie do przecenienia.

Skąd ten pociąg do Opola?

(wystąpienie prof. Jana Miodka z okazji otrzymania tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Opolskiego)

Najgoręcej dziękuję za przyznanie mi najwyższej godności uczelni, pozostającej od lat z moim Uniwersytetem Wrocławskim w najściślejszych kontaktach. Z jej działalnością kojarzeni są przecież do dziś wybitni uczeni wrocławscy – z profesorami polonistami Stanisławem Rospondem i Stanisławem Kolbuszewskim na czele. I ja – jak bardzo wielu starszych ode mnie wrocławian – związany z nią byłem działalnością dydaktyczną, a mianowicie po swoim doktoracie – w roku akademickim 1973/1974, kiedy to na gościnne wykłady i ćwiczenia zaprosił mnie jeden z recenzentów tegoż doktoratu – prof. Henryk Borek, rodem z Kalet Jędryska, absolwent z roku 1950 Państwowego Gimnazjum

i Liceum w Tarnowskich Górach, które i ja ukończyłem 13 lat później. Potem przyjeżdżałem tutaj wiele razy na wykłady i wieczory autorskie, na obchody jubileuszowe, a także dwa razy uczestniczyłem w pracach komisji akredytacyjnej wizytującej opolską polonistykę.

Mogę więc powiedzieć, że do dzisiejszej uroczystości przywiodła nas piękna tradycja i stara, wypróbowana przyjaźń. Życzliwi ludzie natomiast uczynili wszystko, by nadać jej ostateczny kształt, tak bardzo dla mnie wzruszający. Do nich kieruję teraz słowa najserdeczniejszej podziękującej: do kierownictwa opolskiej uczelni – z jej Rektorem Profesorem Stanisławem Sławomirem Nicieją na czele, który – chciałoby się powiedzieć – od zawsze

okazuje mi tyle serca, i do wszystkich Szanownych Członków Senatu, do Rady Wydziału Filologicznego z jej Dziekanem Profesorem Ireną Jokiel, do całego środowiska polonistycznego – z Dyrektorem Instytutu Filologii Polskiej prof. Stanisławem Gajdą, do prof. Mieczysława Bałowskiego, czuwającego nad sprawnym przeprowadzeniem wszystkich czynności proceduralnych mego honorowego doktoratu, do prof. Bogusława Wyderki



Doktor h.c. UO prof. Jan Miodek.

– jego promotora, i do jego recenzentów – prof. Stanisława Bąby z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu i prof. Jerzego Bralczyka z Uniwersytetu Warszawskiego, wreszcie – do wszystkich pracowników Uniwersytetu Opolskiego zaangażowanych w przygotowanie dzisiejszej uroczystości. Chciałbym również serdecznie podziękować gospodarzowi tego obiektu – Wielkiemu Kanclerzowi ks. abp. prof. dr. hab. Alfonsowi Nossolowi.

Cieszę się bardzo obecnością w Opolu moich najbliższych z domu i z pracy, a więc Żony, Synowej i Syna (dziesięciomiesięczny wnuk obecny jest z nami duchowo!), Rektora Uniwersytetu Wrocławskiego prof. Leszka Pacholskiego, Dziekana Wydziału Filologicznego

prof. Michała Sarnowskiego, koleżanek i kolegów z Rady Wydziału Filologicznego oraz z macierzystego Instytutu Filologii Polskiej.

Cieszę się obecnością tarnogórzeń, a wśród nich – starych druhów ze szkolnych lat, i wszystkich Państwa w tej pięknej sali zgromadzonych – pracowników i studentów Uniwersytetu Opolskiego oraz tych, którzy tutaj przyszedli z potrzeby serca.

Moi znajomi wiedzą, że Opole traktuję jak swoje trzecie miasto – obok Tarnowskich Gór i Wrocławia, powtarzając przy tym, że tylko tu mógłbym mieszkać i pracować, gdyby jakiś zły los kazał mi opuścić ukochany Wrocław. Jak rodziło się to uczucie?

Zaczęło się wszystko ponad pół wieku temu na... rozrządowej górze w Tarnowskich Górach, pod którą ciągnąłem na spacerach z Rodzicami i gdzie spędzałem długie godziny, z zafascynowaniem obserwując rozrząd wagonów towarowych do poszczególnych składów pociągów. Po najbliższym zaś torze jechał zawsze pociąg do Opola, a Ojciec w takich momentach przypominał, że to najstarsza linia kolejowa na Śląsku. Tak rodził się w mojej paroletniej głowie swoisty mit czy – jak dziś by się powiedziało – rodziła się magiczność Opola.

A w domu była przez parę lat niania Kejta (Katarzyna) spod Góry św. Anny. I tak jak stale mam przed oczami górkę rozrządową z wagonami towarowymi i pociągiem do Opola, tak ciągle słyszę czytane i śpiewane mi przez nią teksty – a to o dwóch kogutach bałamutach z Lututowa pod Sieradzem, a to o chłopcu, co się nachodził do swojej lubej „bez tą Cisowską Wieś”. To były pierwsze w życiu zajęcia z dialektologii i pierwsze wsłuchiwanie się w gwarę Opolszczyzny, w jej fonetykę, a była ona w ustach mojej Kejty nader wyrazista.

A potem były powtarzane co roku przez Matkę polonistkę szkoły średniej ciepłe słowa o praktykantach z opolskiej WSP, że ich najbardziej lubi i ceni, bo są ze wszystkich grup studenckich najsolidniejsi, najpoważniej traktujący swoje nauczycielskie obowiązki. I te słowa w moją pamięć się wryły – tak jak wyznanie najstarszego taksówkarza tarnogórskiego pana Malchra, że pochodzi on z Opolszczyzny, na której żyją ludzie „nadmwyczajnie dobrzy”.

Przyszedł też czas pierwszej wycieczki do Opola z Rodzicami, w czasie której mogłem stwierdzić ogromne podobieństwo architektoniczne Opola i Tarnowskich Gór.

We wspomnieniach tych nie mogę, oczywiście, pominąć bohaterów masowej wyobraźni: z jednej strony na przykład piłkarzy opolskiej Odry, z drugiej – piosenkarek i piosenkarzy opolskiego festiwalu, którzy w takim samym stopniu mój obraz Opola kształtowali, bo – jak pewnie Państwo wiedzą – zwariowanym kibicem piłkarskim jestem od początku życia, a muzyka jest w pewnym stopniu moją niespełnioną miłością. Trudno tu także nie wspomnieć legendarnego Teatru 13 Rzędów Jerzego Grotowskiego, tak silnie w pejzaż kulturowy tego miasta wpisanego.

Od roku 1963, a to początek moich wrocławskich studiów polonistycznych, stało się dla mnie Opole miastem przesiadkowym na trasie Wrocław – Tarnowskie Góry i ten stan trwał przez lat 39, do śmierci Ojca. Opole Szczepanowice zaś to w lecie roku 1967 miejsce zdobywania przeze mnie podchorążackich szlifów na pięcioletnim obozie wojskowym i zarazem występów artystycznych w kabarecie „Wycior”.

Opole to była ujmując rzecz dosłownie i metaforycznie, połowa drogi między Wrocławiem a Tarnowskimi Górami i zarazem duchowy styk dwu Śląsków – tego z dzieciństwa oraz tego, który stał się miejscem studiów i po nich pracy zawodowej. Kiedy mówię, że w moim życiu te dwa Śląski ciągle się dopełniają, to w tej syntezie Opole i Opolszczyzna odgrywają rolę szczególną. Mieszkam bowiem od 43 lat w historycznej stolicy Śląska, na ziemi Śleszan, od których nazwa Śląsk pochodzi, ale w mieście dziś językowo nieśląskim, bo w roku 1945 i w kolejnych latach przyjechali do niego ludzie dosłownie z całej Polski. Niektórzy z nich – tacy jak ja – przyjechali z Górnego Śląska, też już znacznie ludnościowo wymieszanego, ale ciągle jednak Śląska z dominującym śląskim etnikum i wyrazistym dialektem. W środku jest Opole i Opolszczyzna – ziemia stopniowego przechodzenia od jednego do drugiego stanu etniczno-językowego, ziemia tak jak moje Śląski – „tarnogórski” i „wrocławski” – historii i kultur polskiej, czeskiej, austriackiej i niemieckiej, a także w pewnym stopniu żydowskiej, po II wojnie światowej wzbogacona obyczajowymi i kulturowymi elementami wniesionymi przez ludność napływową – głównie kresową.

Moi najbliżsi to potwierdzają: kiedy jechaliśmy z Wrocławia do Tarnowskich Gór przez Opole, moja intonacja w miarę zbliżania się do tego miejsca stawała się coraz bardziej śląska. W drodze z Tarnowskich Gór do Wrocławia – następował proces odwrotny.

Te pociągowe eskapady, w latach sześćdziesiątych jeszcze w wagonach z drewnianymi siedzeniami, tak zwanych krowiakach, jak się je określało na Śląsku, trwające nieprawdopodobnie długo w stosunku do liczby kilometrów do przebycia, były, zwłaszcza na trasie Opole–Tarnowskie Góry, kolejnymi zajęciami z dialektologii. Często – również z historii, a raczej – świadomości historycznej Polaków odnoszącej się do Opolszczyzny. Nie zapomnę na przykład eleganckiej pani, która na wyznanie towarzyszkii podróży, że ta pochodzi z Opola, a urodziła się w nim w roku 1935, zareagowała pytającym, brzmącym wręcz histerycznie, powtarzanym wiele razy: „To pani jest? to pani jest? to pani jest?” – „Ślązaczka, Polką, urodzoną w Opolu w 1935 roku” – padła spokojna odpowiedź. A i jeden z pierwszych listów do mojej telewizyjnej *Ojczyzny polszczyzny* był pod tym względem bardzo charakterystyczny, przyszedł mianowicie od emerytowanej nauczycielki z Bytomia – lwowianki, która wspominała w nim podróż na Opolszczyznę – tużpowojennego miejsca pracy. Korespondentka wyznała mi w tym liście: „Byłam przekonana,

że los rzucił mnie na ziemię, gdzie panuje język niemiecki, tymczasem pierwsze usłyszane przeze mnie zdanie brzmiało: «Ona dzierży w rękach zdrządło»”.

Tego typu zdarzenia ugruntowały we mnie przekonanie, że nadrzędnym dydaktycznym zadaniem, realizowanym w pracy wykładowcy uniwersyteckiego i telewizyjnego oraz popularyzatora wiedzy o języku w czasopiśmie (we wrocławskim „Słowie Polskim. Gazecie Wrocławskiej”, w katowickim „Dzienniku Zachodnim” i w „Śląsku”), musi być szerzenie wiedzy historycznej i historycznojęzykowej o Śląsku. To jest mój nauczycielski imperatyw i zarazem dług wdzięczności wobec ziemi, na której się urodziłem i na której pewnie zostanę do końca. A po ludzku jestem bardzo szczęśliwy, że dobry los dał mi w ręce zdobycze cywilizacyjne w postaci kanałów medialnych, dzięki którym docieram do mieszkańców ziemi opolskiej nie tylko za pośrednictwem nadawanej w ogólnopolskim programie telewizyjnym *Ojczyzny polszczyzny*, ale i telewizyjnego programu regionalnego *Profesor Miodek odpowiada*, emitowanego na żywo w każdy wtorek, a także cosobotnich radiowych rozmów z red. Aleksandrą Czyżniewską, którą w tej uroczystej dla mnie chwili najgoręcej pozdrawiam i której składam wyrazy wdzięczności za wspólne lata na falach eteru.

Słowa wdzięczności za ich język kieruję do wszystkich mieszkańców pięknej, czystej, zadbanej ziemi opolskiej. Z Dorotą Simonides i Kazimierzem Kutzem – cytuję teraz tego ostatniego – „słuchamy tych źródłanych strumieni naszej mowy, odnajdujemy ją w sobie lub dodajemy do siebie z poczuciem niewysłowionej przyjemności, pasujemy się na tej starej mowie niczym krowy na beskidzkich łąkach” na corocznych katowickich konkursach gwarowych, wymyślonych i organizowanych przez red. Marię Pańczyk – moją tarnogórską krajanekę, zamieszkałą od paru lat na ojcowiznie w Żędowicach.

Ale że jestem apologetą wszelkich różnorodności, odnoszę ten Kutzowy cytat do wszystkich odmian językowych występujących na tej ziemi. I pod tym względem za symboliczny uznaję fakt, że godność doktora honoris causa Uniwersytetu Opolskiego odbiera dziś ze mną Jerzy Janicki, urodzony w Czortkowie – we Lwowie zakochany, a po wojnie pracujący jako dziennikarz i w katowickim „Sporcie”, i we wrocławskim „Słowie Polskim”, a więc na moich dwóch Śląskach.

Wszystkim mieszkańcom Opolszczyzny, podkreślam: wszystkim, życzę z serca, by się na tej ziemi czuli dobrze, a pracownikom i studentom Uniwersytetu Opolskiego – by byli tej ziemi orędownikami, by propagowali i kształtowali w sobie postawy najlepsze, dziś już ugruntowane w cywilizacji europejskiej: liberalnej demokracji, a więc poszanowania człowieka i jego praw, tolerancji oraz kulturowej otwartości. Niech przez swoją małą ojczyznę – Heimat, jak mówią Niemcy – odkrywają świat, zwłaszcza że starogermański pień *heyim*, jak twierdzą niektórzy, pierwotnie właśnie wszechświat, kosmos oznaczał. ■■■

Wykład na dwa serca

– Haszek stworzył Szwejka, Szwejk zapewnił Haszkowi nieśmiertelność, a Mazan z obu tych facetów żyje – powiedział podczas spotkania w ramach „Złotej Serii Wykładów Otwartych” **Mieczysław Czuma**, wierny kompan (po fachu, i nie tylko) **Leszka Mazana**.

Obaj krakowscy dziennikarze, przez ponad dwadzieścia lat redaktorzy krakowskiego „Przekroju”, gościli 18 stycznia na Uniwersytecie Opolskim na spotkaniu promującym ich najnowszą książkę pt. „Poczet serc polskich”. W książce tej autorzy poszukują serc po śmierci wyjętych z ciała i pochowanych oddzielnie.

Gospodarz spotkania prof. **Stanisław S. Nicieja** przedstawił dokonania obu dziennikarzy, przypominając bujną, oryginalną i pełną humoru twórczość Mazana i Czumy, co obaj panowie skwitowali stwierdzeniem: – Jako krakowianie, czyli ludzie bardzo skromni, czujemy się zażenowani tym, co o sobie usłyszeliśmy.

Zanim autorzy „Pocztu serc polskich”, swojej najnowszej książki, przystąpili do omawiania zawartych w książce informacji, opowiedzieli kilka anegdot dziennikarskich.

– Pod Sukiennicami siedzi człowiek z dwoma papugami, z których jedna kosztuje 50, a druga 500 złotych. Do sprzedawcy podchodzi dziennikarz krakowskiej gazety i zachęcony reklamą, że pierwsza papuga będzie bardzo przydatna w pracy dziennikarskiej, kupuje ptaka. I rzeczywiście okazuje się, że papuga nie dość, że wymyśla ciekawe tematy, zbiera materiał, przeprowadza wywiady, to jeszcze pisze świetne artykuły i składa gazetę. Zachwycony dziennikarz pędzi pod Sukiennice i nabywa drugiego ptaka, tego za 500 złotych. W redakcji okazuje się, że droższa papuga nie posiada żadnych dziennikarskich umiejętności: nie pisze artykułów, nie wydaje gazety. Rozczarowany dziennikarz biegnie więc pod Sukiennice i pyta sprzedawcę: – Dlaczego ta papuga taka droga, a nie robi nic. A, bo to

jest redaktor naczelny – pada odpowiedź.

Opowieści o pochówku serc, bardzo popularnym zwyczaju w dawnej Polsce, również okraszane były anegdotami, m.in. o tym, jak to pewien Kozak wypił zawartość kielicha, w którym znajdowało się serce no i... umarł. Z ust Czumy popłynęła też opowieść o Henryku Walezym, którego serce, bądź co bądź, wypada uznać za polskie, choć Walezy za długo w Polsce nie zabawił. – Ale wielce się zasłużył – nauczył nas grać w piłkę, w karty, osobiście lubił grywać z damami w stroju Ewy lub umalowanymi mężczyznami. Ale od nas też wiele zaczerpnął – np. w Wersalu wychodki kazał urządzać na wzór wawelskich, bo na francuskim dworze wszyscy załatwiali swoje potrzeby, gdzie popadnie i strasznie śmierdziało. No i Walezy znany też jest z tego, że widelec z emblematem królowej Bony ukradł z Wawelu.

Czuma i Mazan ustalili, że w samym Krakowie, wbrew oczekiwaniom, są pochowane tylko trzy serca, w tym – w katedrze wawelskiej – serce dziennikarki warszawskiej Klementyny Tańskiej-Hoffmanowej, która pisała reportaże o Krakowie. W klasztorze ss. Wizytek pochowane jest z kolei serce kardynała Albina Dunajewskiego, który z powodu nieszczęśliwej miłości wybrał stan kapłański i zrobił karierę.

– Najwięcej serc znajduje się w Pyrlandii, czyli w Poznańskim, bo tam największy porządek panował – dowodzili Czuma i Mazan.

Serca można było znaleźć w kaplicach i kościołach, ukryte były pod ołtarzami i w podziemnych kryptach, złożone w ścianach katedr i w pomnikach. Losy niektórych serc były bardzo dramatyczne



Leszek Mazan i Mieczysław Czuma przed Collegium Maius UO.

– serce Szymanowskiego spłonęło w powstaniu warszawskim, serce królowej Bony zjadły psy.

Autorzy „Pocztu”, na skutek iście detektywistycznej pracy (czasami lepiej od księży proboszczów wiedzieli, za jakim obrazem i w jakiej ścianie kościoła należy szukać serca), w sumie odnaleźli 147 serc. Pierwszym, na jakie się natknęli, było serce księcia Witolda. – W Gródku Jagiellońskim znaleźliśmy także serce Jagiełły, który umarł w imponującym, jak na owe czasy wieku – osiemdziesięciu sześciu

lat, po tym, jak poszedł bez kozucha słuchać śpiewu słowików i zachorował na zapalenie płuc.

Czuma i Mazan poprosili polskich lekarzy, by w oparciu o obecną wiedzę medyczną zechcieli leczyć polskich władców. Janowi Kazimierzowi, choremu na malarię, lekarze zalecili pić dżin z tonikiem, Augustowi III Mocnemu, który miał stopę cukrzycową, polecili uciąć nogę, bo Narodowy Fundusz Zdrowia nie daje pieniędzy na leczenie stopy cukrzycowej. Władysław Jagiełło uznany został za wzór, jak powinno

się dbać o zdrowie: Jagiełło stawiał sobie cele w życiu, miał cztery żony i lubił jeść gruszki.

– Jak się pisze książkę w dwójkę? – zapytał na koniec prof. Nicieja.

– Ciekawie – zapewnił Mazan. – Przede wszystkim uważaliśmy swoje pomysły za idiotyczne; Czuma kontestował moje, a ja jego. Sprawdzaliśmy wzajemnie opracowywane przez siebie hasła, no i kłóciliśmy się zawzięcie.

Beata Zaremba

Władze Wydziału Ekonomicznego UO z wizytą w Poczdamie

Umowa o współpracy podpisana

W dniach 28 listopada – 2 grudnia 2005 r. na Wydziale Społeczno-Ekonomicznym Uniwersytetu w Poczdamie gościli: **prof. dr hab. Janusz Słodczyk** – dziekan Wydziału Ekonomicznego UO, **prof. dr hab. Urszula Łangowska-Szczęśniak** – prodziekan ds. nauki i współpracy z zagranicą oraz **dr Sabina Kauf** – koordynator współpracy z Uniwersytetem w Poczdamie. Przedmiotem wizyty było podpisanie szczegółowej umowy o współpracy w ramach umowy wieloletniej realizowanej przez obydwie wydziały w latach 2003–2006.

W trakcie pobytu przedstawiciele Wydziału Ekonomicznego UO spotkali się z **prof. dr hab. Gerhardem Strohe**, kierownikiem Katedry Statystyki i Ekonometrii Uniwersytetu w Poczdamie, będącym również koordynatorem współpracy z zagranicą, **prof. Erhardem Stöltingiem**, dziekanem Wydziału Społeczno-Ekonomicznego oraz kierownikiem Katedry Socjologii Ogólnej. Przedmiotem spotkania było omówienie szczegółów współpracy pomiędzy

obydwoma wydziałami, a także próba znalezienia ewentualnych nowych obszarów tej współpracy. W rozmowie nawiązano do propozycji Wydziału Ekonomicznego UO – zorganizowania trzymiesięcznych pobytów studialnych dla studentów

z Uniwersytetu w Poczdamie.

Z przeprowadzonych rozmów wynika, że ewentualna współpraca mogłaby zostać poszerzona także o aspekty socjologiczne i politologiczne, co pozwoliłoby poszerzyć krąg studentów zainteresowanych



Na zdjęciu od lewej: prof. Janusz Słodczyk, prof. Urszula Łangowska-Szczęśniak i prof. Gerhard Strohe.

pobytaami studialnymi na Wydziale Ekonomicznym UO.

Opolska delegacja spotkała się też z **prof. dr. Klausem Schölerem**, kierownikiem Katedry Gospodarki Narodowej – omówiono szczegóły

planowanego w maju 2006 r. seminarium studenckiego na temat integracji europejskiej i jej konsekwencji dla rynku pracy, a także przepływów towarowych i informacyjnych. Seminarium to odbędzie się w Pocz-

damie, jego organizatorem ze strony niemieckiej jest prof. dr Klaus Schöler, z polskiej natomiast – prof. dr hab. Janusz Słodczyk.

(sema)

W MOJEJ PRACOWNI

Historia za kratami

Z drem Andrzejem Kurkiem, pracownikiem Instytutu Nauk Pedagogicznych UO, oficerem służby więziennej w Areszcie Śledczym w Opolu, rozmawia Beata Zaremba

Pracuje pan w areszcie śledczym w Opolu. Również swoją pracę naukową związał pan z problematyką więzienną – w przygotowaniu jest książka pt. „Śląskie więzienia w czasach III Rzeszy”, w której wykorzystuje pan m.in. materiały archiwalne dotyczące opolskiego więzienia. Kto do tego więzienia trafiał, kto nim zarządzał, iloma miejscami więzienie dysponowało?

– Węzienie w Opolu, od 15 marca 1941 r. – areszt, dysponowało 245 miejscami, w tym 25 miejscami dla kobiet. Naczelnikiem opolskiego więzienia za czasów III Rzeszy był nadinspektor Kattner. Na kilka miesięcy przed wybuchem II wojny światowej gestapo sporządziło specjalną księgę gończą. Zawierała ona ponad 8700 nazwisk osób z terenu całej Polski, wśród których znaleźli się m.in. działacze narodowi i polityczni, przedstawiciele świata nauki i kultury, powstańcy śląscy i wielkopolscy, księża. Znalazło się w niej ponad 1000 nazwisk osób z Górnego Śląska i Dolnego Śląska oraz 50 osób z terenu Zaolzia. Po zajęciu Polski przez Niemcy osoby odnotowane w księdze miały zostać aresztowane. Policja polityczna we Wrocławiu i Opolu również sporządziła wykazy osób uznanych za „niebezpieczne” dla III Rzeszy, które należało odizolować zaraz po rozpoczęciu wojny. Wykazy te zawierały około 1500 nazwisk mieszkańców Śląska. Niektóre niemieckie organizacje tworzyły własne „regionalne” księgi gończe: w Chorzowie na takiej liście znalazło się około 700 nazwisk, w Świętochłowicach – ponad 200. Część z tych osób znalazła się także w opolskim więzieniu. W większości aresztowani byli wyznania katolickiego i ewangelickiego. Najwięcej spośród więźniów było robotników.

Nie brakowało krawców, rolników, kolejarzy, stolarzy, księgarzy, lekarzy, nauczycieli, urzędników, a także duchownych. W rejestrze wymienia się też zarządców majątków, a wśród aresztowanych kobiet najczęściej figurują dwa zawody: służącej i robotnicy.

Za czasów III Rzeszy osadzenie w więzieniu było często tylko przystankiem w drodze do obozu koncentracyjnego lub obozu pracy.

– To prawda. W dniach 31 sierpnia i 1 września 1939 r. w ramach Akcji „Septemberaktion” aresztowano 17 osób, które przewieziono do opolskiego więzienia. Był w tej grupie m.in. Michał Joško z Gamowa, który całą wojnę przeżył w Buchenwaldzie, a z obozu wyszedł jako ostatni więzień. W grupie tej znalazł się także aresztowany Karol Bieniusa z Dobrzemia Wielkiego – z



Dr Andrzej Kurek.

oboza w Buchenwaldzie został zwolniony po dziewięciu miesiącach i przymusowo wcielony do Wehrmachtu. Po skierowaniu na front wschodni, w 1943 r., został ranny, po licznych perypetiach wrócił w grudniu 1945 r. do Dobrzienia Wielkiego. Aresztowany został też Franciszek Mięka, również z Dobrzienia Wielkiego. Do opolskiego więzienia w ramach wrześniowej akcji trafili również Franciszek Adamiec, Piotr Mehl, Jan Wawrzynek, Zofia Poliwoda. Podczas drugiej fali aresztowań, jaka nastąpiła 11 września 1939 r., w opolskim więzieniu znaleźli się m.in.: Jan Adamek, Jan Augustyn, Franciszek Józef Buhl, Józef Dubois, Wiktor Gorzołka, Kazimierz Kasprek, Jan Łangowski, Piotr Pandza, Jan Stanisław Szczepiński, Wawrzyniec Świerzy. Jak wynika z rejestru alfabetycznego niemieckiego więzienia karno-śledczego w Opolu obejmującego lata 1933–1946, znajdującego się w Archiwum Państwowym w Opolu, aresztowania odbyły się także w dniach 8 i 14 września. Ogółem na terenie Śląska Opolskiego we wrześniu 1939 r. aresztowano blisko 500 osób, spośród których 247 osób jeszcze w tym samym miesiącu skierowano do obozów koncentracyjnych. Transport wyruszył 13 września z opolskiego dworca. Mężczyzn przetransportowano do Buchenwaldu, a kobiety do Ravensbrück. O aresztowaniach i pobycie w więzieniu w Opolu wspominają m.in.: Bernard Augustyn, Artur Aulich, Franciszek Bul, Teodor Gadziński, Jan Gomola, Adolf Warzok i Antoni Wilczek. Więźniowie z opolskiego więzienia w czasie wojny trafiali także do obozów koncentracyjnych w Sachsenhausen, Mauthausen, Koblenz, Stutthof. Byli przenoszeni do więzień w Strzelcach Opolskich, Gliwicach, Katowicach, Magdeburgu. Część z nich przekazywano policji w Bytomiu, tylko nieliczne osoby zostały zwolnione.

Aresztowania w ramach wrześniowej akcji przeprowadzono także w innych miejscach na Śląsku.

– W rejonie Cieszyna aresztowano około 4800 osób, a w rejonie Katowic – około 6000 osób. Aresztowań dokonywało gestapo oraz grupy operacyjne SS i policji dowodzone przez generałów: Bruno Streckenbacha i Udo von Woyrysha.

Wspomniał pan, że w Archiwum Państwowym w Opolu znajduje się cenny rejestr więźniów z opolskiego więzienia – jedyny dokument zawierający dane z czasów III Rzeszy i okresu powojennego. Ten rejestr prowadzony był do 1940 r. przez władze niemieckie. Po 1945 r. zapisy kontynuowały władze polskie. Co wynika z liczb?

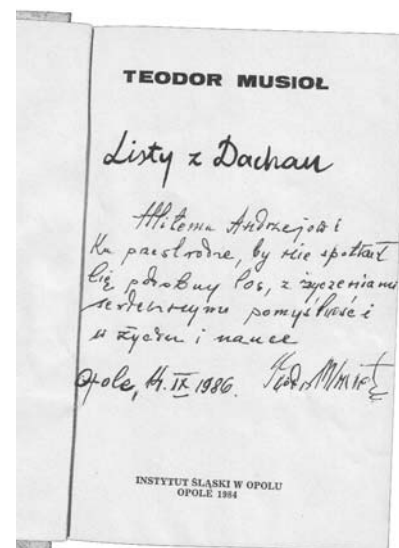
– W roku 1939 przez opolskie więzienie przeszły nie mniej niż 943 osoby, a w roku 1940 nie mniej niż 1290 osób. Skazani pochodzili głównie z okręgów Sądu Krajowego w Opolu i Sądu Krajowego w Nysie. W więzieniu przebywali mężczyźni, kobiety i nielet-

ni skazani na krótkie i dłuższe kary więzienia. Nieletnich narodowości polskiej wysyłano z Opolu do obozu dla dzieci w Łodzi. Od października 1939 r. w więzieniu osadzano także osoby sądzone za „zdradę stanu” z okręgów sądów krajowych w Nysie, Raciborzu i Opolu. 1 lutego 1941 r. Liczba miejsc w więzieniu wynosiła 245 i pozostała niezmienną do momentu ewakuacji więzienia, jaka nastąpiła 20 stycznia 1945 r. Naszą uwagę zwraca fakt, iż od mo-

mentu przejścia więzienia przez władze polskie do końca 1946 r. odnotowano 138 przypadków zgonów więźniów z opolskiego więzienia, które miały miejsce poza tą placówką. Pomimo że przypadki zgonów zgłaszały władze więzienia położonego na ulicy Sądowej, śmierć więźniów następowała na ulicy Jagiellońskiej 1 w Opolu (obecnie ulica Drzymały – red.). Wśród osób uznanych za zmarłych w tym czasie znajdowali się zarówno Polacy, jak i Niemcy. Ważne dla wyjaśnienia sprawy jest to, że od grudnia 1945 r. do września 1946 r. naczelnikiem opolskiego więzienia był słynny Salomon Morel, ścigany po wojnie za morderstwa popełnione w obozie w Świętochłowicach-Zgodzie, którym kierował przed objęciem funkcji naczelnika w Opolu. Postępowanie w sprawie zbrodni Morela wszczęła Główna Komisja Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu w Warszawie. 24 lutego 1998 r. minister sprawiedliwości RP Hanna Suchocka skierowała do ministra sprawiedliwości Izraela wniosek o ekstradycję Morela. Efektem dokonanej przeze mnie odkrycia jest wszczęcie przez opolski oddział Instytutu Pamięi Narodowej prokuratorskiego śledztwa mającego wyjaśnić przypadki zgonów więźniów.

Do więzienia w Opolu trafił również Teodor Musioł, późniejszy profesor opolskiej WSP.

– Teodor Musioł został aresztowany 30 października 1939 r. i osadzony w więzieniu w Lublińcu, skąd został przetransportowany do Opolu. W pojedynczej celi przebywał kilka dni. W rubryce „zawód” władze więzienne nie dokonały żadnego zapisu. Po rozprawie sądowej został skazany na dożywocie za zdradę stanu i zesłany do obozu koncentracyjnego w Dachau, w którym przebywał pięć lat, do 25 maja 1945 r. Z opolskiego więzienia wraz z profesorem wyjechało do obozu kon-



Strona tytułowa książki Teodora Musioła „Listy z Dachau” z dedykacją autora.

centracyjnego dwunastu więźniów. Z okresu pobytu w opolskim więzieniu zostało opublikowanych pięć listów profesora. Zachowały się też listy z Dachau, jestem zresztą w posiadaniu egzemplarza książki „Listy z Dachau” z wymowną dedykacją prof. Musioła: „... By nie spotkał Cię podobny los...”.

Inną ciekawą postacią przebywającą w więzieniu w Opolu był Piotr Gawlikowski, aresztowany za działalność w podziemnej organizacji „Płomień”, podporządkowanej później Związkowi Walki Zbrojnej. W opolskim więzieniu przebywał rok, oskarżony o zdradę stanu osadzony został w pojedynczej celi. Z Opoli został przetransportowany do więzienia Moabit w Berlinie, gdzie miał być sądzony przez Trybunał Ludowy. Wyłączony wraz z kilkoma więźniami ze sprawy został przeniesiony do więzienia w Katowicach, gdzie skazano go na 10 lat ciężkiego więzienia. Po kilku miesiącach przewieziono go do Mauthausen. W obozie przebywał do 5 maja 1945 r.

Czym więźniowie wypełniali czas osadzenia za kratami?

– Chodziło głównie o przetrwanie, zresztą ówczesny system represji karnych nastawiony był przede wszystkim na izolację i jeśli więźniowie cokolwiek twórczego robili, to była to najczęściej praca zadana przez władze więzienne, a więc produkcja zabawek, prace wikliniarskie, prace tkackie. Najczęściej jednak, także dla więźniów przebywających w więzieniach sądowych, czyli tych, które podlegały Ministerstwu Sprawiedliwości Rzeszy – ciężka praca fizyczna. Ale oczywiście zdarzały się przypadki, kiedy w tajemnicy przed władzami więźniowie w sposób artystyczny odreagowywali swoją osobistą tragedię związaną z zamknięciem, z wojną. Np. właśnie wspomniany Piotr Gawlikowski podczas pobytu w więzieniu w Opolu na jednej ze ścian więziennej celi wyrzył płaskorzeźbę przedstawiającą scenę z rozpoczęcia II wojny światowej – palące się wsie, uciekających ludzi, niemieckie czołgi. Przyłapany przez strażnika więziennego, został pobity i musiał zniszczyć wykonaną pracę. Ponieważ ścian więziennej celi więzień nie mógł już używać, na odwróconym blacie stołka wykonanego z bukowego drewna, przy pomocy złamanego widelca narysował scenę z więziennego życia. Przedstawiała ona naczelnika więzienia – grubego i niskiego, dowódcę straży więziennej – wysokiego i tykowanego, psa naczelnika oraz księdza i więźnia. Praca była wykonywana aż do wyjazdu jej autora do berlińskiego więzienia Moabit.

Ilu więźniów trafiło do opolskiego więzienia podczas II wojny światowej?

– Na podstawie obliczeń własnych, księgi ewidencji więźniów oraz statystyki aresztowań Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy można przyjąć, że w czasie II

wojny światowej przez opolskie więzienie przeszło nie mniej niż 5 tys. więźniów.

Kiedy Niemcy zaczęli ponosić klęskę na froncie, rozpoczęto ewakuację więzienia. Jak ona wyglądała i dokąd przenoszono więźniów?

– Ewakuacja więzienia rozpoczęła się 20 stycznia 1945 r. Rozkazem szefa Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu z dnia 19 lipca 1944 r. zobowiązano dowódców okręgów wojskowych i komisarzy obrony Rzeszy do przygotowania ewakuacji jeńców wojennych, a reichsführera SS do zorganizowania ewakuacji zagranicznych robotników przymusowych. Wkrótce potem plany ewakuacyjne rozszerzono także na więźniów obozów koncentracyjnych, sądowych, policyjnych i śledczych. 20 stycznia 1945 r. przekazano gestapo 106 więźniów – 80 mężczyzn i 24 kobiety oraz dwóch ciężko chorych mężczyzn więźniów sądowych. W więzieniu pozostało 139 osób, spośród nich zwolniono 52 osoby. W nocy z 20 na 21 stycznia 1945 r. 87 osób – 71 mężczyzn i 16 kobiet wyruszyło do więzienia w Brzegu. Więźniowie przybyli do brzeskiego więzienia wieczorem i pozostało w nim 35 więźniów niezdolnych do dalszego marszu. 22 stycznia 1945 r. grupa 36 mężczyzn i 16 kobiet wyruszyła przez Strzelin, Niemcę, Ząbkowice Śląskie do Kłodzka. W czasie marszu zbiegło trzech mężczyzn i dwie kobiety. W więzieniu w Kłodzku zwolniono 9 mężczyzn i 7 kobiet. Pozostałe 31 osób przetransportowano do Budziszyna. Tyle mówią liczby.

Nie było więc chaosu, mordowania więźniów, tylko działanie zgodnie z prawem i wytycznymi?

– Wbrew pozorom Niemcy starali się postępować zgodnie z przepisami, w sposób cywilizowany i ewakuacja rzeczywiście się odbywała. W austriackim archiwum Dokumentationsarchiv des Österreichischen Widerstandes znajduje się pismo Ministerstwa Sprawiedliwości Rzeszy z dnia 5 lutego 1945 r. do prokuratury generalnej w Linzu w sprawie wytycznych dotyczących opróżniania sądowych zakładów egzekucyjnych w ramach ewakuacji zagrożonych terenów Rzeszy. Opróżnianie więzień miało nastąpić w momencie rozpoczęcia ogólnej ewakuacji danego obszaru. Należało jednak zabiegać o możliwie najwcześniejsze rozpoczęcie ewakuacji więźniów w związku ze szczególnym charakterem tej operacji. Odtransportowanie dóbr materialnych i dokumentów miało nastąpić najpóźniej z chwilą wyprowadzenia z zakładu więźniów. Więźniowie z więzień sądowych mieli być ewakuowani w głąb Rzeszy, przekazani do dyspozycji innych władz lub zwalniani. Więźniów należało przede wszystkim ewakuować lub przekazywać innym władzom. Nie mogli być zwalniani więźniowie z akcji „Noc i mgła”, których należało przenieść możliwie najszybciej na obszary niezagrożone. Spośród cudzoziemców można było zwolnić jedynie tych, którzy od lat

mieszkali na terenie Rzeszy i nie stanowili zagrożenia dla bezpieczeństwa państwa. W przypadku Polaków i mieszkańców Protektoratu Czech i Moraw zwolnienie wymagało szczególnie wnikliwego zbadania. Żydzi, mieszkańcy I stopnia i Cyganie nie podlegali zwolnieniu. W przypadku Polaków skazanych na karę do jednego roku obozu karnego dopuszczano przekazanie ich policji (z jednoczesnym przerywaniem wykonywania kary) po wcześniejszym uzyskaniu zgody miejscowego dowódcy „Sipo” i SD. Zwolnieniu nie podlegały osoby skazane przez sądy wojskowe, jednak ci skazani, którym wkrótce kończyła się kara, mogli być przekazani do dyspozycji Wehrmachtu po uzyskaniu zgody władz wojskowych. Więźniowie policyjni mieli być przekazywani funkcjonariuszom Policji. Osoby, w stosunku do których prowadzono czynności śledcze, mogły zostać zwolnione po uzyskaniu zgody odpowiedniej prokuratury. Kryterium rozstrzygającym była tu ocena osobowości więźnia i charakter zarzucanego mu czynu. Przypadki wykluczające zwolnienie były takie same jak dla więźniów sądowych. U osób dopuszczonych do zwolnienia istotną była krótka kara bądź bliski jej koniec oraz charakter więźnia rokujący bezkolizyjne włączenie go do niemieckiego narodu. Bez względu na wysokość orzeczonych kar, nie podlegali zwolnieniu więźniowie aspołeczni, polityczni, przestępcy z nawyku, osoby pozostające w dyspozycji innych władz, osoby podlegające przekazaniu gestapo po odbyciu kary, osoby skazane na czas nieoznaczony, przebywające w zakładach zabezpieczających oraz psychicznie chorzy.

W przypadku niemożności ewakuacji dóbr materialnych należało je zniszczyć lub uszkodzić. Pozostawiany majątek ruchomy i nieruchomy należało przekazać do dyspozycji komisarza obrony Rzeszy. Z dóbr materialnych ewakuacji miały podlegać: akta, maszyny biurowe, sprzęt łączności, samochody, broń, amunicja, maski przeciwgazowe, sprzęt medyczny i lekarstwa, materiały włókiennicze, odzież, obuwie i żywność. Zalecano dokładanie wszelkich starań, aby akta nie dostały się w ręce nieprzyjaciela. W przypadku braku możliwości ich ewakuacji miały one być natychmiast zniszczone.

Wracając do okresu przed ewakuacją – nie w każdym więzieniu można było wykonywać karę śmierci?

– Zgadza się. Np. w opolskim więzieniu nie odbywały się egzekucje. Karę śmierci wykonywano m.in. w więzieniach we Wrocławiu i Katowicach, a także w Wiedniu, Grazu, Kolonii, Berlinie, w Dreźnie i innych – w tych więzieniach stosowano gilotyny. W rozporządzeniu Ministerstwa Sprawiedliwości Rzeszy z dnia 22 października 1935 r. określono, że wykonywanie kary śmierci odbywa się poprzez ścięcie toporem lub gilotyną. Wybór narzędzia egzekucji uzależniono od możliwości. Natomiast w rozporządzeniu z dnia 28 grudnia 1936 r. minister sprawiedliwości zalecał wy-

konywanie wyroków śmierci poprzez ścięcie gilotyną. W tym sposobie wykonywania egzekucji chodziło o dążenie do skrócenia czasu niezbędnego do wykonania wyroku. Decyzja ta pociągnęła za sobą konieczność budowy nowych gilotyn, gdyż transportowanie gilotyn z więzienia do więzienia wiązało się z problemami organizacyjnymi. Dopuszczano także, w szczególnych przypadkach, wykonanie kary śmierci poprzez powieszenie lub rozstrzelanie.

W jakich wypadkach była orzekana kara śmierci w więzieniach III Rzeszy?

– W bardzo różnych. Zgodnie z obowiązującym w Niemczech prawem do 1933 r. kara śmierci mogła być orzekana w przypadkach: morderstwa, nielegalnego używania materiałów wybuchowych ze spowodowaniem skutku śmiertelnego i porwań ze spowodowaniem skutków śmiertelnych. Po dojściu do władzy nazistów lista czynów zabronionych uległa znacznemu rozszerzeniu. Należały do nich m.in. zdrada stanu, otrucie, spowodowanie niebezpieczeństwa zatrucia, podpalenie, spowodowanie wybuchu lub powodzi, uszkodzenie urządzeń kolejowych, zabójstwo urzędnika państwowego, zdrada tajemnicy wojskowej, zdrada kraju i szpiegostwo wojskowe, używanie mundurów do popełniania przestępstw, uszkodzenie urządzeń obronnych, nakłanianie do dezercji, tchórzostwo, nieposłuszeństwo, zuchwałość, działalność w ruchu oporu, zabójstwo przełożonego, bunt i podburzanie, przestępstwa przeciwko obyczajowości, rozruchy wojskowe i uchybienie służby wartowniczej, szczególne przypadki homoseksualizmu. Od 6 listopada 1944 r. dopuszczono także orzekanie kary śmierci wobec osób poniżej 16 roku życia.

Czyli właściwie każde przewinienie mogło być karane śmiercią...

– Niestety, najczęściej tak. Znane są takie przypadki, kiedy za kradzież kilku kur czy pokątnego uboju zapadał wyrok śmierci.



Więzienie w Strzelcach Opolskich na przedwojennej pocztówce.

Podobno w niedziele i święta oraz dni wolne ustawowo wyroki kary śmierci nie mogły być wykonywane. Kary śmierci nie wykonywano również pomiędzy 24 grudnia a 7 stycznia oraz w Wielkim Tygodniu.

– Na początku trzymano się tych terminów. Przestrzegano również, by wykonanie wyroku śmierci odbywało się o świcie. Ale potem nie trzymano się tych ustaleń. Wykonywanych egzekucji było po prostu coraz więcej.

W pana publikacjach natrafić można na informację, że tylko trzech katów wykonywało kary śmierci w więzieniach III Rzeszy.

– Istotnie, w początkowej fazie wojny tylko trzech katów było wyznaczonych do wykonywania egzekucji. W 1945 r. było już ich dziesięciu. Każdy kat był obowiązany do przeprowadzania egzekucji wraz z trzema pomocnikami. Wieczorem, na dzień przed egzekucją, powiadamiano skazanego o fakcie nieskorzystania z aktu łaski. Od tego momentu skazany miał pozostawać pod stałą obserwacją straży więziennej. W miarę możliwości należało spełnić jego ostatnie życzenie, zwłaszcza w zakresie opieki religijnej, o ile nie powodowało to opóźnienia w wykonaniu wyroku. Poza przewodniczącym organu wykonawczego, podczas egzekucji musieli być obecni: pracownik właściwej prokuratury i więzienia oraz kat, jego trzej pomocnicy i pracownicy więzienia konieczni do doprowadzenia skazanego. Dopuszczano także obecność zastępcy przewodniczącego organu wykonawczego lub pełnomocnika prokuratury, obrońcy, lekarza więziennego i więziennego kapelana. W przypadku wykonywania wyroku sądu wojskowego wymagana była obecność jednego lub dwóch członków składu orzekającego. Podczas wykonywania wyroku kary śmierci w więzieniu miał dzwonić więzienny dzwon. Po przeprowadzeniu egzekucji kat wraz ze swoi-

mi pomocnikami był zobowiązany do umieszczenia ciała w przygotowanej trumnie. Jeśli rodzina skazanego nie wyraziła życzenia odbioru zwłok, ciało należało przekazać do Instytutu Anatomii dla celów badawczych.

Jakie było wynagrodzenie kata?

– Za wykonywanie swoich obowiązków kat otrzymywał 250 marek miesięcznie. Ponadto zarówno on, jak każdy z pomocników, dostawał po 60 marek za każdą egzekucję. Kwotę tę zwiększało się do 65 marek w przypadku, gdy więzienie, w którym wykonywano egzekucję, położone było dalej niż 300 kilometrów od miejsca zamieszkania kata. W związku ze stale rosnącą liczbą egzekucji, w czasie wojny zmieniono jednak zasady wynagrodzenia katów i ich pomocników, za egzekucję otrzymywali mniej pieniędzy. Dopuszczono też wykonywanie egzekucji przez rozstrzelanie i powieszenie. Te dwa sposoby wykonywania egzekucji uważane były za szczególnie hańbiące. Wydanie decyzji o takim sposobie egzekucji pozostawiono właściwej prokuraturze, o ile było to uzasadnione z „ważnych przyczyn wojennych”.

Dosyć ponura to wiedza, którą pan gromadzi...

– Rzeczywiście ponura, ale jak miałem okazję się przekonać, potrzebna. Badałem także więzienia czeskie, jak i losy Czechów w czasach III Rzeszy. Do wielu zakurzonych i zapomnianych faktów udało mi się dotrzeć, za co czescy badacze są mi bardzo wdzięczni. A przyznać muszę, że rekonstruowanie rzeczywistości więzień w czasie II wojny światowej wcale nie jest takie łatwe.

O opolskich więzieniach więcej: A. Kurek, *Więzienie opolskie w latach 1939–1945*, „Rocznik Łubowicki” 2003, t. I, r. I, s. 139–155.; A. Kurek, *Więzienia sądowe w rejencji opolskiej*, „Rocznik Łubowicki” 2004, t. II, r. II, s. 115–136.

XIII Ogólnopolska Olimpiada Wiedzy o Prawach Człowieka

W drodze po indeks

3 marca 2006 r. w Międzywydziałowym Instytucie Prawa i Administracji Uniwersytetu Opolskiego odbyły się eliminacje do centralnego finału Ogólnopolskiej Olimpiady Wiedzy o Prawach Człowieka. Do finału Okręgowego zakwalifikowało się 24 uczniów z 11 szkół. W skład jury weszli: **prof. Stanisław L. Stadniczeńko** (specjalista praw człowieka), **dr Anna Frankiewicz** (konstytucjonalista) i **mgr Maciej**

Skoczyla (historyk Społecznego Liceum Ogólnokształcącego im A. Einsteina, **dr Ewa Kozerska** (historyk prawa i doktryn polityczno-prawnych), **mgr Magdalena Gołownin-Hudała** (prawa człowieka) i **mgr Aleksandra Sołtysiak-Wilk** (konstytucjonalista).

W tegorocznej olimpiadzie tematem było „Prawo do wolności od tortur”. Do udziału w eliminacjach ogólnopolskich w Toruniu zakwali-

fikowano czterech uczniów: **Piotra Semeniuka** z II LO w Kędzierzynie-Koźlu, **Olę Sachanbińską** z II LO w Opolu, **Filipa Ostowskiego** z II LO w Opolu oraz **Bartosza Maślankiewicza** z II LO w Opolu.

Wysoki poziom uczestników olimpiady jest nagradzany przez Uniwersytet Opolski w postaci indeksów na studia.

Piotr Zamelski

25 lat temu

Łódź i Kraków – dwa porozumienia

25 lat temu zawarto dwa doniosłe dla społeczności akademickiej w Polsce porozumienia. Pierwsze, wymuszone na władzach wskutek długiego 29-dniowego strajku uczelni łódzkich, doprowadziło do rejestracji Niezależnego Zrzeszenia Studentów i nadania uczelniom szerokiej, jak na warunki komunistyczne, autonomii. Drugie rozszerzało prawa studentów, pracowników i absolwentów wyższych szkół pedagogicznych oraz podnosiło rangę uczelni kształcących nauczycieli.

Wydarzenia na Wybrzeżu w 1981 r. oraz podpisanie Porozumień Sierpniowych wstrząsnęło całą społecznością akademicką kraju. Po rozpoczęciu roku akademickiego w większości polskich uczelni zaczęły powstawać niezależne organizacje na czele z akademicką „Solidarnością” i Niezależnym Zrzeszeniem Studentów. Błyskawiczny rozwój wspomnianych organizacji wywoływał zaniepokojenie władz państwowych oraz wzmagał czujność tajnych służb – Służby Bezpieczeństwa i Wojskowej Służby Informacyjnej. Od początku swej działalności uczelniane organizacje poddano inwigilacji, a lokalne komórki SB starały się wprowadzić do tych organizacji maksymalną liczbę tajnych współpracowników. Ich zadaniem było: dostarczanie „wyprzedzających informacji”, hamowanie i wypaczanie działań akademickich organizacji oraz mnożenie konfliktów wewnętrznych.

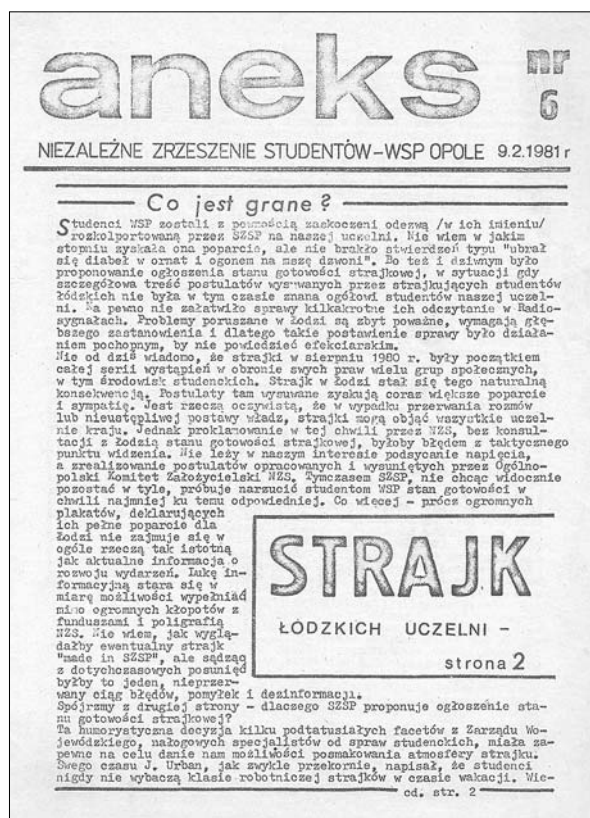
Równocześnie władze państwowe starały się uniemożliwić legalną działalność NZS-u, mnożąc trudności natury prawnej, które stały rzekomo na przeszkodzie rejestracji tego zrzeszenia (m.in. kwestia prawa do strajku). Blokowano także

reformę programów studiów, w tym zwłaszcza ograniczenia przedmiotów indoktrynujących oraz zmiany w zakresie swobody badań i wolności słowa.

Celowe przedłużanie procedury legalizacji NZS doprowadziło w styczniu 1980 r. do wybuchu tzw. „strajku łódzkiego”, który rozlał się na całą Polskę. Protestujący sformułowali postulaty ogólnospołeczne (obok rejestracji NZS domagano się również ograniczenia cenzury, zwolnienia więźniów politycznych) oraz wewnątrzuczelniane (ograniczenie godzin przedmiotów indoktrynujących, liberalizacja zasad wyboru lektoratów, zwiększenie liczby studentów w ciałach kolegialnych uczelni itp.) Pod naciśnięciem protestu studenckiego minister nauki, szkolnictwa wyższego i techniki **prof. Janusz Górski** zgodził się, 17 lutego 1981 r., zarejestrować NZS. Następnie doszło do podpisania tzw. „porozumień łódzkich” sygnowanych przez członków Międzyuczelnianej Komisji Porozumiewawczej, na czele z **Wojciechem Walczakiem** – studentem Uniwersytetu Łódzkiego, oraz przez ministra Górskiego. Porozumienie było dużym sukcesem strajkujących mimo dołączonego doń dużego protokołu rozbieżności. Ograniczono „przedmioty indoktrynujące”, zliberalizowano zasady wyboru lektoratów, zwiększono

wpływ studentów na kształtowanie programu studiów.

Wydarzenia w Łodzi z uwagą śledzono w Opolu. Już na początku lutego odezwę głoszącą konieczność zaprowadzenia gotowości strajkowej wydał – paradoksalnie – Socjalistyczny Związek Studentów Polskich Wyższej Szkoły Pedagogicznej oraz Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Opolu. Kilka dni później (5 lutego) kierownictwo NZS WSP w Opolu wydało oświadczenie, w którym napisano m.in.: *Grupa Koordynacyjna NZS WSP w Opolu popiera postulaty strajkujących uczelni łódzkich ze szczególnym uwzględnieniem tzw. postulatów ogólnospołecznych (m.in. uwol-*



Okładka szóstego numeru „Aneksu”, pisma NZS WSP w Opolu, z 9 lutego 1981 roku.

nienia więzionych za przekonania, zapewnienia niezależnego sądownictwa i przestrzegania samorządności, ograniczenia cenzury). Tego dnia delegacja działaczy NZS WSP w składzie: **Mariusz Wencel**, **Maciej Kaliszan** oraz **Maciej Wirski** udała się do Łodzi. Na miejscu starano się zebrać jak najwięcej informacji o przebiegu protestu i postulatach strajkowych. Po powrocie do Opolą, 6 lutego, ogłoszono akcję solidarnościową, polegającą na przypięciu przez studentów biało-czerwonych kokardek, a następnie (9 lutego) Grupa Koordynacyjna NZS WSP przekształciła się w Tymczasowy Komitet Strajkowy i ogłosiła gotowość strajkową.

Mimo rozszerzania się akcji protestacyjnej negocjacje ze stroną rządową przedłużały się, toteż 16 lutego decyzję o rozpoczęciu strajku okupacyjnym jako pierwsze podjęło kierownictwo NZS Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Opolu na czele z przewodniczącym **Wiesławem Ukleją**. Następnego dnia, o godzinie 12.00, w opolskiej WSP odbył się wiec, na którym przedstawiono stan rozmów między studentami łódzkich uczelni a ministrem Januszem Górkim oraz przegłosowano wniosek o rozpoczęciu strajku popierającego łódzki protest. W komunikacie wydanym tego dnia przez Komitet Strajkowy napisano m.in. *Studenci łódzcy, walcząc o nasze prawa, strajkują już kilka tygodni. Nie możemy czekać z rękami w kieszeni. W dniu dzisiejszym włączamy się do tej walki ogłaszając okupacyjny strajk solidarnościowy. Nie wysuwamy lokalnych postulatów, gdyż uważamy, że w programie łódzkim zawarte są najważniejsze sprawy studenckie. Strajkujemy do czasu podpisania porozumienia przez Komisję Rządową. Wzywamy wszystkich studentów niezależnie od przynależności organizacyjnej do przyłączenia się do strajku. We wspomnianym wiecu wzięło udział około 600 studentów, z czego zdecydowana większość poparła strajk. Strajkujący zajęli, należący do WSP, budynki byłego LO.*

Strajk na obu opolskich uczelniach zakończył się następnego dnia, z chwilą ogłoszenia wiadomości o podpisaniu porozumień. Wiadomość o podpisaniu „porozumień łódzkich” wywołała wielki entuzjazm wśród opolskich studentów, choć zdarzały się także głosy krytyczne. Kontrowersje wzbudził postulat zawarty w paragrafie VIII porozumienia, treści: *Stanowiska rozbieżne. Międzyuczelniana Komisja Porozumiewawcza uważa, że Minister powinien ze względów humanitarnych przesłać do Rady Państwa wniosek Międzyuczelnianej Komisji Porozumiewawczej o ulaskawienie obywateli Kowalczyków, którzy w 1971 r. spowodowali wybuch, w wyniku którego została zniszczona aula WSP w Opolu. Międzyuczelniana Komisja Porozumiewawcza oświadcza, że wystąpi do Rady Państwa z wnioskiem o ulaskawienie obywateli Kowalczyków, apelując jednocześnie do społeczeństwa o poparcie.*

Po zapoznaniu się ze sprawą obywateli Kowalczyków, którzy w 1971 r. spowodowali wybuch, w wyniku którego została zniszczona aula WSP w Opolu, Minister Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki oświadczył, że z uwagi na charakter czynu przestępczego nie może udzielić swego poparcia temu wnioskowi i przesłać go do Rady Państwa. Wspomniany postulat łódzcy studenci włączyli do porozumienia na wniosek **Stefana Niesiołowskiego** – wówczas członka NSZZ Solidarność UŁ. W Opolu postulat ulaskawienia braci **Jerzego i Ryszarda Kowalczyków** zdecydowanie popierało kierownictwo NZS WSI, natomiast redakcja należącego do NZS WSP czasopisma „Aneks” była mu przeciwna.

Miesiąc później i niejako w cieniu „porozumień łódzkich” doszło do podpisania przez Ogólnopolską Komisję Porozumiewawczą Studentów Wyższych Szkół Pedagogicznych (OKPSWSP) z **Andrzejem Oreckim** (NZS WSP Kraków) na czele i Komisję Międzyresortową pod przewodnictwem **Jana Stęperskiego** (dyrektor departamentu w

MNSWiT) – „porozumień krakowskich”.

OKP SWSP powołano 8 marca 1981 r. na posiedzeniu przedstawicieli dziesięciu Wyższych Szkół Pedagogicznych, które odbyło się w krakowskiej WSP. Komisję Porozumiewawczą powołano w celu uporządkowania szczegółowych postulatów dotyczących organizacji i funkcjonowania wyższych szkół pedagogicznych. Opolską uczelnię reprezentował członek NZS WSP – **Leszek Felsztyński** oraz, w charakterze obserwatora, skarbnik zrzeszenia – **Eugeniusz Hofmann**. 9 marca stronie rządowej przedstawiono trzy grupy postulatów: pierwsza i druga dotyczyły spraw ogólnospołecznych, trzecia wyłącznie problemów związanych z funkcjonowaniem uczelni pedagogicznych. W toku dalszych pertraktacji postulaty pierwszej i drugiej kategorii wyłączono spod obrad gremium ze względu na projekt powołania odrębnej komisji rządowej, która miała się zająć problemami ogólnospołecznymi zgłaszanymi przez środowisko studenckie.

Strony, które w kolejnych dniach prowadziły pertraktacje, koncentrowały się na takich zagadnieniach jak m.in.: rekrutacja kandydatów, organizacja procesu nauczania, baza materialna wyższych szkół pedagogicznych, absolwenci – ich zatrudnienie i potrzeby materialne, studia zaoczne na kierunkach nauczycielskich, postulaty młodszych pracowników nauki oraz postulaty dodatkowe. Zgłoszone postulaty zmierzały do poszerzenia zakresu autonomii wyższych szkół pedagogicznych oraz zwiększenia komfortu studiowania. W ramach porozumienia władze zobowiązały się brać pod uwagę inicjatywę magistrantów przy wyborze promotora i tematu pracy magisterskiej oraz wydłużyły okres studiów do 5 lat. Porozumienie dotyczyło tak fundamentalnych spraw, jak pozwolenie na zakup wydanych za granicą książek i innych publikacji związanych z działalnością naukowo-badawczą i dydaktyczną. Do podstawowych potrzeb

uczelnia zaliczono też zwiększenie kubatury bibliotek oraz zwiększenie przydziału podręczników szkolnych i akademickich. Ponadto obiecano zaopatrzyć uczelniane biblioteki główne w kserografy UKA-500 dla zaspokajania potrzeb poligraficznych studentów i pracowników szkół. Strona społeczna starała się także podnieść prestiż zawodu nauczyciela poprzez wywalczone udogodnienia dla nauczycieli studiujących zaocznie oraz wzrost ich wynagrodzenia.

Ze spraw związanych bezpośrednio z opolską WSP uzgodniono, że minister podejmie natychmiastowe rozmowy z wojewodą opolskim **Henrykiem Stachowiakiem** w sprawie remontu „DS” Mrowisko. W kwestii nowej biblioteki WSP miały się natomiast odbyć rozmowy władz uczelni z dyrektorem departamentu ds. inwestycji MNSWiT.

Wynegocjowane postulaty były stopniowo realizowane w następnych miesiącach. Po wakacjach

władze przekazały uczelni obiecany kserograf oraz rozpoczęły się przygotowania do remontu DS „Mrowisko”. Przez cały rok 1981 trwały też dyskusje na temat nowego budynku dla Biblioteki Głównej WSP. Kierownictwo NZS WSP, a za nim dyrektor administracyjny WSP **mgr Henryk Kurp** postulowali, aby przejąć w tym celu powstający przy pl. Teatralnym obiekt handlowy – SDH „Opolanie”. Autor pomysłu utworzenia środowiskowej biblioteki akademickiej w Opolu – **Leszek Nocoń** – sugerował, że *takie a nie inne zagospodarowanie »Opolania« stworzyłoby swoiste centrum kulturalne, gdyż obok mieści się Teatr im. Jana Kochanowskiego i kino »Kraków«*. Ostatecznie uczelnia pozyskała na ten cel budynek przy ul. Piastowskiej.

„Porozumienie łódzkie”, jak i rozszerzające je w zakresie wyższych szkół pedagogicznych „porozumienie krakowskie”, miały zasadnicze znaczenie dla demokratyzacji życia

w wyższych uczelniach Polski. Ich dodatkowym skutkiem było nawiązanie bliższych kontaktów między działaczami studenckimi pochodzącymi z różnych często odległych stron Polski. Nawiązane wówczas sympatie polityczne przetrwały w wielu wypadkach do dnia dzisiejszego. W szeregach NZS-u swe pierwsze doświadczenia polityczne zdobywali też tak znani dziś politycy, jak **Donald Tusk**, **Jan Rokita**, **Konstanty Miodowicz** czy **Marek Jurek**.

Mariusz Patelski

Literatura: Materiały NZS WSP,

A. Anusz, *Niezależne Zrzeszenie Studentów w latach 1980–1989*, Warszawa 1991,

R. Kowalczyk, *Studenci 81*, Warszawa 2000,

S. S. Nicieja, *Alma Mater Opoliensis. Ludzie – fakty – wydarzenia*, Opole 2004,

M. Patelski, *Niezależne Zrzeszenie Studentów w Opolu (październik 1980 – grudzień 1981 r.)*, „Studia Śląskie” 2005, t. LXIV, s. 191–213.

W MOJEJ PRACOWNI

Do Opola sprowadziła mnie powódź

Z prof. Krzysztofem Kaniastym, psychologiem z Katedry Psychologii Indiana University of Pennsylvania, wykładowcą Uniwersytetu Opolskiego, rozmawia Barbara Stankiewicz

25 lat temu, z dyplomem magistra psychologii klinicznej poznańskiego uniwersytetu w kieszeni, smażył pan jajka w restauracji w Louisville, w Kentucky. Dziś jest pan światowym autorytetem, jeśli chodzi o wpływ klęsk i katastrof na stosunki międzyludzkie, bliskim współpracownikiem prof. Fran Norris, jednej z najwybitniejszych znawczy stresu traumatycznego. Poza tym jest pan redaktorem naczelnym „Anxiety, Stress, and Coping” – międzynarodowego pisma psychologicznego, w Polsce znanym także jako autor „Psychospołecznych konsekwencji

polskiej powodzi 1997 roku”. A wszystko zaczęło się od awersji do służby wojskowej...

– Był rok 1981. Właśnie obroniłem pracę magisterską z psychologii na UAM w Poznaniu, dostałem dyplom i prawie równocześnie – bilet do wojska. A był to rok szczególnie w historii Polski – sytuacja polityczna bardzo napięta, ruch „Solidarności” w apogeum, w grudniu wprowadzono stan wojenny... Ale do grudnia jeszcze daleko, mamy wczesne lato. Jestem świeżo upieczonym panem magistrem, nie mam ochoty iść do wojska, mam

natomiast okazję legalnego wyjazdu do Stanów Zjednoczonych, dokąd jeszcze w latach siedemdziesiątych wyjechał mój ojciec, a za nim cała moja rodzina. Myślałem sobie tak: pobędę w Stanach parę miesięcy, przeczekał jesienny nabór do wojska i wrócę do Polski na kolejne studia, a jako student będę odroczone z wojska. Wyjechałem. Do Louisville, w stanie Kentucky. Tymczasem 13 grudnia ogłoszono stan wojenny. I pojawił się dylemat: wracać do Polski, gdzie trwa stan wojenny i gdzie niechybnie będę uznany za dezertera, a niewykluczone, że i odpokutuję za popieranie NSZZ „Solidarność” (różne obawy przychodziły do głowy), czy zostać w Stanach? Był to raczej trudny moment w moim życiu, tym bardziej, że byłem wtedy bardzo zakochany, a moja narzeczona, która właśnie kończyła studia, została w odciętej od świata Polsce – wcześniej planowaliśmy, że przyjedzie do mnie na dwa-trzy miesiące i razem wrócimy do Polski, a później podejmiemy decyzję, co dalej. Więc w głowie miałem niezły mętlik, bo też nikt nie wiedział, jak długo stan wojenny w Polsce będzie trwał, ale postanowiłem cierpliwie czekać na możliwość powrotu do kraju. Zacząłem rozglądać się za pracą, a muszę dodać, że mój angielski był bardzo słaby. I tak trafiłem do jadłodajni w Louisville, miasta w południowo-wschodniej części Stanów, słynącego z corocznych Kentucky Derby, na które zjeżdżali się koniarze z całego świata, także z Polski. Knajpka czynna przez całą dobę, główne danie: jajka na bekonie. Kucharz stoi przy takiej długiej ladzie, smaży jaja podrzucając je wysoko na patelni, goście, a mieliśmy wielu stałych klientów, patrzą...

Jeśli ten jajeczny show im się podoba, bo jest robiony zreżymie, widowiskowo – dają lepsze napiwki, czasem nawet biją brawo. I tak – w białej koszuli i papierowej czapce kucharza – rzucałem jajkami przez dwa kolejne lata, ucząc się przy okazji angielskiego, w wersji bardzo potocznej, delikatnie mówiąc. A muszę powiedzieć, że



Prof. Krzysztof Kaniasty wykłada psychologię w Indiana University of Pennsylvania (USA) i na Uniwersytecie Opolskim. Ukończył magisterskie studia psychologiczne na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu, a stopień doktora psychologii społecznej otrzymał w 1991 roku na University of Louisville (USA). Od czasu polskiej powodzi 1997 roku aktywnie współpracuje z Instytutem Psychologii UO. Owocem tej współpracy jest wydana w 2003 r. książka pt. *Kłęska żywiołowa czy katastrofa społeczna? Psychospołeczne konsekwencje polskiej powodzi 1997 roku*. Autor licznych publikacji dotyczących mechanizmów działania wsparcia społecznego i procesów społecznych w kontekście stresu doświadczanego przez zbiorowości wskutek klęsk i katastrof. Od momentu rozpoczęcia pracy badawczej blisko 20 lat temu podstawowymi zagadnieniami jego pracy badawczej stały się pokryzysowe procesy mobilizacji wzajemnej pomocy i wsparcia społecznego oraz procesy deterioracji poczucia pokryzysowej wspólnoty społecznej i erozji w kontaktach interpersonalnych. Jest także redaktorem naczelnym międzynarodowego pisma *Anxiety, Stress and Coping: An International Journal*.

poznałem tam wielu bardzo ciekawych ludzi.

Pan robi jajeczny show w Ameryce, a narzeczona czeka w Polsce...

– Pobraliśmy się w 1982 roku. Korespondencyjnie. Z tym, że ja zostałem jej mężem w maju 1982 roku, ona – sześć miesięcy później, w Polsce, mam więc dłuższy staż małżeński. Wzięło się to stąd, że podpisany przeze mnie u notariusza dokument krążył przez trzy kontynenty, nim dotarł, przez znajomych, do Polski. Żona przyjechała do mnie dopiero dwa lata później. Czasem myślę sobie, co by było, gdyby w Polsce nie wprowadzono stanu wojennego. Bo przecież ja miałem zdecydowanie inne plany! Ale tryby historii, w które wpadł mój kraj, zmieniły wszystko: razem ze mną, i z moimi planami. Gdyby nie stan wojenny pewnie Ola przyjechałaby do mnie, do Stanów, na parę miesięcy, po czym razem wrócilibyśmy do Polski... Co bym wtedy robił? Jakim człowiekiem byłbym? Nie wiem. Ale na pewno nie jestem w miejscu, w którym myślałem, że będę. A przy okazji – takie gdybanie, analizowanie różnych scenariuszy zdarzeń, które mogły się wydarzyć w przeszłości, w psychologii nazywa się to myśleniem kontrfaktycznym.

No właśnie: kiedy wrócił pan do psychologii?

– Ja ją właściwie odkryłem na nowo tam, w Stanach, gdzie podjąłem studia podyplomowe. I tam dopiero mnie zafascynowała, bo, mimo że miałem dyplom magistra psychologii, nie widziałem swojej przyszłości w tej dziedzi-

nie. Ale coś musiałem ze sobą zrobić: do Polski nie mogłem wrócić, jajek smażyć już nie chciałem... I znów moje plany życiowe ułożył za mnie los: w 1983 roku do Louisville, w ramach wielkiej akcji Caritasu, przyjeżdża z europejskich obozów dla uchodźców sześćdziesięciu kilku Polaków. I tu się osiedlają. Muszę powiedzieć, że

Amerykanie byli autentycznie przejęci sytuacją Polski zaraz po rozpoczęciu „wojny” – to był początek prezydentury Reagana – ludzie w bardzo spontaniczny sposób organizowali pomoc dla Polaków. Pamiętam, że w pierwszym tygodniu trwania stanu wojennego wieczorami w amerykańskich domach, na znak solidarności z Polakami, płonęły świece, było to ogromnie wzruszające, tym bardziej, że prawdopodobnie niewielu z tych ludzi wiedziało dotychczas, gdzie ta Polska jest. Nasz kraj był też nieustannie obecny w telewizji. Przy okazji ja miałem swoje 15 minut sławy w TV, bo zanim do Louisville dotarła ta duża grupa polskich uchodźców, mieszkało tam niewielu, raptem kilku Polaków, w związku z czym ja byłem jednym z tych trzech dyżurnych, którzy w telewizorze opowiadali Amerykanom o polskich realiach, o swojej tęsknocie... Powiem nieskromnie, że ja byłem szczególnie atrakcyjny medialnie, ze względu na narzeczoną, która pozostała w „uwięzionym kraju”. Czołgi na polskich ulicach, miłość, rozłąka – melodramat gotowy! W tym samym czasie, gdy ci nowi Polacy dotarli do Louisville – zostali niesłuchanie ciepło przyjęci przez mieszkańców miasta, ludzie zwozili im meble i inne sprzęty, piekli dla nich ciasto – pojawił się także pan Lucjan, człowiek bardzo energiczny, świeżo upieczony doktor psychologii, który podjął pracę w miejscowym college’u. I za jego sprawą zacząłem myśleć o studiach doktoranckich z psychologii – to Lucjan właśnie zaprowadził mnie do stanowego uniwersytetu w Louisville, gdzie musiałem złożyć egzaminy, dostarczyć przetłumaczony dyplom. Powiem wprost: zdecydowałem się na te podyplomowe studia, bo miałem już dość smażenia jajek. Bardzo liczyłem na stypendium i to był jeden z najważniejszych powodów, dla których się na te studia zdecydowałem. To były spore pieniądze, bo lata osiemdziesiąte to czas ekonomicznie dobry dla Stanów Zjednoczonych, młodzi ludzie nie garną się specjalnie do nauki – to tzw. generacja „me” („ja”), nastawiona na szybki sukces finansowy, mniej – na wykształcenie, stąd wysokie stypendia, które miały być zachętą do podejmowania studiów doktoranckich. Więc los po raz kolejny mi sprzyjał: dostałem to stypendium, wprawdzie tylko połowę sumy, bo nie wypadłem dość dobrze na egzaminach, ale spokojnie mogłem rozstać się z jadalnią. I zaczynam się uczyć. Tak, jak dotąd, nigdy się nie uczyłem, od rana do wieczora, bo przecież miałem jeszcze kłopoty z angielskim. Dodatkowo czyszcę klatki szczurów w uniwersyteckim laboratorium. Moja, już wtedy oficjalnie, żona dociera w końcu do Stanów, rodzi nam się córka, Natalia. Zaczynają się kłopoty finansowe, bo nie mamy ubezpieczenia, szpital wystawia ogromne rachunki... Ola myje naczynia w szpitalnej kuchni, później zostaje pomocnikiem nauczyciela w miejscowej szkole katolickiej. Z wykształcenia jest anglistką, więc pomaga mi pisać kolejne referaty – ja piszę je po polsku, żona tłumaczy je na angielski, w domu też staramy się rozmawiać w tych dwóch językach... Jest to ogromnie trudny etap w naszym życiu.

A pana zaczyna fascynować psychologia.

– Coraz bardziej. Zaczynam nawet uchodzić za bardzo rzetelnego i utalentowanego studenta, bardzo się zresztą o to staram. O dziwo – bo zawsze nienawidziłem matematyki – zainteresowała mnie też statystyka i metodologia. Ale jako specjalizację wybrałem psychologię społeczną. Hermetyczność i nie-kontekstowość procesów poznawczych w subiektywnym poznawaniu społecznym wydała mi się fascynująca. Miałem dość politycznych i ekonomicznych realności, interesowała mnie jedynie normatywna teoria, której szukałem w laboratoryjnie stwarzanych dylematach społecznych, gdzie decyzje odnoszące się do współżycia z innymi były podejmowane w odizolowaniu, przez młodych studentów odpowiadających na starannie przygotowane pytania. Kompleksowość i współzależność w życiu społecznym istniejącym poza planami eksperymentalnymi, wydawała mi się metodologicznym zakłóceniem, stąd też należało ją ujednolicać lub wręcz eliminować.

Ale zarówno moje własne doświadczenia, związane z próbą adaptacji w innej kulturze, jak i wieści z kraju, ze złośliwą wręcz regularnością, przypominały mi o tle społecznym. Ten dysonans został zredukowany w chwili, gdy wziąłem udział w zajęciach z psychologii społeczności (*community psychology*). Z uczuciem ulgi, ale i ze zdumieniem (uprzednio o takiej specjalności nie słyszałem) odkryłem, że psychologia społeczności oferuje połączenie moich wcześniejszych klinicznych i indywidualistycznych zainteresowań z przekonaniem, iż dobrostan jednostki nie spełnia się w próżni społeczno-kulturowej, a więc jest zjawiskiem w znacznym sensie kolektywnym. Przeświadczenie to opierało się nie tylko na świadectwie wydarzeń początku lat osiemdziesiątych w Polsce, które ukształtowały moją generację, ale także na wiedzy wyniesionej z niektórych podręczników polskiej psychologii tamtejszych lat, które z różnym stopniem otwartości deklarowały przynależność do marksistowskiej myśli nauk społecznych. Może i paradoksalnie, bezpośrednio i pośrednio doświadczenie zarówno z małej, jak i z dużej solidarności tamtych lat, wskazywało na konieczność konstruowania świata także w terminach istotnych zbiorowości społecznych, nie tylko indywidualistycznych.

Jako doktorant-asystent (*graduale assistant*) zacząłem współpracować z grupą badaczy (Stanley Murrell, Fran H. Norris), opracowujących dane zebrane w czteroletnich, przekrojowych (panelowych; 5 fal pomiarowych) badaniach zdrowia psychicznego mieszkańców stanu Kentucky. Z dużej liczby zmiennych, zebranych przez Murrell i Norris w badaniach, wybrałem dla siebie *wsparcie społeczne*, bowiem ta zmienna wydawała mi się najbardziej *społeczna* ze wszystkich dostępnych. Było to podyktowane przekonaniem, że jestem psychologiem społecznym, tak mnie też spostrzegano, i tak przedstawiam się do dnia dzisiejszego.

W trakcie wyżej wspomnianych badań przekrojowych

pewna część respondentów próby badawczej doznała skutków powodzi, które dwukrotnie nawiedziły część stanu Kentucky. Pojawiła się rzadko spotykana szansa, aby dokonać perspektywnych badań traumy klęski żywiołowej, w których dysponowano by pomiarami sprzed wydarzenia. Stała przed nami wyjątkowa możliwość poszukiwania odpowiedzi na pytania o autentyczne zmiany w życiu ofiar wydarzeń katastroficznych.

Duże szczęście w całym tym nieszczęściu...

– Olbrzymie szczęście! To się zdarza niesłychanie rzadko: mieć badania sprzed i po katastrofie. W tamtym czasie były to dopiero drugie na świecie badania dysponujące pomiarami zdrowia fizycznego i psychicznego dokonanymi przed klęską żywiołową. Zaangażowałem się w te badania tak mocno, że zmieniłem temat mojej pracy doktorskiej na „Wsparcie społeczne w kontekście powodzi”. A miałem pisać o teorii atrybucji i agresji robić badania laboratoryjne z osiemnastolatkami.

Coraz więcej piszę, publikuję, nasz status materialny się poprawia, bo podwyższają mi stypendium. Tuż przed obroną doktoratu, w 1989 roku, przeprowadzamy się do Atlanty. Na tamtejszym uniwersytecie – Georgia State University – dostaję etat, jestem samodzielnym pracownikiem naukowym i wraz z prof. Norris, która się przeniosła do Atlanty, a ja po prostu poszedłem za nią, prowadzimy bardzo poważne (bo kosztowne) badania dotyczące zdrowia psychicznego ofiar przestępstw. I nagle pojawia się huragan Hugo. Cztery tygodnie później, gdy rozważamy badania Hugo, jest trzęsienie ziemi w San Francisco – z badawczego punktu widzenia temat równie atrakcyjny. Koncentrujemy się jednak na huraganie, bowiem Hugo przetoczył się nad Południową i Północną Karoliną, a więc bardzo blisko Georgii, gdzie jesteśmy. We wrześniu 1990 roku, 12 miesięcy po uderzeniu, zaczynamy nasze wieloletnie badania. Pracuję już w Indiana University of Pennsylvania. Dwa lata później – w roku 1992 – Florydę pustoszy huragan Andrew, jedziemy więc tam...

W 1997 roku zjawia się pan w Polsce...

– 10 lipca 1997 roku płynę wraz z moimi meksykańskimi współpracownikami małą rzeczką gdzieś w Meksyku, w okolicach Vera Cruz, gdzie niedawno przeszedł jakiś huragan. Ze stateczku oglądamy zniszczenia, jakie na lądzie wyrządził żywioł, rozmawiamy... Jeden z miejscowych, Meksykanin, który wiedział, że pochodzę z Polski, pyta: „A co ty tu właściwie robisz?”. Tłumaczę,



Opolskie Zaodrze pod wodą. Fot. Przemysław Nijakowski.

że huragan, że badania... A on na to mówi: „To ty tu badasz nasze huragany, a twoja Polska tonie”. I opowiada mi o polskiej powodzi. Wtedy dotarło do mnie, jakąż to musi być wielka powódź, skoro wiedzą o niej nawet tutaj. Byłem w szoku: to ja tu się pochylałem nad zniszczeniami w Meksyku, a Polskę niszczy woda. Sięgnąłem po miejscowe gazety i widzę zdjęcia zalanych miast, czytam, że powódź ogarnęła południowo-zachodnią Polskę. Wtedy postanowiłem: zostawiam Meksyk moim współpracownikom, ja zajmę się polską powodzią. Tu, w Opolu, pracował wtedy profesor Dariusz Doliński, którego poznałem rok wcześniej na jednej z polskich konferencji – byłem wtedy w kraju po raz pierwszy jako psycholog. Wysłałem więc do niego e-maila, że chciałbym przyjechać, liczę na jego pomoc. Doliński mi na to, że jego mieszkanie we Wrocławiu zostało zalane przez powódź, więc nie może mnie gościć, ale skontaktuje mnie z ludźmi, a może napiszę coś na ten temat do polskiego czasopisma? Zamieściłem więc w czasopiśmie „Charaktery” moje obserwacje dotyczące zachowań ludzi pod wpływem klęsk żywiołowych, a także przewidywania – poparte doświadczeniami z wcześniejszych badań prowadzonych w Stanach – odnośnie tego, co będzie działo się wraz z upływem czasu w Polsce. Wtedy odezwali się naukowcy z Uniwersytetu Opolskiego – m.in. dr Anna Bokszczanin, dr Anna Bronowicka i inni. Nawiązujemy kontakt, wymieniamy informacje – opolscy psychologowie włączyli się wówczas w pomoc psychologiczną dla ofiar powodzi, więc dzielili się ze mną swoimi obserwacjami... Temat intryguje mnie coraz bardziej. W styczniu 1998 roku – dzięki wsparciu finansowemu mojego macierzystego uniwersytetu – przyjeżdżam do Opolu. Mieszkam w „Kmicicu”, spotykam się z ludźmi zaangażowanymi w udzielanie pomocy powodzianom, wędruję po Zaodrzu... Odwiedzam różne mieszkania na Koszyka, Spychalskiej, Prószkowskiej. Jeżdżę po wioskach,

słucham tych ludzi, rozglądam się i widzę zaskakującą rzecz: w polskich warunkach, tak przecież różnych od amerykańskich, w przypadku klęski żywiołowej powieła się ten sam scenopis zachowań, potwierdzający opracowaną przez nas teorię dynamiki zachowań społecznych w obliczu klęsk. I tak rozpoczęły się moje badania nad psychospołecznymi skutkami polskiej powodzi, a więc także nad wpływem tego nieszczęścia na rozwój problemów psychicznych u dotkniętych nim ludzi.

Jakie są podstawowe prawidłowości w reakcji na klęskę żywiołową, niezależnie od różnic kulturowych czy zasobności dotkniętego kataklizmem społeczeństwa?

– Od dziesiątków lat zarówno poeci, filozofowie (np. Voltaire, James, Freud), jak i naukowcy, systematycznie dokonujący obserwacji klęsk żywiołowych, zgodnie wskazują na obecność pokryzysowej mobilizacji heroizmu i braterstwa, operując często tak barwnymi terminami, jak „altruistyczne” lub „terapeutyczne” społeczności. Tak jest na początku klęski, ludzie na ogół natychmiast mobilizują się do działania: żeby przetrwać i żeby pomóc innym. Uruchamia się ogromna solidarność, cała społeczność przypomina wręcz utopijne społeczeństwo, pełne życzliwości, rządzące się według zasad prawdziwej demokracji. Po pewnym czasie – różnie to bywa, miesiącu, po pół roku – to wszystko zanika, niezależnie od tego, czy jesteśmy w meksykańskim Acapulco, amerykańskim Miami czy polskim Opolu, a więc różnice kulturowe aż tak wielkiego wpływu na ten mechanizm nie mają. Taka jest prawidłowość: kiedy kończy się ten początkowy altruizm, wielka solidarność i życzliwość, pojawiają się pretensje, podziały, szukanie winnych. W Polsce tych pretensji było może więcej niż w Stanach czy Meksyku, dlatego uważam, że polska powódź była, owszem, klęską żywiołową, ale przy okazji wielką katastrofą społeczną.

Bo jesteśmy nastawieni bardziej roszczeniowo?

– Nie, to nie to... Tuż po tym nieszczęściu uruchomiono dla powodźian ogromną pomoc, i finansową, i rzeczową. I pojawił się problem dystrybucji tej pomocy: jak dzielić, żeby było sprawiedliwie. Chaos był ogromny. Ludzie próbowali wybierać swoich przedstawicieli, do których mieli zaufanie, na zasadzie: jak nasi podziela, to będzie sprawiedliwie. Ale ci nasi, jak już zaczynali dzielić, nagle stawali się nimi – bo choćby nie wiem jak się starali, zawsze ktoś był z ich decyzji niezadowolony. Dzieliły organizacje – podważano ich ustalenia, mnożyły się anonimy, doniesienia, narastało rozgoryczenie, gniew. Sposoby dystrybucji były niejasne, oczywiście pojawiały się i nadużycia. Ale ogólnie ludzie nie ufali sobie nawzajem i instytucjom, które w Polsce – z powodów historycznych – nigdy nie były darzone zaufaniem. Jednym słowem: skończyła się powódź,

nadeszła fala zmęczenia, niejasności, żalu i konfliktów. Latem 1998 roku znów przyjechałem do Opola, dostałem amerykański grant. Z dwójką studentów Uniwersytetu Opolskiego robiliśmy kolejne wywiady. Profesor Wiesław Łukaszewski, wówczas związany z opolskim uniwersytetem, namówił mnie na kontynuowanie badań w ramach KBN-owskiego grantu. Bo KBN rozpiisał wówczas konkurs pn. „Człowiek w obliczu kataklizmu”. Ze zgłoszonych wniosków wybrano dwa projekty z Warszawy – projekt profesora Strelaua i profesora Reykowskiego – oraz projekt z Opola, który zgłosiłem ja jako jego kierownik. I tak zaczęliśmy niebagatelną pracę badawczą: badania były prowadzone 12, 20 i 28 miesięcy po powodzi.

W oparciu o wyniki tych badań napisał pan książkę, będącą jednocześnie pana pracą habilitacyjną – *Klęska żywiołowa czy katastrofa społeczna? Psychospołeczne konsekwencje polskiej powodzi 1997 r.*

– Część książki to dość wnikliwa synteza wiedzy o funkcjonowaniu człowieka w obliczu wydarzeń traumatycznych, oparta na analizie setek badań empirycznych zrealizowanych na całym świecie. Część druga to część empiryczna, opracowana na podstawie trzykrotnych wywiadów ankietowych z około 300 powodźianami z Opola i okolicznych wiosek. Z rezultatów badań wynika, że dwanaście miesięcy po klęsce powodzi z miasta, jak i ze wsi, wykazywali znaczne nasilenie się objawów depresji i stresu pourazowego. Osoby bardziej dotknięte powodzią przeżywały w większym wymiarze wszystkie symptomy charakterystyczne dla diagnozy zespołu stresu pourazowego (PTSD). Natrętne wspomnienia, przykre sny, iluzyjne poczucie powrotu do zdarzenia, lęki przed ponownym zetknięciem się ze stresorem, unikanie bodźców z nim związanych, uczucie obojętności i chłodu wobec innych, nadmierne pobudzenie, wyższa drażliwość i częste wybuchy gniewu – wszystko to rok po powodzi było realnością psychologiczną wielu powodźian. Doświadczenie traumy powodzi kontynuowało swój szkodliwy wpływ na dobrostan psychiczny ofiar 20 i 28 miesięcy po powodzi.

Mówi pan o utracie zdrowia psychicznego. Ale dlaczego uznaje pan tę klęskę za katastrofę społeczną?

– Badania wykazały również, że bezpośrednie reakcje powodźian na społeczny stan rzeczy po zalaniu były równie silnymi, jeżeli nie silniejszymi, predyktorami (przyczynami) odroczonego zaburzenia psychicznego. Popowodziowa rezygnacja z kontaktów społecznych konsekwentnie i silnie wpłynęła za długoterminowe natężenie się problemów psychicznych. Rozgoryczenie społeczne związane z nieadekwatnością otrzymanej pomocy po powodzi i procesu dystrybucji darów było również związane z trwającą utratą dobrostanu. Dramatyczna moc społecznego wymiaru tej klęski polegała na

tym, że przestała ona być konsekwencją „działania przyrody,” bowiem przerodziła się w katastrofę społeczną.

Do Opola sprowadziła pana powódź, jednak pana więzi z naszym miastem i uniwersytetem nie tylko przetrwały do dziś, ale są coraz mocniejsze...

– Na początku przyjeżdżałem co jakiś czas ze Stanów, aby nadzorować przebieg badań nad powodzią. W pewnym momencie stałem się regularnym „gościnnym” profesorem na Uniwersytecie Opolskim. Jednym słowem, od kilku lat prowadzę zajęcia ze studentami, pracuję także nad różnymi projektami, zarówno ze studentami, jak i pracownikami akademickimi. W roku 2001 doszło do podpisania oficjalnej umowy o współpracy między Uniwersytetem Opolskim a Indiana University of Pennsylvania.

To także zasługa pańskiej żony...

– Ola (Aleksandra Kaniasty) jest prodziekanem od spraw organizacyjno-budżetowych wydziału matematyczno-przyrodniczego naszego uniwersytetu. Choć nie jest to obowiązkiem wynikającym z jej funkcji zawodowej, od dawna organizuje wymiany naukowe z Polską. Zaczęła od Uniwersytetu im. A. Mickiewicza, naszej Alma Mater. Co pewien czas gościmy w IUP studentów, jak również pracowników naukowych z Poznania, wysyłały tam także naszych. Wymiana z Poznaniem dotyczy głównie nauk ścisłych: fizyki i chemii. W Uniwersytecie Opolskim nawiązaliśmy wymianę z Instytutem Psychologii, ze zrozumiałych względów. Cztery studentki psychologii UO były u nas na stypendiach półrocznych i rocznych ufundowanych przez IUP. Trzy z nich pracują w tej chwili nad doktoratami, w tym jedna w USA. Ola nawiązała także kontakt z waszym Instytutem Sztuki, dzięki czemu nasi plastycy wspólnie z opolskimi jeżdżą na plenery malarskie w Polsce. Gościły u nas także dwie studentki z Opola na semestralnych stypendiach.

Więcej studentów z UO gości u was, niż waszych przyjeżdża do nas... Dlaczego?

– Przede wszystkim z powodów językowych, Amerykanie nie mają potrzeby uczenia się języka polskiego. Ale próbujemy bilansować nasze działania tak, aby obie strony uzyskały jak najwięcej korzyści z wymiany. W czerwcu 2004 roku IUP zorganizowało wspólnie z opolską psychologią szkołę letnią i do Opola przyjechało wraz ze mną dwunastu amerykańskich studentów psychologii. Razem z grupą studentów psychologii UO przez pięć tygodni brali udział w zajęciach na dwóch kursach: „Psychologiczne konsekwencje wydarzeń traumatycznych” i „Świadomość – podłoża biologiczne, ewolucyjne i kulturowe”. Ja prowadziłem kurs o traumie, ten drugi o świadomości – mój kolega z IUP, Ray Pavloski, którego dziadkowie wyemigrowali z Polski jako dzieci ponad

sto lat temu. Oczywiście zajęcia te prowadzone były po angielsku, z czego bardzo skorzystali opolscy studenci. Więcej informacji o tym programie można znaleźć na: <http://www.iup.edu/natsciandmath/Poland/poland-summer.html>.

Władze Uniwersytetu Opolskiego i pracownicy Instytutu Psychologii stworzyli nam wspaniałe warunki bytowe. Amerykanie mieszkali w „Kmicicu”, stołowali się w dobrych restauracjach, przygotowano dla nas specjalne wykłady o historii i kulturze polskiej. Polscy studenci, ci z psychologii, którzy brali udział w zajęciach, jak i też studenci z anglistyki, zaopiekowali się naszymi gośćmi w sposób niezwykle ciepły. Wywieźliśmy z Opola olbrzymią ilość wrażeń, stworzyły się znajomości, być może – na całe życie. Ale najważniejszym jest to, że był to bardzo pouczający pobyt, nie tylko ze względów naukowych. Większość naszych Amerykanów nie była dotąd w Europie, co więcej – nie wyjeżdżała poza Stany Zjednoczone. Kilku z nich, jak się okazało, miało w rodowodzie pochodzenie wschodnioeuropejskie. Byli zaskoczeni polską gościnnością i samym krajem, o którym wiedzieli bardzo mało, bo, niestety, przeciętnemu Amerykaninowi Polska kojarzy się głównie z różnymi nieszczęściami i opresjami. Co zresztą sprawia, że zajęcia o traumie są bardzo odpowiednie dla obcokrajowców. Byliśmy w Oświęcimiu, Krakowie, Warszawie i w Trójmieście. Odwiedziliśmy także Jasną Górę, Wrocław i Malbork. Kilku z naszych studentów uznało tę wyprawę za przełomową w ich życiu. Bardzo dużo się nauczyli, nie tylko o Polsce, ale i także o historii i kulturze narodów europejskich. Wyjechali z Polski w przekonaniu, że nasza ojczyzna jest faktycznie bożym igrzyskiem.

Tym sposobem sprowadzili państwo do swojego uniwersytetu w mieście Indiana w Pensylwanii kawalek Polski...

– Jesteśmy z żoną jedynymi Polakami zatrudnionymi w Indiana University of Pennsylvania. Ktoś mógłby jednak pomyśleć, że jest nas tam cała chmara, bo już po wejściu do gmachu głównego natknie się na blisko 120 wiszących na ścianach doskonałych polskich plakatów – filmowych, teatralnych i innych. Plakaty zostały подарowane naszemu uniwersytetowi przez Krzysztofa Dydo, właściciela krakowskiej Galerii Plakatu, którego moja żona zaprosiła na uniwersytet z wystawą i wykładami. Te plakaty robią prawdziwą furorę, Amerykanie proszą nas, żeby im je przywozić z Polski, wieszają je w swoich biurach, domach, a nowo otwarty budynek Wydziału Muzyki jest także cały udekorowany polskim plakatem muzycznym. Za dwa miesiące odbędzie się przegląd polskich filmów dokumentalnych i seria wykładów o twórczości Kieślowskiego. Także w tym semestrze nasza córka Natalia reżyseruje „Emigrantów” Mrożka na scenie teatru studenckiego. Staramy się, aby co jakiś czas w naszym kampusie pojawiło się coś polskiego.

Poniższy fragment pochodzi ze złożonej do druku książki prof. Krzysztofa Frysztackiego zatytułowanej *Socjalna Ameryka. O obszarze pomocy społecznej i pracy socjalnej*.

Nierozwiązywalna kwestia sprawiedliwości społecznej i jej korelaty

...Jest to problematyka zarówno zakorzeniona w historii myśli filozoficznej i społecznej, jak i opierająca się na pewnych kluczowych pracach współczesnych, by przypomnieć oczywiście J. Rawlsa *A Theory of Justice* i D. Harvey'a *Social Justice and the City*. Sam dążę do wkomponowania również tego wątku w całość prowadzonych rozważań, podkreślając, że jest on obecny zarówno w teorii, jak i w praktyce życia amerykańskiego, oraz, co zapewne wyraźnie wynikało już z poszczególnych wcześniejszych uwag, w sposób wręcz zasadniczy powiązany z myśleniem oraz zastosowaniami w obszarze pomocy społecznej i pracy socjalnej. W najogólniejszym przy tym ujęciu można owym amerykańskim aspektem sprawiedliwości społecznej przypisać pięć cech. Po pierwsze, odrzucana jest raczej uniwersalistyczna koncepcja, pochodząca z oświeceniowego racjonalizmu, na rzecz założenia, że życie społeczne jest przede wszystkim zróżnicowane i że ta różnorodność powinna być honorowana oraz wykorzystywana. Po drugie zatem, że warto i należy myśleć praktycznie, nie stawiając sobie za cel abstrakcyjnego niwelowania różnic, tylko dążąc do ewentualnego tworzenia instytucji wspierających trwanie i znaczącą wartość poszczególnych grup społecznych oraz ich członków, bez stosowania mechanizmów opresyjnych. Po trzecie, że zajmując się sprawiedliwością, skazani poniekąd jesteśmy

(co wcale nie musi oznaczać czegoś negatywnego) na analityczny eklektyzm, w ramach którego pojawiają się czynniki i zasady (re)dystrybucji, ładu społecznego i moralnego, więzi społecznych, ekonomicznego wzrostu i efektywności, równowagi ekologicznej i innych. Po czwarte, że pewna ogólna wartość i płynące z niej założenie typu „fairness” mogą być praktycznie połączone ze wspomaganiami na przykład określonej „sytuacji startowej” tych, którzy ze względów dziejowych, z powodu utrwalonych niekorzystnych wzorów normatywnych i strukturalno-funkcjonalnych, znajdują się niejako z definicji w trudniejszej sytuacji. Po piąte, że ideologiczne, polityczne i wręcz zdroworozsądkowo motywowane przejawy niezgody w tym zakresie, odmienności stanowisk co do poszczególnych zjawisk i korygujących w zamierzeniu kierunków działania, są akceptowaną częścią życia tamtejszego społeczeństwa, z dążeniem do konkretnych rozstrzygnięć. Potężnym i uważanym za oczywiste narzędziem są znowu procedury sądowe, tak jak ostatnio w rozstrzygniętych przez Sąd Najwyższy dwóch powiązanych ze sobą przypadkach, *Gratz v. Bollinger et al.* oraz *Grutter et al. v. Bollinger et al.*, odnoszących się do zasad przyjmowania nowych studentów, stosowanych przez *University of Michigan*. Decyzje te, z właściwą owemu sądowi ostrożnością, zasadniczo rzecz biorąc, potwierdziły ograniczoną formułą *affirmative*

action w zakresie wspomaganiania (częściowego uprzywilejowywania) członków segmentów społeczeństwa uważanych za mniejszości w dostępie do wyższego wykształcenia na renomowanej uczelni. W sumie, powiedzmy tak, że idea i pojęcie sprawiedliwości społecznej nie odstręczają, ale są kontrolowane i konfrontowane z perspektywy wolności oraz równości w zakresie podejmowanej aktywności.

Tendencje te wyraźnie odzwierciedlają się w żywej skądinąd poświęconej temu wymianie poglądów w kręgu socjalno-pomocowym. Jak to w swoistym soczystym języku sprecyzowała jedna para autorów (Chatterjee i D'Aprix 2002), są dwa zasadnicze kierunki społecznego konstruowania sprawiedliwości i dwie jej funkcje: wspieranie tych, którzy są zmarginalizowani, w powiązaniu na ogół z tendencją do wymagającej tego zmiany społecznej, oraz przywracanie i wzmacnianie istniejącego ładu społecznego. Tym zaś teoretycznym i przede wszystkim aplikacyjnym pomostem, który najbardziej łączy obie funkcje, jest formuła „odbudowująca”, mająca przywracać utracone możliwości funkcjonowania w drodze, którą z kolei można określić jako „reagującą regulację” (Burford i Adams 2004). Błędem, zgodnie z tym samym rozumowaniem, byłoby pomijanie lub pomniejszanie którejkolwiek z tych stron, do czego być może pracownicy socjalni są skłonni, kładąc nacisk na pierwszą.

L. Pelton (2001: 433) przeniósł tę problematykę i dylematy do powiązanego zagadnienia, jakim jest postrzeganie spraw i problemów społecznych bardziej przez pryzmat życia indywidualnego lub grupowego. Podkreślił, że sprawiedliwość społeczna jest pewną centralną i uogólniającą w swym zasięgu misją pracy socjalnej, ale powinna być odnoszona do życia jednostkowego oraz, by tak rzec, na tym poziomie weryfikowana. W ostatecznym rozrachunku, to jednostki padają ofiarą eksploatacji i przemocy, to one są pozbawiane należnych im praw. Co więcej, dzieje się tak niejednokrotnie w imię „wspólnego dobra”, przez wzgląd na domniemane interesy ogółu. Sukces lub porażka pracy socjalnej wiążą się z tym, czy to, co słuszne, sprawiedliwe, jest zabezpieczone w życiu indywidualnym. Społecznie sprawiedliwa zbiorowość to zbiorowość bez dyskryminacji, która dotykałaby poszczególnych jej członków. Jest to pewne wyzwanie dla niektórych stanowisk w pomocy społecznej i pracy socjalnej, ponieważ cechą charakterystyczną płynącej z ich strony interwencji są choćby domniemane założenia na temat szerszych zbiorowości, do których dane jednostki czy rodziny należą i częste traktowanie tych założeń jako wskazówek sugerujących takie lub inne kierunki działania właśnie wobec poszczególnych osób. W odpowiedzi jednak (Scanlon i Longres 2001: 443–444) kładzie się również łatwy do przewidzenia nacisk na użyteczną wymowę np. statystycznie uchwytnych różnic między całymi kategoriami czy grupami społecznymi, do których to różnic należy sięgać, dążąc do tego, by określone zasoby mogły być bardziej dostępne (to decydujące słowo) społecznym segmentom – czyli ich przedstawicielom – wcześniej owego porównywalnego dostępu pozbawionym. Wiąże się z tym również raczej „grupowy” niż indywidualistycznie zorientowany pogląd, że wielokulturowość tego społeczeństwa powinna właśnie z punktu widzenia

pewnego dobra ogólnego znajdować odbicie w konkretnych miejscach i formach społecznego funkcjonowania, choćby wśród wspomnianych studentów oraz w zespołach pracowników akademickich. Siła i praktyczny wpływ takiego rozumowania zależą w znacznym stopniu od poszczególnych sytuacji, od zmiennych lokalnie i regionalnie kierunków ich interpretowania, naturalnie od ogólniejszych tendencji społeczno-kulturowych i często z nimi powiązanych rozstrzygnięć politycznych oraz prawnych.

Sprawiedliwość społeczna może być traktowana jako swoisty proces, jako strumień działań podejmowanych w konkretnych sprawach i prowadzących do następnych, jako że świat jest i pozostaje „społecznie niesprawiedliwy” (Reisch 2002). W przypadku pracy socjalnej działania te powinny polegać na przyczynianiu się do tworzenia takich społecznych realiów, by ludzie zarówno indywidualnie jak i w grupach mogli wieść przyzwoite życie i realizować swój potencjał. Wymaga to pierwiastków „humanizowania” tego, co można nazwać polityką na rzecz sprawiedliwości społecznej: takiego wspomaganie, by ci, którzy korzystają z dystrybucji i otrzymują pomoc, zachowywali jednocześnie swoją godność; pozytywnego zakładania, że takie wspomagane osoby i grupy będą w pewnym czasie i w pewien sposób zdolne spłacić społeczeństwu swój, mówiąc umownie, dług; unikania zatem formalnych warunków pomocy na rzecz pobudzania samoistnej w życiu tych ludzi odpowiedzialności (Reisch 2002: 351). Ponieważ zaś praca socjalna jest i musi być praktyczna, oznacza to więc dążenie do tego, co jest określane mianem sprawiedliwej praktyki (Finn i Jacobson 2003). Konstruowane wokół pięciu podstawowych czynników, jakimi są znaczenie, kontekst, władza, historia, możliwości, podejście to kładzie nacisk na krytyczne rozumienie w praktyce socjalnej, jak również na etyczne i polityczne zaangażowanie. W podsumowującym

skrócie, sprawiedliwa praktyka jest wyzwaniem pod adresem pracowników socjalnych, by weryfikować, jak i ze względu na jakie założenia przypisują znaczenie ludzkim doświadczeniom. Powinna kierować ku odczytywaniu kontekstu problemów społecznych oraz zasad dominacji prowadzącej do przewagi takich a nie innych punktów widzenia w procesie konstruowania świata społecznego. Oznacza również uświadamianie sobie wpływu historii na definiowanie problemów społecznych i mających im odpowiadać instytucji. Ma wreszcie powodować otwarcie na możliwość nowych, alternatywnych rozwiązań. W konsekwencji, powinno oznaczać to, by powtórzyć kolejne pojęcie, przyjmowanie stanowiska dialogowego, prowadzącego do kontynuowanego i odnawianego interpretowania głównych reguł społeczeństwa i jego pracy socjalnej (Finn i Jacobson 2003: 73–74).

W zgodzie z tymi wątkami powtórzmy również, że punktu widzenia pracy socjalnej sprawiedliwość społeczna jest „sprawiedliwością w działaniu” (Burkemper i Stretch 2003: 3), jest zaangażowaniem wywodzonym zarówno z empirii, jak i z uogólnionej koncepcji praw oraz obowiązków społecznych, a w konsekwencji zobowiązań samych pracowników socjalnych. Stąd też charakterystyczny i dokładnie temu odpowiadający motyw pracownika socjalnego jako praktyka sprawiedliwości społecznej. J. Birkenmaier przeprowadziła analizę i prezentację orientacji na sprawiedliwość społeczną w przypadku różnych ról pracowników socjalnych. Wykorzystajmy tutaj przykładowo podstawowe tego cechy sugerowane osobom prowadzącym bezpośrednią praktykę kliniczną z jednostkami i rodzinami (2003: 50–51): rozwijanie modelu praktyki łączącego tę bezpośrednią działalność z ideą zmiany społecznej; odwoływanie się do podstawowych niezaspokojonych potrzeb ludzkich, pomaganie klientom w definiowaniu ich potrzeb i w podejmowaniu własnych

decyzji, promowanie umiejętności przywódczych i zachęcanie do demokratycznej partycypacji; badanie istniejących zasobów w szerszych społecznościach, angażowanie się w funkcjonowanie tych społeczności i zachęcanie klientów do tego samego; kładzenie szczególnego nacisku na obniżanie wszelkich form przemocy i dyskryminacji; kładzenie takiego samego nacisku na rozwój tych technik, dzięki którym może dochodzić do rozwiązywania konfliktów bez przemocy; wzmacnianie szacunku dla ludzi pochodzących z innych krajów i kultur; nawiązywanie samemu ściślejszej współpracy z innymi praktykami pracy socjalnej, administratorami w tym obszarze, instytucjami edukacyjnymi przygotowującymi do tego zawodu; ewentualne wychodzenie poza bezpośrednią praktykę i angażowanie się, jeśli trzeba, w szersze formy akcji społecznych. Konkluzja z tego płynąca to założenie i przekonanie, że sprawiedliwość społeczna nie jest nieco abstrakcyjnym wytworem wyobraźni, tylko zespołem bardzo konkretnych składników ludzkiego życia i relacji współdziałania zachodzących między klientem oraz pracownikiem socjalnym, ale że

te składniki i relacje występują w szerszym kręgu uwarunkowań, do których trzeba się zwrócić.

O jakich zatem czynnikach składających się na ogólniejszy kontekst społeczny mówimy jako o tych, które są przez pracowników socjalnych przede wszystkim brane pod uwagę, gdy ci podejmują kwestię sprawiedliwości społecznej? W odpowiedzi na tak postawione pytanie, zwróćmy uwagę na dwa sploty zjawisk i właściwości, a mianowicie zasad wolnorynkowych i prywatyzacji oraz praw ludzkich.

Stwierdźmy najpierw, że jeśli spojrzeć globalnie, mamy do czynienia z oczywistym i nie budzącym wątpliwości co do kierunku procesem prywatyzacji gospodarki, przestąpieniem, instytucji i zrzeszeń funkcjonujących w związku z określonymi celami oraz sposobami życia. W Stanach Zjednoczonych, gdzie sektor publiczny był zawsze stosunkowo ograniczony, proces ten oznacza bądź to przekazywanie i sprzedaż w takiej czy innej formie co najmniej części wcześniej publicznych służb (takich oczywistych, jak transport, czy innych, jak więziennictwo), jak również bliskie temu w sensie funkcjonalnym tendencje władz

rządowych do kontraktowania publicznych do tej pory zobowiązań na rzecz zarówno sektora non-profitowego, jak i firm prywatnych kierujących się zasadą zysku, jak i wreszcie adaptowanie zasad organizacyjno-zarządzających dominujących w obszarze tejże działalności prywatnej. Znane powszechnie i powtarzane argumenty to dążenie do obniżania podatków, efektywność finansowa i wydajność pracy, większa elastyczność w odpowiedzi na popyt itd. Dodajmy, że jeśli kroki polegające na przekazywaniu i kontraktowaniu możemy określić mianem klasycznej, bezpośredniej prywatyzacji, to owa tendencja do restrukturyzacji i reorganizacji pozostającego sektora publicznego zdobyła już sobie miano nowej prywatyzacji (Jurik 2004: 2–5); spośród rozmaitych jej właściwości znowu wyróżnimy jedną, określaną jako „organizacyjny komunitarianizm”, polegającą na wzmacnianiu lojalności wobec danej agencji i gotowości do pracy zespołowej, na ustalaniu porozumień między kierownictwem i pracownikami nawiązujących metaforycznie do życia rodzinnego i społecznościowego w dążeniu do większej odpowiedzialności. Charakteryzowane jako nowa prywatyzacja zmiany mogą być przy tym i są stosowane w bardzo różnych wymiarach działalności, by znowu skorzystać z N. Jurik i jej analizy między innymi municipalnej gospodarki wodnej oraz zmieniających się zasad funkcjonowania publicznych uniwersytetów, w których to ostatnich *fundraising*, zdobywanie grantów, zabezpieczanie praw autorskich i własności intelektualnej własnego środowiska wysuwają się na czoło, być może kosztem tradycyjnej działalności dydaktycznej i społecznej (2004: 6–8).

Nawet jednak z punktu widzenia zdecydowanie „publicznie” myślących przedstawicieli nauk społecznych ten trend nie musi oznaczać jednoznacznie negatywnych konsekwencji dla sprawiedliwie wyobrażonego



Rys. Piotr Kądziołka, V rok edukacji artystycznej, Instytut Sztuki UO.

społeczeństwa. Odpowiedzią, nie po raz pierwszy naturalnie, powinna być potrójna formuła, w postaci badań, nauczania oraz aktywizmu społecznego. Czy i kiedy pojawiają się warunki skłaniające do rozwoju publicznych raczej niż prywatnych usług? Kiedy nowa prywatyzacja, kiedy zaś ewentualnie inne rozwiązania są najlepszą reakcją na nieuchronne ograniczenia finansowe? Czy i jakie siły społeczne są w takich warunkach do wykorzystania? Te i inne pytania powinny w owym potrójnym podejściu znajdować swoje odzwierciedlenie. Etyka pomocy i zaangażowania może być przenoszona do różnych sfer całego społeczeństwa, rynkowych i nierynkowych, tworząc odpowiednią uogólnioną polityczną i społeczną agendę skorelowaną z wartościami sprawiedliwości (Caputo 2002).

Z kolei, wprowadźmy fundamentalny wątek praw ludzkich. Z pewnym zaskoczeniem można co prawda skonstatować, że, przynajmniej zdaniem niektórych interpretatorów, inkorporowanie tej problematyki do amerykańskiej pracy socjalnej przybierało (przede wszystkim dawniej) stosunkowo skromną postać (Reichert 2003: 6–13). Mogło tak być z trzech powodów. Po pierwsze, ze względu na pewną domniemaną rozbieżność między konceptualną precyzją tematyki praw ludzkich oraz dalej posuniętym niedopowiedzeniem związanym ze społeczną sprawiedliwością. Po drugie, ze względu na wyraźnie występujące wśród pracowników socjalnych przekonanie o politycznym przede wszystkim, a więc mniej ich dotyczącym, charakterze tych praw. Po trzecie, w związku ze pewnymi specyficznymi cechami tejże amerykańskiej pracy socjalnej, w której prawa ludzkie bywały traktowane jako idea „obcego”, zagranicznego pochodzenia. Uwagi te jednak mogą być oczywiście skomentowane w sposób krytyczny i polemiczny, chociażby jeśli weźmie się pod uwagę aktualne oficjalne deklaracje *National Association of Social Workers*, w których praca socjalna i prawa

ludzkie są traktowane jako naturalni sprzymierzeńcy. W każdym razie, są to obszary co najmniej ze sobą skorelowane. Podkreślmy na przykład, by nieco ukonkretnić, że Powszechna Deklaracja Praw Człowieka może być traktowana jako przełomowy fakt pozwalający i wręcz nakazujący myśleć w odnowiony sposób między innymi o zjawiskach i prawach socjalnych. Branie tych praw pod uwagę wzmacnia aspekt wolności w ludzkim życiu i założenie, że korzystanie z wolności, przy wykorzystywaniu własnych przedmiotów jest naturalnym, słusznym, sprawiedliwym sposobem życia.

Pod koniec, wróćmy do owego „nierozwiązywalnego” aspektu kwestii sprawiedliwości społecznej. Powtórzmy raz jeszcze, że pewne mechanizmy i pewien zakres redystrybucji zdają się być zasadniczo związane z jej teorią i praktyką, co oczywiście prowadzi do kontrowersyjnego zagadnienia społecznej legitymizacji i przyzwolenia. Nie dążąc do żadnego kategorycznego podsumowania (takiego zapewne

nie ma) powiem, że w Ameryce tym szczególnie „dobrze odbieranym”, a co za tym idzie wzmacniającym pomoc społeczną i pracę socjalną wymiarem legitymizacji są przedsięwzięcia traktowane jako swoiste inwestycje, jako kroki na rzecz szeroko rozumianej ekonomicznej partycypacji i płynącego z niej wzrostu (Midgley 1999). Mogą one przy tym przybierać zróżnicowaną, niekoniernie „materialną” postać. Powtórzmy, że kapitał ludzki i kapitał społeczny zdobyły sobie wyraźne pod tym względem zrozumienie, tak więc są czynnikami traktowanymi jako rozsądnie powiązane z paradygmatem sprawiedliwości społecznej i ułatwiającymi jej socjalną interpretację. Takie i podobne konkretne kierunki działania potwierdzają w pozytywnym sensie stosunkowo ustabilizowane miejsce problematyki sprawiedliwości społecznej w społeczeństwie amerykańskim i zdecydowane poparcie dla niej w obszarze socjalno-pomocowym.

Krzysztof Frysztacki

Bibliografia:

- Burford, Gale i Paul Adams. 2004. „Restorative Justice, Responsive Regulation, and Social Work”. [w:] *Journal of Sociology and Social Welfare*, vol. XXXI, No. 1, s. 7–26.
- Burkemper, Ellen M. i John J. Stretch. 2003. „The Right of Justice: Contributions of Social Work Practice-Research” [w:] John J. Stretch, Ellen M. Burkemper, William J. Hutchison i Jan Wilson, eds. *Practicing Social Justice*. New York, NY: The Haworth Press, s. 1–5.
- Caputo, Richard K. 2002. „Social Justice, the Ethics of Care, and Market Economies”. W: *Families in Society: The Journal of Contemporary Human Services*, Vol. 83, No. 4, s. 355–364.
- Chatterjee, Pranab i Amy D'Aprix. 2002. „Two Tails of Justice”. W: *Families in Society: The Journal of Contemporary Human Services*, Vol. 83, No. 4, s. 374–386.
- Finn, Janet L. i Maxine Jacobson. 2003. „Just Practice: Steps Toward a New Social Work Paradigm”. W: *Journal of Social Work Education*, Vol. 39, No. 1, s. 57–78.
- Jurik, Nancy C. 2004. „Imagining Justice: Challenging the Privatization of Public Life”. W: *Social Problems*, Vol. 51, No. 1, s. 1–15.
- Midgley, James. 1999. „Growth, Redistribution, and Welfare: Toward Social Investment”. W: *Social Service Review*, Vol. 73, No. 1, s. 3–21.
- Pelton, Leroy H. 2001. „Social Justice and Social Work”. W: *Journal of Social Work Education*, Vol. 37, No. 3, s. 433–439.
- Reichert, Elizabeth. 2003. *Social Work and Human Rights: A Foundation for Policy and Practice*. New York, NY: Columbia University Press.
- Reisch, Michael. 2002. „Defining Social Justice in a Socially Unjust World”. W: *Families in Society: The Journal of Contemporary Human Services*, Vol. 83, No. 4, s. 343–354.
- Scanlon, Edward i John F. Longres. 2001. „Social Work and Social Justice: A Reply to Leroy Pelton”. W: *Journal of Social Work Education*, Vol. 37, No. 3, s. 441–444.

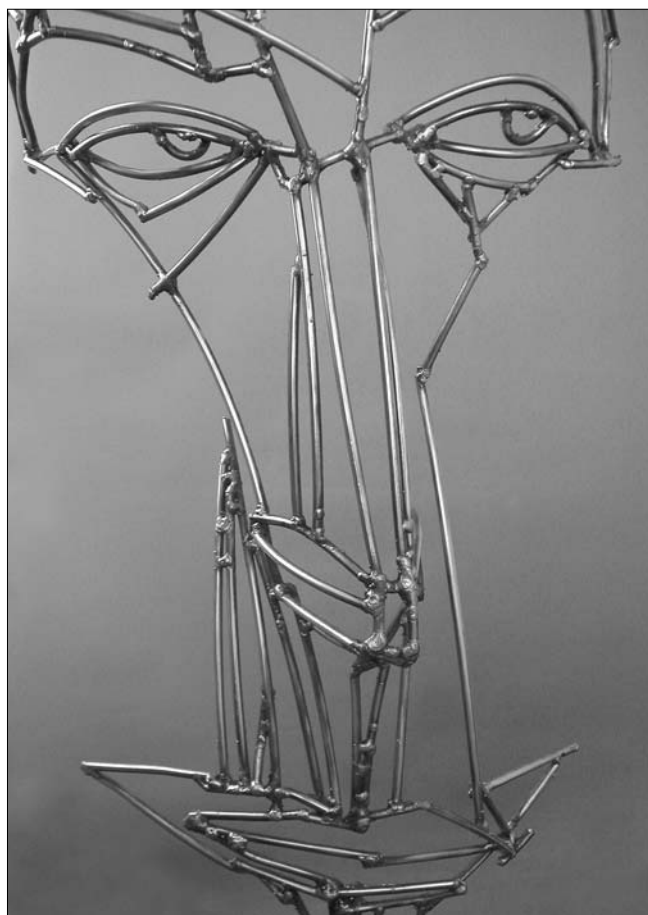
Wit Pichurski



Profil (marmur)



Mechanik i Muza (ceramika patynowana)



Ażurow (stal)

Wit Pichurski

Absolwent ASP w Krakowie, wydział rzeźby (dyplom z wyróżnieniem w pracowni prof. Mariana Koniecznego). Stypendium na Uniwersytecie Wiedeńskim (2000). Pracownik Instytutu Sztuki UO.

Uczestniczył w sympozjach i plenerach w kraju i zagranicą. Laureat Nagrody „Nowej Trybuny Opolskiej” za debiut na Salonie Jesiennym 2001, finalista konkursu Obraz Roku 2001 (Muzeum Narodowe w Warszawie 2002), zwycięzca konkursu na projekt pomnika Karola Musioła (2002). Laureat Nagrody Prezydenta Miasta Opola na Salonie Jesiennym 2002, Nagrody Towarzystwa Przyjaciół Opola na Salonie Jesiennym 2003 oraz Nagrody Galerii Studzienna na Salonie Jesiennym 2004.

Ważniejsze realizacje:
pomnik św. Maksymiliana Kolbego w Brzegu (1999) i medalu z okazji 10-lecia Uniwersytetu Opolskiego (2004).

Fot. Tadeusz Parcej

Wiersze Jana Goczoła

Jeszcze raz mnie wytropiły – dwa, może trzy wiersze, jeszcze nie napisane. Jednak czuję coraz mocniej, że brakuje mi oddechu. A one czekają do chwili ostatniej, kiedy wyjdę im naprzeciw już na chwiejnych kolanach, prosząc już tylko o łaskę słowa.

Słowa będą zdawkowe. Nie napisane wiersze wiedzą, że lękam się tej prawdy, która za nimi błyska w ciemności białymi zębami. Jeszcze raz próbuję spojrzeć za siebie tam, gdzie pamięć widywała uspokajające znaki nad północną smugą lasu. Dzisiaj śnieżyca stamtąd; powieki zakleja.

2-3 stycznia 2006

Kronika twojego ostatniego złudzenia
liczy 2200 dni (noce
w tej lichwiarskiej darowiźnie słów
mógłbyś rachować potrójnie, zważywszy
gonitwy serca na oślep).

Ostatnie ziarna wyczekiwania wymieciono z ciebie
dla wróbli. Będą nad tym ćwierkały pół dnia,
może nawet krócej.

Pustego teraz, może ktoś cię zechce nabyć
po przecenie. Na lamus dla niewygodnych wspomnień,
na przykład. Więc udawaj krzepę.

lipiec 2003

Może jeszcze tylko lęk przed jutrzejszym dniem
podtrzymuje oddech wiary w dawne słowa,
które stały się olśnieniem, pełną jaskrawością
pod dawno wygasłym niebem.

Dzień jutrzejszy będzie trwał dłużej o trzy minuty.
O tyle dłużej może trwać konanie.

15-16 stycznia 2006

Gdybyż to był jawny zawał
rozlegle widoczny na ekranie!

Ale serce pękło do wewnątrz,
w tajemnicy nie do ujawnienia.

Mięsień serca jeszcze pracuje jak dawniej:
i raz – i dwa, i raz – i dwa, jak mięsień
łydki albo ramienia. Rutynowo,
nie nasłuchując krzyku rozumu. Myśli,
jak spłoszone przez jastrzębia gołębie,
kołują na oślep.

lipiec 2003

Lazurowy Anioł

Basi i Arturowi Wysockim

Śpiew Anioła ma barwę lazuru.
Od stóp do głowy cały się unosi w tych lazurach,
jak w wysokiej chmurze z zaświatów.

To jest głos kobiecy, może – gdy się wsłuchać
w ciemnościach nocy – głos dziewczęcy.

W którą stronę ten głos się unosi – ku przeszłości,
w której wspomnienia się kurczą od coraz większego chłodu?
Ku przyszłości, w której marzenia wciąż jeszcze się grzeją?

W oczach Anioła nie wyczytam odpowiedzi:
Anioł mocno przymyka powieki, głowę podnosząc ku niebu.

26 lipca 2004

Jacek Gutorow

Spacerując po nieznanym mieście...

Pięć uwag na marginesie nowej książki Ireny Wyczółkowskiej

1.

Jak pokrótce opisać nową książkę poetycką Ireny Wyczółkowskiej? Jest to zadanie niewątpliwie trudne, wiersze tej autorki są bowiem wyjątkowo odporne na wszelkie zabiegi krytycznoliterackie i zdumiewająco łatwo wymykają się próbom określenia tego, co jest w nich najcenniejsze. Choć są to wiersze precyzyjne i konkretne, to niełatwo sprowadzić je do „prozaicznych” parafraz.

2.

W wierszu „Śnieg” doszukuję się czegoś w rodzaju poetyckiego *credo*:

*Zawsze to samo! Coś – poprzez coś innego,
kluczac, okrężną drogą, nigdy rzecz
sama w sobie. Czy na tym ma to polegać?
Jakby ktoś miał wytropić,
coś udaremnić, odebrać – co?*

Obrazy kluczenia i tropienia nie są może w tych wierszach częste, jednak w trudno uchwytny sposób wyznaczają ich tonację. Choć mogłoby się wydawać, że Wyczółkowska woli język bezpośredni – w każdym razie doskonale odnajduje się w mowie potocznej i rejestrach kolokwialnych – to przecież kolejne lektury *Ulicy równoległej* odślaniają poziomy wieloznaczności i poetycką wrażliwość na poszczególne słowa, a nawet dźwięki.

3.

Zresztą tropy prowadzą w najróżniejsze strony: charakterystyczną cechą tomu jest jego różnorodność, otwartość na różne języki i idiolekty. Wydaje mi się, że to odróżnia *Ulicę* od wcześniejszych książek Pani Ireny (z siedmiu wcześniejszych książek wybieram *Ptaszysko*, 1991, *Gwar utajony*, 1996 i *Wstęp do teorii jawy*, 2000). Nie żeby były to książki oparte na jednym rejestrze czy pomysł; ale wyczuwało się w nich dążenie do minimalizacji formy poetyckiej – znamienne było już nieustanne odwoływanie się do poezji i malarstwa Dalekiego Wschodu, tak jakby autorce patronowali japońscy i chińscy mistrzowie małych form. Tymczasem w *Ulicy Równoległej* mamy do czynienia z wierszami pisanymi świadomie w różnych rejestrach. Wrażenie jest takie, że poetka tłumaczy dla siebie i czytelników słowa z języków nieledwie obcych, zasłyszanych na ulicy lub w szpitalu, przeczytanych w gazecie, i nie do końca zrozumiałych. Zapewne, takie przypadkowe frazy i kwestie pojawiają się gdzieś na marginesach wierszy – ale jednak nadają im charakterystyczny posmak „mowy żywej”.

4.

Trudno się pisać o tych wierszach chyba dlatego, że organicznie wyrastają z pojedynczych słów i zdań, rodzą do odrębnego życia, i już nie dają się sprowadzić do początkowych konstatacji. Tyle w tej książce nieprzewidywalności, tyle zaskakujących zwrotów i tropów. Jak w wierszu zaczynającym się od słowa „zejście”:

*a czasem się bardzo powoli
schodzi
– jakby tu można być ostrożnym:
uwaga ostry kamień uwaga kolczasta gałązka –
nie dostrzegając nikogo niczego
patrzac przed siebie*

Ale niejako wbrew temu fragmentowi książka zwraca się ku przeszłości, patrzy wstecz na lata minione (jak w świetnym wierszu „Bywajcie, lata pięćdziesiąte”), podąża tropem i trybem nostalgicznym.

5.

Tropem niewątpliwie najważniejszym jest wspomnienie matki – jej obraz przywołany zostaje w wielu wierszach – ale czasami nostalgia otwiera się na jakiś inny wymiar; inny świat pojawiający się pokątnie i prowincjonalnie, ale zawsze świeżo i w sposób ledwie uchwytny:

*Spacerując po nieznanym mieście
odkryłam ulicę Równoległą,
właśnie tak się nazywała – Równoległa.*

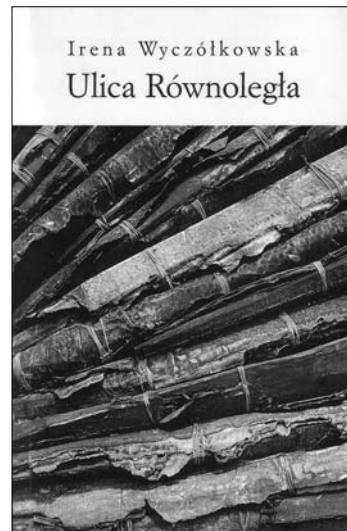
*Popatrzyłam na kwiaty w oknach:
może to ja podlewam te pelargonie,
może tu zawsze je lubiłam?*

Mam tutaj kota, a nie psa, i nawet psów się boję?

*A dziecko, które się nie urodziło,
tu ma się dobrze,
lubi stawać przed klatką z królikami
tam za koślawym bzem, w kącie podwórka.*

(„Równoległa”)

Irena Wyczółkowska. *Ulica Równoległa*.
Biblioteka Wrocławskiego Oddziału SPP, Wrocław 2005.



Szyldy się zmieniają, my – niewiele

Z Leszkiem Oldakiem, artystą-grafikiem, ilustratorem książek i scenografem, rozmawia Barbara Stankiewicz

– Twoje rysunki zdobywają nagrody na kolejnych „Satyrykonach”, zdobią okładki i wnętrza wielu polskich pism, ilustrujesz także książki. Przez wiele lat pracowałeś jako grafik w „Trybunie Opolskiej”. Twoje nazwisko kojarzy się z często gorzkimi, często prześmiewczymi rysunkami-felietonami, którymi komentujesz wszystko, co się wokół nas dzieje. Mało kto jednak wie, że po studiach na Wydziale Architektury Politechniki Wrocławskiej przez dziewięć lat pracowałeś jako scenograf, m.in. przy produkcji filmów „Kochaj albo rzuć” Sylwestra Chęcińskiego czy „Kobieta samotna” Agnieszki Holland...

– Wcześniej projektowałem okładki dla popularnego w latach siedemdziesiątych pisma „Ty i ja”, później związałem się z wrocławskim „Informatorem Kulturalnym”, końcu trafiłem – za namową scenografa Adama Kopczyńskiego – do filmu. I na dziewięć lat utknąłem w branży filmowej. Pierwszy film realizowałem w Łodzi, która jest zresztą moim rodzinnym miastem. Po czterech latach pracy – jako drugi scenograf i dekorator wnętrz – dostałem etat, a odchodząc z filmu, byłem już scenografem filmowym I kategorii. Cóż, była to bardzo ekscytująca praca, ale praca na walizkach, spanie w hotelach, wieczna tułaczka, a właśnie urodził mi się syn...

Do trzeciej części filmu „Sami swoi”, czyli „Kochaj albo rzuć”, która miała roboczy tytuł „Big deal”, robiłem – w warszawskim studio – wewnątrz amerykańskiego mieszkania, w którym zatrzymał się Pawlak z Kargulem. To były lata siedemdziesiąte, polskie realia znacznie różniły się od tych amerykańskich, pamiętam, że ściągaliśmy, chyba z zachodnich złomowisk, klimatyzatory, lodówki, telewizor... Część ekipy wysłano do Stanów, żeby można było wmontować sceny z amerykańskiej ulicy. Pamiętasz tę wielką uliczną paradę, w trakcie której gubią się bohaterowie filmu?

– **Pewnie, że pamiętam. Nudna, długa scena...**

– No właśnie, za długa. A powód jej włączenia do filmu był prosty: skoro już wysłano ekipę aż do Ameryki, to trzeba było maksymalnie wykorzystać nakręcony tam materiał. Pracowałem także z Jerzym Hoffmanem przy



Leszek Oldak. Fot. Tadeusz Parcej

realizacji filmu „Do krwi ostatniej” – w Orzyszu, na poligonie, budowaliśmy całą wioskę: cerkiew, chałupy... Tam miała się odbyć bitwa pod Lenino. W scenariuszu przez wieś płynęła rzeczka, tymczasem na terenie wskazanym nam przez wojsko nawet strumyka nie było. Wykopaliśmy więc rów, wyłożyliśmy go folią, naпустиliśmy wody – i już czołgi mogły się przeprawić przez rzeczka. A ile dubli trzeba było wykonać – chałupy dopiero co zburzone przez czołgi, musieliśmy na nowo budować. W końcowej scenie całą naszą pracę puściliśmy z dymem – tak jak sobie tego życzył scenarzysta. Później robiłem wnętrza do telewizyjnej wersji tego filmu.

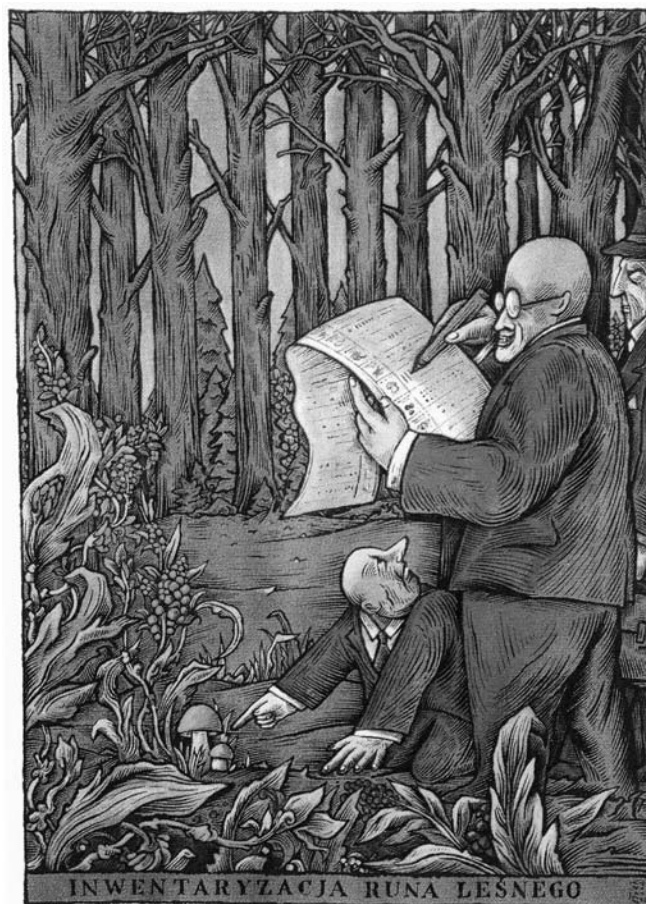
Doskonale pracowało mi się także z Agnieszka Holland. To niezwykła, bardzo komunikatywna kobieta, która robi fantastyczne filmy, jak choćby „Kobieta samotna” – z Marią Chwalibóg w roli rencistki i Bogu-

slawem Lindą, filmowym listonoszem. To był drugi – po „Aktorach prowincjonalnych” – film Agnieszki Holland, ja robiłem do niego wnętrza, byłem też drugim scenografem przy budowie dekoracji. Praca przy tym filmie była prawdziwą przyjemnością, także z bardzo przyziemnego powodu: dotąd nieczęsto zdarzało mi się pracować z reżyserem, który dokładnie wiedział o co mu chodzi i był tak dobrze, każdego dnia, przygotowany do zdjęć. Tu pierwszy klaps na planie rozlegał się rano, a nie – jak to często bywało – dopiero o czternastej.

Zdjęcia były kręcone w tzw. trójkącie bermudzkim, koszarnej, bardzo zaniedbanej dzielnicy Wrocławia. Pamiętam, pracowaliśmy nad sceną, która miała się rozegrać w domu tytułowej kobiety samotnej – budzie, która stała blisko torowiska. Bohaterka grana przez Marię Chwalibóg mieszkała tam z dorastającym synem. Nędza w piguлке: biedny pokój, jakiś koks złożony w przedśionku, wiadro, miednica. W tej scenie kobieta się myje, zasłaniając przed synem zasłonką, wiszącą na karniszu. Tak było w scenariuszu. I ten karnisz właśnie, i ta zasłonka nie dawały mi spokoju: zbyt elegancko mi się wydawały, jak na takie wnętrza. Przybiłem więc do ściany gwóźdź, zaczepiłem na nim koc i czekałem, co powie na te zmiany Agnieszka Holland. Uznała, że było to bardzo przytomne posunięcie. I to właśnie w pracy z nią ceniłem sobie najbardziej: że poważnie traktowała



Zoty medal „Satyrykonu’99”. Fot. Tadeusz Parcey



Leszek Ołdak *Inwentaryzacja runa leśnego*.

i siebie, i innych. Pomijam już fakt, że był to po prostu bardzo dobry film. Bo przy różnych zdarzało mi się pracować. Choćby pierwszy film, do którego robiłem scenografię – „Zawiłości uczuć” to dzieło się nazywało, w reżyserii Leona Jeannota. Zdjęcia zaczęliśmy kręcić w Łodzi, skończyliśmy w Przemyślu. Bzdura okropna, dialogi w stylu: „Przemyśl to piękne miasto, przemysł to sobie”. Ale ja wspominam ten film z innego powodu. Otóż był to mój pierwszy film, przy którym pracowałem jako drugi scenograf. Pierwszym był Ryszard Potocki, ojciec aktorki Małgorzaty Potockiej, który w międzyczasie się rozchorował, zresztą niedługo później zmarł. Tak więc nieoczekiwanie sam, a byłem przecież debiutantem, musiałem robić całą scenografię. To był prawdziwy chrzest bojowy.

– **Szczególnie ciepło wspominasz pracę nad nieznanym w Polsce filmem „Wall” (Ściana) – w koprodukcji amerykańsko-polskiej. Dlaczego właśnie ten film?**

– To był film o warszawskim getcie, reżyserowany przez Roberta Markowitza, na podstawie powieści Johna Her-



Leszek Ołdak *Spacer po Roztoczu.*

seya. Jedną z ról – Dolka Bersona – grał znany aktor angielski Tom Conti, ja byłem jednym ze scenografów. Film miał premierę w lutym 1982 roku, niestety w Polsce nie był rozpowszechniany. Była to bardzo trudna realizacja, ale i całkiem nowe doświadczenie, bo przekonałem się, jak bardzo różni się praca na planie tego filmu od pracy, do jakiej przyzwyczałem się przy realizacji polskich filmów. Ogromna dyscyplina, do perfekcji zaplanowany dzień zdjęciowy, niesamowita sprawność ekipy technicznej – u nas polecenie ułożenia, a więc i wypoziomowania dodatkowego odcinka szyn, na których porusza się kamera, kończyło się zwykle awanturą, tu nie było żadnych dyskusji. Z prostego powodu: ludzie mieli za te dodatkowe metry dodatkowo płacone. Pamiętam też scenę, która wywarła na mnie ogromne wrażenie: nieżyjący już aktor Eli Wallach, znany z „Siedmiu wspaniałych”, już wtedy wiekowy mężczyzna, dodajmy – gwiazdor, leży na jezdni, w kałuży. Leży tak już dwadzieścia minut, a ekipa w tym czasie naradza się, ustawia reflektory, przygotowując się do nakręcenia tej sceny. Coś nie do pomyślenia na planie polskiego filmu! Żeby gwiazdor leżał w błocie, czekając, aż eki-

pa skończy naradę. Wtedy zrozumiałem, dlaczego te amerykańskie filmy są tak prawdziwe. Dla potrzeb tego filmu budowaliśmy w parku chorzowskim atrapę warszawskich kanałów, a w Sosnowcu, w dzielnicy, która przypominała starą Warszawę – dekoracje do scen z ulic getta. Przygotowując się do pracy nad tym filmem, obejrzałem mnóstwo materiałów archiwalnych, w tym kronik niemieckich z okresu II wojny światowej, zwłaszcza tych dotyczących getta. I oczy otwierałem ze zdumienia np. na widok znakomicie funkcjonujących tam restauracji – takich scen nie oglądałem w żadnym ze znanych filmów dokumentalnych o getcie. Przeglądałem i filmy reklamowe, nakręcone przez niemieckich propagandzistów, na których Żydzi w futrach obejmują się z niemieckimi żołnierzami...

– Mimo tylu ekscytujących doświadczeń zrezygnowałeś jednak z filmu, przyjechałeś do Opola...

– Bo jak już wspomniałem, ta praca była jedną wielką tułaczką, a mnie się właśnie urodził syn, żona mieszkała w Opolu... Wziąłem więc swoje rysunki pod pachę, zostawiłem je w obu opolskich teatrach: Kochanowskiego oraz lalek i pojechałem na Śląsk, gdzie trwały zdjęcia do filmu Jędryki „Do góry nogami”. Wtedy zaproponowano mi pracę w „Kochanowskim”, gdzie pracowałem przez prawie trzy sezony – aż do chwili przejścia do „Trybuny Opolskiej”. Do moich obowiązków należała reklama i wydawnictwa teatralne. Pobyt w teatrze zaowocował również realizacjami scenograficznymi – do „Polowania na karaluchy” wg Janusza Głowackiego i „Wielkoludów” wg Macieja Wojcieszki w „Kochanowskim” oraz realizacjami w Opolskim Teatrze Lalek: „Po bajce”, „Rozdeptany tygrys”, „Dżamble” i „Królewna Śnieżka”. Wtedy oba teatry działały pod jedną dyrekcją, później Opolski Teatr Lalki i Aktora stał się instytucją samodzielną, z którą współpracuję do dziś, projektując wydawnictwa teatralne. W 1983 roku podjąłem pracę w „Trybunie Opolskiej”, gdzie byłem – do 1993 roku – redaktorem graficznym, miałem też własne okienko satyryczne: „Panopticum Leszka Ołdaka”.

– Mówisz: „wziąłem swoje rysunki pod pachę”... Kiedy zająłeś się rysunkiem satyrycznym?

– Mój pierwszy rysunek satyryczny ukazał się w „Szpilkach” w 1974 r., a więc jeszcze za Teoplitza, później kolejne... Ale po raz pierwszy na konkurs wystawiłem swoje rysunki dopiero w 1992 roku – był to „Satyrykon”, międzynarodowy, bardzo prestiżowy konkurs, w którym zdobyłem brązowy medal. Później były kolejne „Satyrykony” i kolejne nagrody, wśród nich nagroda przyznana przez Muzeum Karykatury, jeden złoty, dwa srebrne medale i dwukrotnie Nagroda Dziennikarza im. Andrzeja Waligórskiego – ostatnia w 2005 roku.

W 1994 r. wygrałem ogólnopolski konkurs pt. „Piwo i piwosze” zorganizowany przez browar Heweliusz. Jako laureat tego konkursu zostałem przyjęty do Stowarzyszenia Polskich Artystów Karykatury, w którego komisji artystycznej są tacy artyści jak Mleczko, Flisak, Kobyliński, Bohdanowicz... Potraktowałem ten fakt jako wyraz uznania dla mojego dorobku rysunkowego. Miałem wystawę indywidualną w Muzeum Karykatury, swoje prace prezentowałem też na Litwie.

– Twoje rysunki to satyryczny opis aktualnej sytuacji – politycznej, społecznej... Na ile w tym opisywaniu rzeczywistości pomaga ci doświadczenie wyniesione z pracy w gazecie codziennej?

– Praca w gazecie nauczyła mnie szybkości reakcji, wyostrzyła w pewnym sensie zmysły – bo tam nie było czasu na dumanie, tam rysunek do tekstu miał być gotowy natychmiast. Nie pamiętasz, ile razy sama opowiadałaś mi o czym jest twój tekst, bo ja na czytanie go nie miałem czasu, a w makiecie była już przygotowana dziura na mój rysunek? Byłem też na bieżąco z najważniejszymi sprawami, które działy się w naszym regionie i kraju, to niewątpliwie poszerzało zakres moich twórczych zainteresowań. Pamiętam, że najtrudniej było wymyślić pomysł na ilustracje do tzw. tekstów partyjnych, to były z reguły tak nudne „kaczany”, jak mawiał jeden z naszych kolegów, że sam autor nie był w stanie ich streścić. Po odejściu z „Trybuny Opolskiej” przez cztery lata rysowałem dla tygodnika „Wprost” – tu przydało mi się doświadczenie wyniesione z pracy w gazecie, bo ze względu na dłuższy cykl wydawniczy musiałem niejako przewidywać wydarzenia i komentować je za pomocą rysunku. To mimo wszystko były niezłe czasy dla plastyków – dziś w pismach dominuje grafika komputerowa. Później współpracowałem z „Gazetą Wyborczą”, dziś przede wszystkim z „Rzeczpospolitą”. Współpracuję też z wydawnictwami książkowymi. Tę współpracę rozpocząłem od Instytutu Wydawniczego „Nasza Księgarnia” – zilustrowałem dla nich kilka książek – m.in. „Najkrótszą historię wynalazków”, „Zuma i innych”, „Babcie i słoniu”, co zaowocowało m.in. zaproszeniem do udziału w plenerze ilustratorów w Sułcu (1988 r.). Byłem też jednym z dwudziestu autorów, których prace były prezentowane na Wystawie Ilustracji Książkowych w Bratysławie. I tak zaczęła się moja przygoda z ilustrowaniem książek – m.in. „Baśni” Andersena dla rzeszowskiego „KAW”-u... Zacząłem jeździć na plenery ilustratorów.

– Byłeś już wtedy członkiem grupy „Narol”, która zawiązała się w Sułcu na V Ogólnopolskim Plenerze Ilustratorów. Spotykacie się – od 1988 r. – co roku, na wrześniowych plenerach na Roztoczu. Co to za grupa?



Leszek Oidak Krasnobród – chata pod lasem.

– W 1988 r. otrzymałem zaproszenie na czwarty z kolei plener do Sułcu, organizowany co roku przez BWA w Zamościu. Komisarzem pleneru był Zbigniew Rychlicki, dyrektor artystyczny „Naszej Księgarni”, a formułą pleneru było zapraszanie, oprócz uznanych sław polskiej ilustracji, także młodych, wyróżniających się ilustratorów.

Po śmierci Rychlickiego funkcję opiekuna artystycznego przejął prof. Janusz Stanny, ale formuła pleneru nie zmieniła się. Poznałem tam wielu uznanych artystów - Jerzego Flisaka, Olę Siemaszkową, Annę Stylo-Ginter, Krystynę Michałowską, Zdzisława Witwickiego, Józefa Wilkononia, których ilustracje znałem z młodości. Poznałem też wielu znakomitych ilustratorów młodszej generacji: Franciszka Maśluszczaka, Grzegorza Marszałka, M. Wasilewskiego... I właśnie na tym moim pierwszym plenerze, a do dziś uczestniczyłem już w dwunastu, zawiązała się grupa „Narol” – nazwa pochodzi od miejscowości, w której znajdują się wyjątkowo urokliwe ruiny zespołu pałacowo-parkowego – licząca wówczas osiem osób, dwie z nich, Barbara Mudryk-Gołdon i Sabina Uścińska-Siwcuk,

niestety już nie żyją, po ich śmierci do grupy dołączyły Jolanta Kolary i Aleksandra Kucharska-Cybuch. Grupę „Narol” tworzą także: Irena Łakomiec-Kamińska, Anna Sędziwy, Wojciech Kotyżka, Adam Kurlowicz i Stanisław Ożóg. Spotykamy się tradycyjnie co roku, na organizowanych przez BWA w Zamościu plenerach ilustratorów. Prace, które tam powstają – na zadany

temat, np. „Szopen”, „Pan Tadeusz” – zdobią wydawane przez BWA książki, prezentowane później na wystawach ilustracji książkowych. Kilka lat temu taką wystawę można było obejrzeć także w Opolu.

– Kto jest dla Ciebie mistrzem ilustracji książkowej?

– Jest wielu ilustratorów, których bardzo cenię. Ale chyba najbardziej – Józefa Wilkonია i Antoniego Boratyńskiego.

– Jesteś także nauczycielem scenografii w liceum plastycznym w Opolu...

– Od trzech lat. W tym roku przygotowuję grupę dyplomantów, którzy wybrali właśnie scenografię jako temat swojej pracy dyplomowej. Dalej współpracuję z opolskim teatrem lalek, ostatnio robiłem scenografie do dwóch sztuk dla rzeszowskiego teatru lalek. No i przygotowuję się do tegorocznego „Satyrykonu” – tematem jest „Kabaret” – oraz do toruńskiego konkursu „Tuba satyrica”, którego temat brzmi: „Polak Polakowi Polakiem”. Bardzo inspirujący temat...

– Wiele z Twoich rysunków nic nie straciło na aktualności, nawet po latach. Chyba powiedziałam ci komplement?

– Mogłbym to rzeczywiście odebrać jako dowód swojej przenikliwości, może poczuć się jak jakiś wieszcz, co to nie tylko widział, ale i przewidział... Myślę jednak, że powód tego jest bardzo prosty, i niestety nie będzie to komplement pod adresem naszych polityków: nasze przywary, kompleksy, to przysłowiowe polskie piekielko ma charakter ponadczasowy, zmieniają się tylko kolejne szyldy, my sami – niewiele. Przekonuję się o tym, kiedy czasem wyciągam swoje stare rysunki i posyłam je do gazet. Drukują!



Leszek Ołdak *List Fryderyka Chopina do Konstancji Gładkowskiej.*

Leszek Ołdak – studiował na Wydziale Architektury Politechniki Wrocławskiej. Twórczość plastyczną uprawia od 1969 roku: zajmuje się plakatem, grafiką prasową, ilustracją książkową, scenografią oraz rysunkiem satyrycznym. Współpracował z wydawnictwami: „Naszą Księgarnią”, KAW, Wydawnictwem Dolnośląskie, WSiP, Wydawnictwem UO, a także z Teatrem im. Jana Kochanowskiego w Opolu i Opolskim Teatrem Lalki i Aktora. Rysował dla czasopism: „Ty i ja”, „Szpilki”, „ITD”, „Mój Dom”, „Radar”, „Przegląd Techniczny”, „Polska”, „Jazz”, „Gazeta Wyborcza”, „Business Promotion”, „Wprost”, „Rzeczpospolita”. Zdobywca wielu prestiżowych nagród i wyróżnień na międzynarodowych i polskich konkursach na rysunek satyryczny.

Galeria opolskiej „Zachęty”

„Zachęta” po dwóch latach istnienia

We wrześniu 2004 roku zarejestrowano Opolskie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Opolu, wpisując województwo opolskie w Narodowy Program Kultury „Znaki Czasu”.

Celem towarzystwa jest stworzenie interdyscyplinarnej kolekcji sztuki współczesnej, przede wszystkim proveniencji opolskiej, śląskiej, a następnie polskiej, europejskiej oraz jej promowanie i upowszechnianie.

Na inaugurację działalności, inicjator programu, minister kultury **Waldemar Dąbrowski** podarował opolskiej „Zachęcie” trzy dzieła: **Grzegorza Stachańczyka** *Polonię* i **Józefa Szajny** dwa szkice do przedstawienia *Akropolis* oraz czek o wartości stu tysięcy złotych na realizację zamierzeń. Gest ministra posiadał moc sprawczą: w listopadzie 2004 r. znana artystka opolska **Aloiza Zacharska** podarowała „Zachęcie” czternaście swoich obrazów i jeden autorstwa jej nieżyjącego już męża, **Antoniego Marcolli**.

A zatem, już na początku działalności opolska „Zachęta” posiadała osiemnaście dzieł sztuki współczesnej. Pokazano je wkrótce na pierwszej wystawie.

Z początkiem roku 2005, dzięki osobistemu patronatowi wicemarszałek województwa opolskiego **Ewy**

Rurynkiewicz, „Zachęta” weszła do czterech świeżo odnowionych sal na parterze willi przy ul. Piastowskiej 20, stanowiącej siedzibę Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Opolu. 15 kwietnia 2005 roku, w obecności ministra kultury **Waldemara Dąbrowskiego**, który przyjechał do Opolu z okazji konfrontacji teatralnych, otwarto wystawę „Zachęta 1”.

Obok wspomnianych osiemnastu dzieł stanowiących własność „Zachęty”, pokazano na niej wybór twórczości współczesnej artystów opolskich, autoryzowany przez komisarzy wystawy – **Beate Wewiórkę** i **Romualda Jeziorowskiego**.

Sto tysięcy złotych otrzymane od ministra kultury oraz sto tysięcy złotych ze środków województwa opolskiego pozwoliły na zakupienie do zbiorów „Zachęty” 84 dzieł sztuki, które pokazujemy na wystawie „Zachęta 2”. W 2005 roku kolekcję wzbogaciły dary: **Ireny Grabowskiej** – *Zielony akt* (ceramika) oraz **Stanisława Białogłowicza** – *Bajka o świętym* (olej, płótno).

Z końcem 2005 roku w posiadaniu opolskiej „Zachęty” były 104 dzieła sztuki.

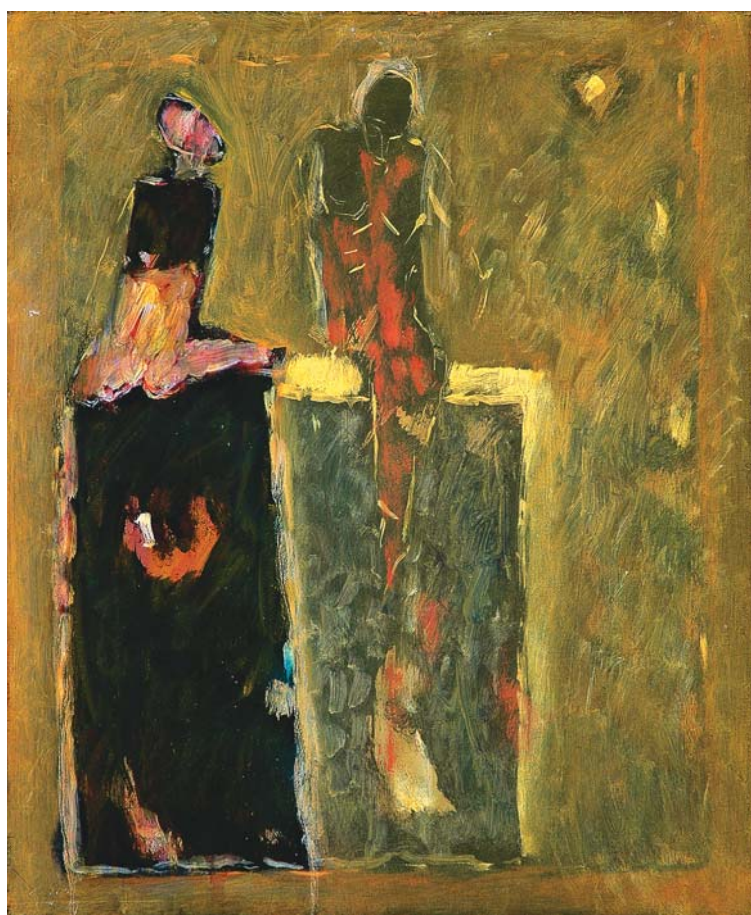
Krystyna Lenart-Juszczewska



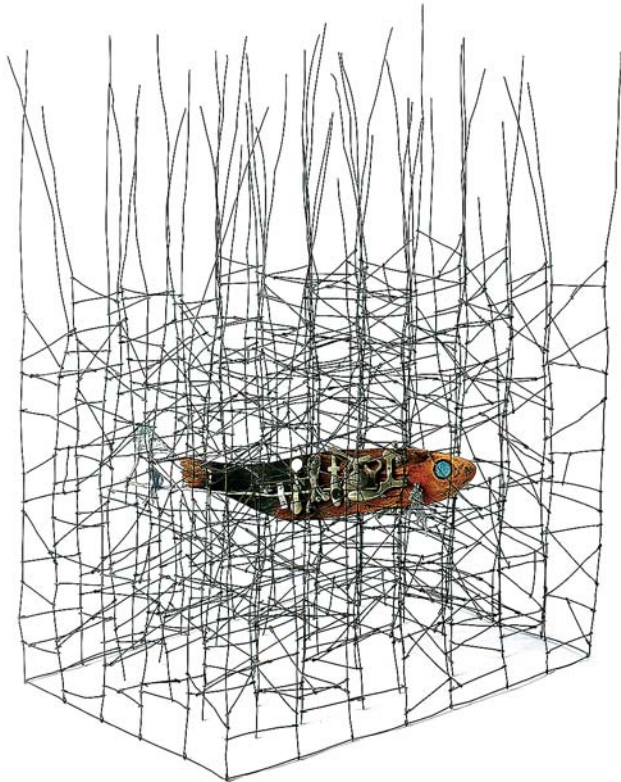
Marian Molenda *Signum temporis*



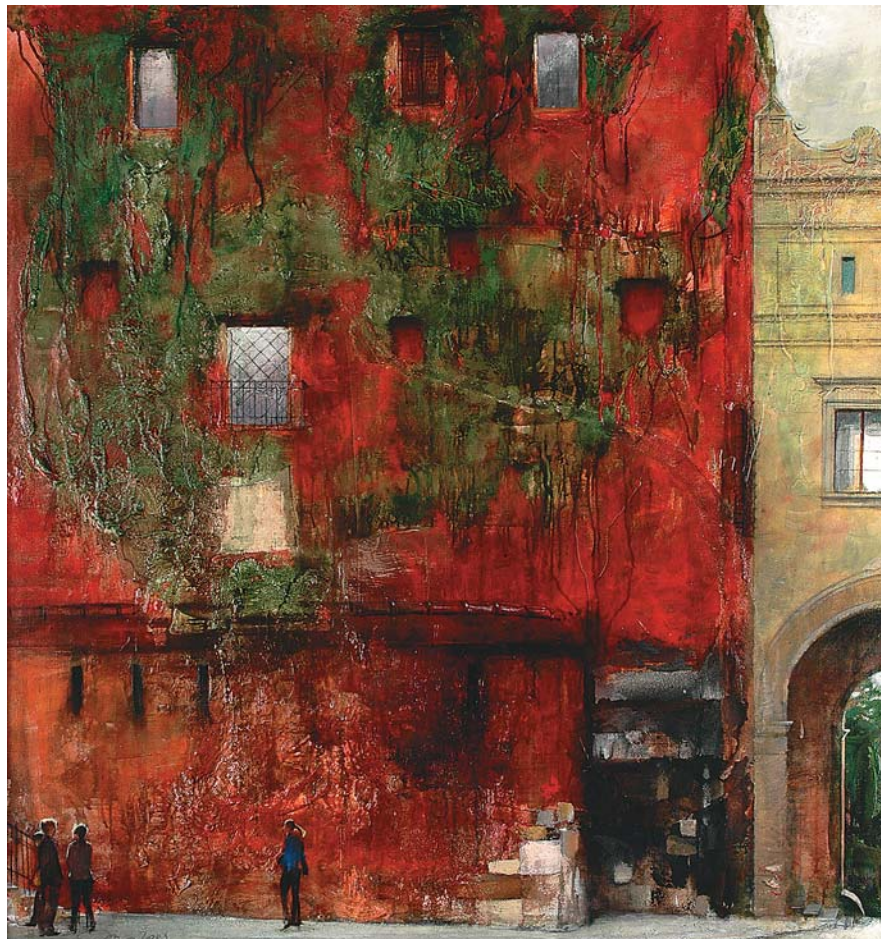
Bolesław Polnar
Codziennosc



Stanisław Białogłowicz
Znaki oczyszczenia



Ignacy Nowodworski
Akwarium



Edward Szczapow
Wawel

Samobójca

To było jeszcze latem. Jechałem rowerem na przejażdżkę po Lesie Kabackim, kiedy nagle przed sobą zobaczyłem tłum wpatrzony w jakiś punkt po lewej stronie. W pierwszej chwili pomyślałem: „Cud”. Ale już po momencie wiedziałem, że to coś innego. Świadczyły o tym dobitnie radiowozy, karetka pogotowia i straż pożarna. Pewnie i tak nie uwierzycie, że zainteresował mnie nie samobójca, stojący na szczycie żurawia pobliskiej budowy, ale ludzie, którzy mu się przyglądali. Dlatego nie będę was o tym przekonywał. To zresztą nieważne. Grunt, że zatrzymałem się.

– Ciekawe, po co to robi? – zastanawiała się starsza pani.

– Pewnie chce się znaleźć w telewizji – stwierdził autorytatywnie młodzieniec z najmodniejszą obecnie fryzurą włoskiego alfonsa, będący w towarzystwie równie modnie uczesanej dziewczyny.

– E tam. Na pewno baba mu dokuczyła – zaprzeczył z kwaśną miną czterdziestolatek, który trzymał za rączkę najwyżej dwunastoletnią dziewczynkę.

– Ale jak, tatusiu? – spytała rezolutnie córka.

– Zapytaj się mamusi – burknął ojciec i pociągnął dziewczynkę do domu.

– Niemożliwe, żeby to przez kobietę – stwierdziła za dbana trzydziestolatka. – Teraz się już takich rzeczy nie robi przez kobietę.

– To dlaczego? – dociekała starsza pani.

– Pewnie go wywalili z roboty?

– I od razu by się rzucił? – powątpiewająco skrzywił się młodzieniec.

– Ty jeszcze nie wiesz, jak to jest. Jak masz pracę, to ona wypełnia ci cały czas, łącznie z każdą wolną chwilą. Śpisz, jesz, myślisz tylko o niej i dla niej. A jak ją tracisz, to znika jedyny życiowy cel – pokręciła głową ze smutkiem. – Wiem co mówię. Sama się pozbierałam tylko dzięki wizytom u psychoanalityka.

– Może ma pani rację – starsza pani usiadła sobie dla wygody na trawie. – Jak człowiek odchodzi na emeryturę, to też sam nie wie, że popełnia samobójstwo na raty.

– E tam. Ja wam mówię, że on to robi dla telewizji – rozjeźrał się wokół. – Swoją drogą, to dziwne, że ich tutaj jeszcze nie ma. O rany, co oni robią?

W koszu strażackiej drabiny unosił się do góry szpakowaty mężczyzna, koło czterdziestki. Wszyscy śledzili jego drogę z zapartym tchem. I wszyscy jęknęli z zawodu, kiedy zatrzymał się w dość sporej odległości od samobójcy, a dowódca strażaków bezradnie rozłożył ręce.

– Wiedziałem – stwierdził tryumfalnie młodzieniec z fryzurą włoskiego alfonsa. – W tym kraju nie ma nic porządnego.

Negocjator nie przejął się jednak problemami długości drabiny i zaczął rozmawiać z mężczyzną stojącym na żurawiu. Na dole jednak nie słyhać było, o czym dokładnie rozmawiają.

– No, wreszcie są – ucieszył się młodzieniec na widok wozu transmisyjnego jednej ze stacji telewizyjnych. Pociągnął w tamtą stronę dziewczynę. – Chodź, może będą chcieli porozmawiać z jakimiś świadkami.

Ale zanim dotarli do telewizyjnej ekipy, wysiłek negocjatora został nagrodzony sukcesem. Mężczyzna zaczął powoli

schodzić z żurawia. Na dole czekała na niego policja. Reporterce udało się jednak dopchnąć do niedoszedłego samobójcy.

– Dlaczego chciał się pan zabić? – zapytała z wypiekami na twarzy.

– Nie chciałem.

– Nie chciał pan? – reporterka nawet nie próbowała ukryć rozczarowania jego słowami. – To po co pan tam stał?

– Chciałem sobie popatrzeć na to wszystko z góry.

Jacek Getner

Jacek Getner (1973) mieszka w Warszawie. Jest copywriterem. Pisze wiersze, libretta musicali, książki i opowiadania – większość miała swoją premierę na internetowym blogu autora. Jedno z nich zostało nagrodzone w Ogólnonarodowym Konkursie na Opowiadanie ogłoszonym w 2003 r. na łamach „Polityki” przez Jerzego Pilcha. W 2003 r. ukazała się jego powieść, sensacyjna komedia z gatunku political fiction pt. „Trzynasty minister”. Ostatnio: zbiór opowiadań pt. „Brzydka miłość” i kryminał „Dajcie mi jednego z was”. Jacek Getner próbuje swych sił także jako scenarzysta popularnego sitcomu „Daleko od noszy”.



Fot. Aleksandra Janik

Irena Wyczółkowska

O fotografiach Grzegorza Gajosa



Fragment otwartego cyklu:
Kodyfikacje – Mój osobisty alfabet
fotografia czarno-biała (30x40 cm)

9989

Italian Dinners
California Lincoln
Let's go to Shanghai
Push to open



Franciszek Starowiejski, wybitny malarz i grafik, powiedział kiedyś, że „człowiek jest tylko epizodem w życiu przedmiotów”. Ich istnienie bywa o tyle dłuższe od ludzkiego, a los powikłany i pełen niespodzianek. Gdyby tak rzeczy, a przyjmijmy taką śmieszność, rodem z baśni, możliwość, miały wśród siebie wróżkę, jej przepowiednie byłyby zaskakujące! „Będziesz kiedyś wzbudzał zachwyt jako piękny wazon” – usłyszy garnek-gliniak, który miał służyć do kwaszenia ogórków. „Wykorzystają cię jako ozdobny postument, stawiając na twoim blacie wymyślne kompozycje z kwiatów” – dowie się skromna maszyna do szycia, która rozpoczęła swój żywot w ciasnym pokoiczku ubiegłowiecznej szwaczki. Bywałyby także proroctwa smutne – śmietnik, żarłoczne płomienie, a co najgorsze (jeśli założyć, że i przedmioty mają swoją dumę i aspiracje), zła sława symbolu brzydoty i tandety. Człowiek tworzy rzeczy, decyduje o ich przeznaczeniu, ceni je, obdarza sympatią. Niekiedy osieroca. Jakże melancholijny bywa widok śmietnika, gdzie właśnie wyrzucono rzeczy po zmarłych: kulawy fotel, poduszka, okulary w niemodnej oprawce, wytarty dywan, staroświecka torebka z koralikami... Ale ten obraz to postrzeganie rzeczy poprzez ich obecność w czymś domu, związek z kimś, „służbę” u kogoś.

Te przedmioty, choć nadajemy im symboliczny sens – w ścisłym kontekście z życiem człowieka, jego kruchą kondycją – są tylko przedmiotami. Wielka to umiejętność zobaczyć je inaczej, „wolne”, niezależne od ich stwórców, postrzegać jako dzieło sztuki, kompozycję linii i barw, frapujący kształt. Jako artystyczną samoistość. Dar takiego to właśnie widzenia przedmiotów posiada z pewnością Grzegorz Gajos. Zjawiają się w jego wyobraźni oderwane od tzw. sytuacji kulturowych, objawiając nową możliwość: artystycznej gry – pełnej zaskakujących efektów – walorami plastycznymi. Redukcją użytkowej funkcji przedmiotów stanowi tu o ich nowej jakości estetycznej, nowym wymiarze istnienia. Jeśli można by w sztuce doszukiwać się także przesłania dydaktycznego (choć to intencja niemodna!), należy stwierdzić, że nawet kompletny laik, ktoś przy tym mało wrażliwy będzie zdumiony odkryciem niezwykłości i urody zwyczajnych przedmiotów. Niczym pocieszny parweniusz z Molirowskiej komedii „Mieszczanin szlachcicem”, który to nie mógł się nadziwić, że „przez całe życie mówił prozą”, ogarnie zupełnie nowym spojrzeniem świat szczegółów: wystrój ulic, powyginane części jakiejś przedpotopowej maszyny, urok niczemu już nie służących urządzeń, pokryty plamami rdzy, rozsnuwającą się mgiełką pleśni.

Podróże po świecie, a w tym do krajów, gdzie wojna lub szaleństwo kolejnych przemian nie zmioły z powierzchni ziemi światła dawnych przed-



Grzegorz Gajos

Ukończył Akademię Sztuk Pięknych we Wrocławiu (Wydział Grafiki). Brał udział w kilku wystawach indywidualnych i kilkudziesięciu zbiorowych. Zajmuje się fotografią, grafiką, projektowaniem graficznym, plakatem autorskim, typografią eksperymentalną. Jest asystentem w pracowni multimedialnej Instytutu Sztuki Uniwersytetu Opolskiego. Prowadzi zajęcia z fotografii oraz projektowania graficznego.

miotów, pozwoliły artyście wykonać wiele oryginalnych i pięknych fotografii. Stary licznik (maszyna do liczenia?), dawna szafa grająca, jakiś automat z czasów króla Ćwieczka, telefon, skrzynka na listy, pręty zabytkowego balkonu – wszystko to, „odcedzone” ze znaczeń, pełnionych funkcji, olśniewa jako przestrzeń gry światła, niepowtarzalnej struktury, zapis rytmu, swoisty „krajobraz”.

Bywa w tych nieco nostalgicznych fotografiach może i także zaduma nad przeszłością, może i chęć pokazania, jaką wagę przywiązywali dawni wytwórcy do takich już niegdysiejszych zalet, jak solidność wykonania, elegancja. Przedstawiane obiekty wydają się również ocalałymi szczątkami jakiejś zatopionej w odmętach czasu Atlantydy – chwalą jej świetność, przypominając jednocześnie o nieuchronnym przemijaniu.

Warto także poświęcić uwagę fotografiom reklam, szyldów, ulicznych napisów, rzędów nic nie mówiących nam cyfr. To także postrzeganie kompozycji, harmonii znaków graficznych, zestawień linii i kształtów, innego języka artystycznego, który zapewnia nową skalę przeżyć i wyobrażeń. A jednocześnie fotografie te, nobilitując pospolitość obiektów, zwracają naszą pamięć ku wyartym inskrypcjom antycznym – one również były kiedyś banalną codziennością. Nie lekceważmy tych kodów i znaków – tak zdają się mówić te fotografie – i one także są zapisem pewnej rzeczywistości. Żeby tak fotografować, czyli widzieć, trzeba wiele dystansu, tego wyznacznika dojrzałości twórczej.

„Prawdziwa sztuka jest zawsze tam, gdzie jej się nie oczekuje” – to słowa dwudziestowiecznego malarza francuskiego, Jeana Dubuffeta. Obcowanie z fotografiami Grzegorza Gajosa potwierdza słuszność tej maksy. Patrzymy wokół siebie, i to uważnie, nie dajmy się uwodzić jedynie „zakatalogowanym” wrażeniem estetycznym, pięknościami i wzruszeniem narzucanym przez stereotypy konwencji artystycznych.



Robię to, co kocham

Z reżyser Magdaleną Piekorz rozmawia Anna Piasłoń-Sokołowska

– Kiedyś powiedziała pani, że czuje powołanie do reżyserii. Czy zawsze chciała pani robić filmy?

– Właściwie tak, chociaż to się przeplatało. Najpierw chciałam być aktorką i robiłam wszystko, żeby to osiągnąć: chodziłam do studia aktorskiego, ćwiczyłam dykcję. Trzy razy zdawałam do szkoły teatralnej, za trzecim razem byłam nawet blisko. Ale ponieważ pasję reżyserowania, głównie form teatralnych, przejawiałam od dzieciństwa, wszyscy mnie trochę pchali w stronę reżyserii. Potem dowiedziałam się, że na Wydziale Radia i Telewizji w Katowicach zostaje uruchomiona reżyseria pomaturalna i postanowiłam spróbować swoich sił. Już po pierwszych egzaminach wiedziałam, że to jest dokładnie to, co chcę robić, więc na ten ostatni etap egzaminów do krakowskiej szkoły teatralnej już nie pojechałam. Niestety na reżyserię też wtedy nie zdałam, byłam druga pod kreską. Na szczęście udało mi się dostać w charakterze wolnego słuchacza i po roku intensywnych przygotowań zdałam.

– Czyli, gdyby wtedy nie otwarto tego wydziału, byłaby pani dziś aktorką?

– Trudno jest mi powiedzieć. Pewnie z czasem doszłabym do tego, że najlepiej czuję się w roli reżysera. Dzisiaj uważam, że nie byłabym dobrą aktorką.

– Dlaczego?

– Chyba dlatego, że jestem osobą, która lubi mieć kontrolę nad całością, a będąc reżyserem mam taki przywilej. Jako aktorka miałabym wpływ jedynie na swoją rolę i byłoby mi bardzo przykro, gdyby na przykład film się nie udał. Wiem też od moich kolegów – aktorów, że i ten „wpływ na własną rolę” jest często ograniczany, na przykład przez apodyktycznego reżysera. Staram się, żeby w mojej pracy ta energia płynęła w dwie strony, stawiam na indywidualność aktora, choć mam jasny obraz postaci, jaką ma stworzyć. Myślę, że moje małe aktorskie doświadczenia, na przykład ukończenie studia aktorskiego, bardzo mi w tym pomagają.

– Jednak bardzo często w świadomości widza to aktor tworzy film, reżyser pozostaje gdzieś z boku. Czy nie czuje pani niedosytu, że nie jest na pierwszym planie?

– Ja dokładnie tak myślałam jako mała dziewczynka. Wiem z opowieści rodzinnych, że będąc u dziadków, czekałam aż zasną, a sama oglądałam wszystkie filmy w kinie nocnym. Bardzo dobrze pamiętam z tamtych czasów „Zakłęte rewiry”



Ma 31 lat, a już można powiedzieć, że osiągnęła sukces i zaistniała w świecie filmu jako reżyser. Jej znajomi żartują, że nigdy nie rozstaje się ze szpilkami, nawet wtedy, kiedy robi film. Nie ucieka przed dziennikarzami, bo wie, że za ich pośrednictwem dociera do widza. Wierzy w przeznaczenie, jak sama mówi, nic w jej życiu nie dzieje się przypadkiem. Na spotkaniu ze studentami Uniwersytetu Opolskiego, które odbyło się 7 stycznia, pokazała trzy swoje filmy dokumentalne: „Dziewczyny z Szymanowa”, „Znaleźć, zobaczyć, pochować” i „Arystokraci w nowej Rosji”. Ze swoim przyjacielem Jarkiem Wasikiem prowadzącym spotkanie często żartowała, ale mówiła też o rzeczach trudnych. Z redakcją „Indeksu” reżyserka Magdalena Piekorz podzieliła się spostrzeżeniami na temat polskiego kina, opowiedziała o swojej drodze do Złotych Lwów i powołaniu do tego niełatwego zawodu.

czy serial „Marco Polo”. Tamte filmy w pewnym sensie mnie ukształtowały, ale rzeczywiście wtedy myślałam, że aktor stwarza to, co jest na ekranie. Ja sama absolutnie nie mam w sobie potrzeby bycia na afiszu i sława nie jest dla mnie najważniejsza. Jeśli aktor zagra w złym filmie, to gdzieś się za nim ciągnie. Ja myślę, że bardzo bym to przeżywała, byłoby to okupione ogromnymi stresami.

– Mimo to, po sukcesie „Dziewczyny z Szymanowa”, a później już w pełni po sukcesie „Pręgi” stała się pani osobą publiczną, rozpoznawalną...

– Tak, to jest dla mnie oczywiście bardzo miłe. Zaczęłam pojawiać się w pismach kolorowych, proponowano mi sesje zdjęciowe, zrobił się pewien szum wokół mojej osoby. Jednak dla mnie sukces nigdy nie będzie priorytetem, nie będzie ważniejszy niż film i widz. Wszystkie spotkania z dziennikarzami są bardzo miłe, bo dla mnie są ważni widzowie i to, żeby do nich docierać. Zdaję sobie sprawę z tego, że docieram do nich właśnie poprzez spotkania, poprzez media.

– „Dziewczyny z Szymanowa”, dokument o szkole prowadzonej przez siostry zakonne, zrobiła pani na drugim roku studiów. Jak powstał ten film?

– Tak naprawdę to sama chciałam kiedyś chodzić do takiej szkoły. Wydawało mi się, że podobne miejsca kryją jakieś tajemnice, choć miałam świadomość, że wybór takiej szkoły to przyjęcie określonych zasad. Realizując „Dziewczyny z Szymanowa”, byłam przede wszystkim ciekawa, jak młode dziewczyny, w okresie dojrzewania, w XXI wieku, radzą sobie w sytuacji pewnego zamknięcia, kiedy kolejne fazy ich codziennego życia wytycza szkolny dzwonek. Spotkałam się z bardzo różnymi postawami: były dziewczyny, które strasznie chciały się stamtąd wyrwać, i takie, które nie zamieniłyby tej szkoły na żadną inną.

– Po „Dziewczynach z Szymanowa” stanęła pani przed Komisją Etyczną, oskarżano panią o tendencyjność i antyklerykalizm. Z jednej strony był to głośny debiut młodej studentki, z drugiej – pojawiły się pewne zarzuty...

– Rzeczywiście po realizacji tego filmu miałam spore problemy. Dokument został zdjęty z ekranu. Dla mnie był to wstrząs, bo film był pokazywany siostram w Szymanowie i został przez nie zaakceptowany. Po kilku pokazach dostałam telefon z redakcji, że wpłynął protest i film będzie wstrzymany. Sam prezes telewizji przeczytał mi wówczas listę poprawek, które powinnam wykonać. Wskazane tam były precyzyjnie sceny, które mam wyrzucić. Nie zrobiłam tego, chociaż do tej pory nie wiem, skąd wzięłam siły, bo odłożyłam słuchawkę, a później przez półtora tygodnia płakałam. Tym bardziej, że usłyszałam, że jeśli nie zastosuję się do tych poleceń, będzie to mój pierwszy i ostatni film. Potrzebna mi była jakaś weryfikacja. Pokazałam „Dziewczyny...” moim profesorom: Krzysztofowi Zanussiemu, Wojciechowi Marczewskiemu. Usłyszałam, że

zrobiłam dobrą robotę. To mi dało ogromną siłę. Stanęłam przed Komisją Etyczną, przed Radą Programową. Był to dla mnie duży stres, ale zostałam oczyszczona z zarzutów.

– Zawód reżysera, być może zwłaszcza dla kobiety, jest zawodem dość trudnym...

– Tak. Wybrałam ten zawód z pełną świadomością, choć nie jest to zajęcie łatwe, wymaga wielu wyrzeczeń, pokonywania własnych słabości. Czasami przy realizacji niektórych dokumentów, jak na przykład filmu o Bośni, pracuje się w naprawdę trudnych warunkach. Ale jeśli chce się powiedzieć coś ważnego, dotrzeć do problemu, człowieka lub jakiejś sprawy, trzeba odrzucić myślenie o niewygodach i skupić się na pracy. Może dlatego często się słyszy, że to taka męska robota. Trochę tak jest: potrzebna jest tu dyscyplina, umiejętność podejmowania szybkich decyzji. Ale sam film jest już rozmową z duszą drugiego człowieka. I jeśli uda mi się uruchomić jego emocje, wzruszyć widza, skłonić go do refleksji, przestaje mnie martwić, że znowu będę musiała spać na jakimś materacu na odludziu.

– To są trudności fizyczne. A jak jest z psychiką reżysera przy realizacji dokumentów, takich jak film o kobietach z Bośni? Musiała się tam pani zmierzyć z ludzką tragedią, patrzeć w przeczyste, wypłakane już prawie oczy kobiet, które straciły swoich bliskich, a ponieważ nie odnalazły ich ciał i nie pochowały, według zasad Koranu, są zawieszona na granicy żałoby. Co się dzieje z wrażliwością reżysera w takich sytuacjach, czy musi być ona większa, czy wręcz przeciwnie, trzeba się jej pozbyć, żeby nabrać profesjonalnego dystansu?

– Myślę, że wrażliwość musi być większa, właśnie po to, żeby zrozumieć. Ja ten film odchorowałam. Po kilku miesiącach pobytu w Bośni wróciłam do Polski z zapaleniem mięśni, wszystko mnie bolało. Jestem osobą bardzo emocjonalną, uczuciową i mocno to przeżywałam. Jako reżyser dokumentów zgadzam się z tym, co powiedział kiedyś Kieślowski, że są takie drzwi, których nie można przekroczyć, realizując film dokumentalny. Kiedy pojechałam do tych kobiet na pierwsze spotkanie, w ogóle nie włączyliśmy kamery, ja nawet nie wiedziałam, jakie pytania powinnam zadawać. I tak naprawdę właściwie nie zadawałam pytań, ponieważ moje bohaterki w pewnym momencie same zaczęły mówić. Jedna z kobiet wzięła mnie za rękę i powiedziała: „Dziecko drogie, my chcemy, żeby świat usłyszał o naszej tragedii, włączcie tylko kamerę i pozwólcie nam mówić”.

– Często wspomina pani o Krzysztofie Zanussim, jest pani opiekunem artystycznym, autorytetem, a zarazem producentem filmu „Pręgi”...

– Tak, ja bardzo cenię autorytety, na pewno jest wśród nich pan Krzysztof, który był moim profesorem w szkole, znał moje wcześniejsze filmy dokumentalne i myślę, że też z tego powodu mogłam później zrobić „Pręgi”. Pan Zanussi na etapie scenariusza dużo nam podpowiadał, ale w trakcie montażu filmu udało mi się przekonać go do swoich rozwiązań. Cieszę się z

tego, że producentem tego filmu był reżyser, a nie producent zainteresowany jedynie tym, czy film się sprzeda.

– Większość widzów kojarzy pani jednoznacznie właśnie z „Pręgami”, autorem scenariusza do tego filmu jest Wojciech Kuczok. Wasza znajomość to ponoć bardzo ciekawa historia?

– Tak, życie nauczyło mnie, że nic się nie dzieje przypadkiem. Z Wojtkiem spotkaliśmy się pierwszy raz w pociągu na trasie Katowice–Warszawa, jechaliśmy na dzień otwarty do szkoły teatralnej, bo oboje chcieliśmy zostać aktorami. Drugi raz spotkaliśmy się na zajęciach ze scenariopisarstwa. Wtedy znalazłam już teksty Wojtka, które publikował na łamach „Tygodnika Powszechnego”, jednak w ogóle nie kojarzyłam osoby z nazwiskiem. Kiedy przyniosłam do pana Zanussiego swój scenariusz filmu fabularnego (opowiadał o trudnej relacji ojca i córki), on uśmiechnął się i powiedział, że niedawno czytał coś bardzo podobnego, a potem dał mi telefon do Wojtka Kuczoka. Ten podobny w treści, ale o niebo lepszy tekst napisał właśnie Wojtek. Nosił tytuł „Diobol” i stał się podstawą dla napisania scenariusza „Pręg”. Tak poznaliśmy się z Wojtkiem po raz trzeci.

– A nad czym teraz pani pracuje?

– Jeśli chodzi o fabułę, mam trzy projekty, nad którymi właściwie pracuję równolegle. Jeden z nich to duża i kosztowna produkcja, której akcja toczy się w 1943 roku we Frankfurcie nad Menem. Inny projekt to film, który właściwie miałam robić przed „Pręgami”, pt. „Krzyż”. Film mówiący o wierze, o powołaniu. Natomiast najbliższy realizacji projekt to film według scenariusza Dawida Kędzi. Autor to 23-letni chłopak, który w zeszłym roku zwrócił się do mnie z prośbą, żebym przeczytała jego scenariusz. Swoje prace wysyłał do wszystkich możliwych producentów i nikt mu nigdy nie odpowiedział, a on chciał po prostu wiedzieć, czy powinien brać pióro do ręki. Tak mnie wzruszył jego list, że przeczytałam dołączony scenariusz. Jest to właściwie film o samym jego autorze, ale też o miłości do kina. O chłopaku z małej miejscowości, który bardzo chce zostać scenarzystą, wychowuje się na filmach z Brucem Lee, a potem odkrywa kino spod znaku „Dziesiątej Muzy”. To film o dojrzewaniu, o kształtowaniu się światopoglądu, także o pierwszej miłości. W swojej twórczości chciałabym spróbować bardzo różnych gatunków, ale zawsze najważniejsza będzie dla mnie treść. Forma musi być jej podporządkowana. Bardzo chciałabym na przykład zrobić musical, thriller psychologiczny, dobrą komedię. Niezależnie od formy ważne jest dla mnie, żeby widz, który będzie to oglądał, mógł się w tym moim filmie odnaleźć, czy poprzez identyfikację z bohaterem, czy z problemem, żeby to nie było obojętne.

– Jako laureatka Złotych Lwów zasiadła pani w jury na festiwalu w Gdyni. Jak ocenia pani stan polskiego kina?

– Ja nie dzielam opinii, że polskie kino ma się źle. Myślę, że powoli zmierza ku lepszemu. W tym roku w Gdyni było dużo dobrych filmów, „Doskonałe popołudnie” Przemysła Wojcieszka czy „Jestem” Doroty Kędzierzawskiej. Gdzieś

zmieniła się jednak grupa docelowa, dzisiejsze społeczeństwo jest wychowywane na serialach telewizyjnych. Mnie na przykład interesuje określony rodzaj kina, a przechodząc przez kolejne rozmowy z producentami, słyszę: „Ale po co takie ciężkie tematy, zrobiłaby pani teraz jakąś komedię, dramat psychologiczny drugi raz nie chwyci, nikt tego nie weźmie”. Ja myślę, że niektórym producentom u nas brakuje pewnego rodzaju intuicji, umiejętności wyboru.

– Jaka jest dzisiaj pozycja na starcie dla młodych twórców kina w Polsce?

– Myślę, że mają bardzo ciężko. Co więcej, nie jest wcale łatwiej po pierwszym filmie, nawet jeśli osiągnie się jakiś sukces. Ja dzisiaj przechodzę tę samą drogę, którą przechodziłam z „Pręgami”, chociaż od nagrody w Gdyni minęło już półtora roku. Dzisiaj znowu prowadzę rozmowy od podstaw, przekonując producentów, że mój pomysł jest przemyślany, że wiem, jak ten film chcę zrobić. Co więcej, mój mistrz Krzysztof Zanussi, który zrobił w swoim życiu ponad sześćdziesiąt filmów, mówi, że po pięćdziesięciu pięciu jest dalej tak samo.

– Na czym była pani ostatnio w kinie?

– Ostatnio byłam na filmie „Złot”, który powalił mnie na kolana. Poszłam, ponieważ ktoś mi powiedział, że to temat podobny do „Pręg”. I rzeczywiście, „Złot” także opowiada o konsekwencjach złego wychowania, ale są one w tym filmie zupełnie inne niż w moim.

– Spotkała się pani dzisiaj ze studentami, którzy są teraz na etapie, na którym pani była już po swoim debiucie jako reżyser. Co by pani poradziła tym, którzy być może dopiero wchodzą na drogę zawodową?

– Przede wszystkim życzyłabym im cierpliwości i wytrwałości, ale też ogromnej pasji i wiary w to, co robią. Nie chodzi mi o to, żeby być pewnym siebie, zarozumiałym, ale świadomym tego, co jest dla mnie najważniejsze. Tylko wtedy można poczuć się spełnionym i szczęśliwym – jeśli robi się to, co naprawdę się kocha!

Magdalena Piekorz (1974 r.) – absolwentka reżyserii na Wydziale Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego (dziś prowadzi tam zajęcia ze studentami). Za swój pierwszy film fabularny – „Pręgi” według scenariusza Wojciecha Kuczoka – dostała Złote Lwy i nagrodę publiczności na festiwalu w Gdyni. Kilka miesięcy później zadebiutowała w teatrze. W warszawskim „Studiu” wyreżyserowała monodram „Doktor Faust” z Michałem Żebrowskim. Wyreżyserowała także dziesięć filmów dokumentalnych – m.in. „Dziewczyny z Szymanowa” „Znaleźć, zobaczyć, pochować” i „Arystokraci z nowej Rosji”.

Wacław Panek o *Dramma per Musica*

Wiwat Musica Opoliensis!

W okresie wokółświątecznym otrzymuję wiele płyt z repertuarem kolędowo-pastorałkowopodobnym, bowiem wydawcy uważają za swój punkt honoru dostrzeżenie muzycznej tradycji Bożego Narodzenia. Nie bez kozery przywołuję pojęcie tradycji, bowiem w obecnej produkcji fonograficznej o tradycyjnej kolędzie pamięta się coraz mniej, udziwniając ją na najróżniejsze sposoby. (Ma to być ponoć oznaką nowoczesności.)

Wśród tych płyt jedna przyniosła mi szczególną satysfakcję: *Wiwat Boskiej istności* – kolędy w wykonaniu Akademickiego Chóru Uniwersytetu Opolskiego *Dramma per Musica* i solistki **Katarzyny Trylnik** (sopran), pod dyrekcją **Elżbiety Trylnik**. Usłyszałem bowiem znakomicie wykonane kolędy polskie, nie unowocześnione, a zaśpiewane „po bożemu” czyli tak, jak je tradycja i kompozytorzy napisali.

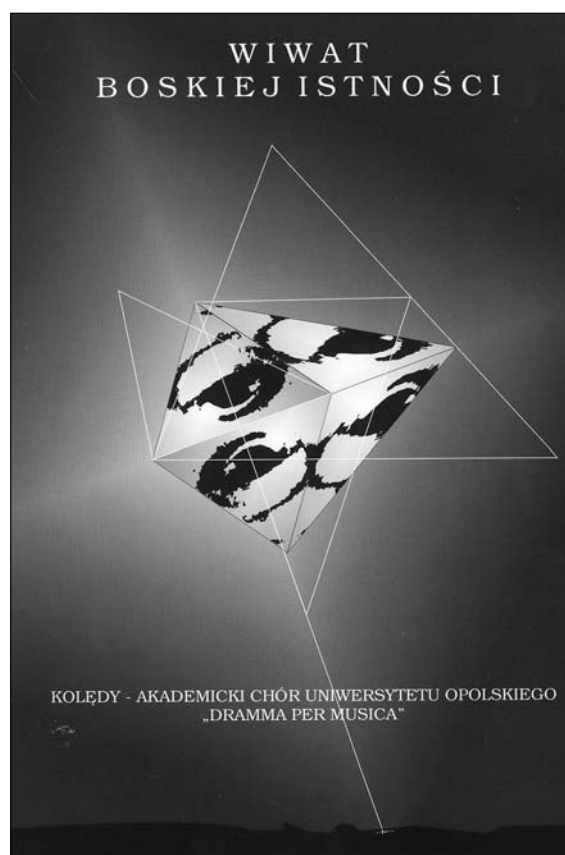
Są na tej płycie kolędy od czasów renesansu (Pieśni o Narodzeniu Pańskim Wacława z Szamotuł i anonimowej kolędy z połowy XVI w. *Anioł pasterzom mówił*, najstarszej ze śpiewanych do dzisiaj) – po kolędy kompozytorów współczesnych: Józefa Świdra, Andrzeja Koszewskiego czy Andrzeja Nikodemowicza. Rozpiętość stylistyczna duża – ale za to i muzyki wiele. Muzyki – bo wykonanie wszystkich jest prawdziwą, radującą serce i duszę muzyką.

Wspaniale frazujący, o soczystym, pełnym, krągłym brzmieniu Chór Uniwersytetu Opolskiego i piękny, delikatny, barwny sopran solistki – czynią z tej płyty muzyczną perełkę, której warto też słuchać poza świątami, dla samej radości brzmieniowej i szlachetnej prostoty kreacji muzycznej.

W ostatnich latach miałem okazję słuchać chyba wszystkich najlepszych naszych chórów akademickich. Po wysłuchaniu tej płyty – z przyjemnością wpisałem do tego grona Akademicki Chór Uniwersytetu Opolskiego pod dyrekcją Elżbiety Trylnik.

Wacław Panek

P.S. Osobne gratulacje dla realizatora Andrzeja Czubińskiego i producenta Radia Opole SA.



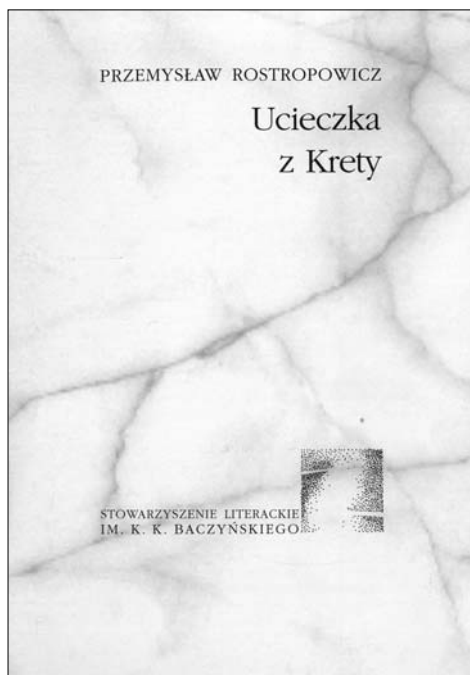
Okladka płyty *Wiwat Boskiej istności*.



Wacław Panek.

Wacław Panek – opolanin, muzykolog, krytyk muzyczny i dramaturg. Opublikował ponad 40 książek o tematyce muzycznej. Píše także utwory sceniczne (sztuki teatralne oraz libretta musicalowe). Juror krajowych i międzynarodowych festiwali muzycznych oraz laureat wielu nagród (m.in. Nagrody Specjalnej Ministra Kultury i Sztuki za działalność krytyczno-muzyczną, dorocznej nagrody Związku Polskich Autorów i Kompozytorów ZAKR za prace książkowe i publicystyczne, „Premio Europeo’89” za książkę „Marsz, Marsz Polonia”). Był wykładowcą w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Kielcach i Akademii Muzycznej w Warszawie.

Przemysław Rostropowicz



w szepcie wiatru
usłyszałem Ciebie

w tańcu potoku
ujrzałem Ciebie

w muśnięciu gałązki
byłem z Tobą przez chwilę

Pan

słońce dojrzało
na gałęziach

razowe pola
poświęcone kadzidłami łąk

wiatr się przeciągnął –
ziewnął

Pan zganiał stada

Krowa

najbardziej niepoetycką
ze wszystkich istot jest krowa

widziałem jak zjadła połę księżyca
by później dobrać się
do mgły ponad łąkami

Jesienny wytrych

wczoraj późnym popołudniem
na obwodnicy
ujrzałem zza szyby
rozsypany na niebie
pęk kluczy ptaków

wtedy doceniłem
ślusarskie rzemiosło Boga
czym prędzej zamknąłem
wytrychem tamto lato

Wigilia

stół coraz krótszy
karp bez ości
życzenia ze słuchawki
tykanie zegara

(wiersze z tomiku *Ucieczka z Krety*, wydane w 2005 roku przez Stowarzyszenie Literackie im. K. K. Baczyńskiego w Łodzi).

Przemysław Rostropowicz (1974 r.) jest pracownikiem naukowym Wydziału Ekonomicznego UO. Jako poeta zadebiutował w 1995 r. arkuszem wierszy *Akwarele*. Jego utwory zamieszczono m.in. w V edycji współczesnej poezji modlitewnej *A duch wieje kędy chce* (Lublin 1994), w almanachu młodych poetów *Imiona istnienia* (Wrocław 1996), w *Indeksie* i *Studium*.

Grzechy nie tylko językowe

Redakcja opolskiego dodatku „Gazety Wyborczej” przeprosiła poetę za druk jego wierszy bez przyzwolenia („GW Opolo” z 3 stycznia 2006, s. 4). Przeprosiła, jak każą dobre obyczaje prasowe.

Jaka szkoda, że w pierwszym zdaniu przeprosin: „Przepraszamy pana Jacka Podsiadło...”, pojawił się jeszcze jeden grzech redakcyjny. Przeciwno gramatyce tym razem. Zdanie powinno brzmieć inaczej: „Przepraszamy pana Jacka Podsiadł*ę*...”. Pytanie naiwne: czy niegramatyczne przeprosiny są prawdziwymi przeprosinami? Czy nie należałoby przeprosić autora raz jeszcze?

Kilka dni później, w tymże dodatku (z 9 stycznia br.), pod fotografią widniał taki podpis: „Na zdjęciu abp Nossol z Różą i Zbyszko Bednorzami”. A mnie się zdaje, że imię nestora pisarzy opolskich też odmienia się przez przypadki, w podpisie powinno być „Zbysz*kiem*”. O Zbyszku z Bogdańca autor notki nie słyszał, czy co.

Grzeszą dziennikarze, grzeszą też przeciwko językowi niektórzy duchowni. Nie wszyscy na przykład wiedzą, co to znaczy „homilia”. A w czasie świąt Bożego Narodzenia można było usłyszeć w kościołach dziwaczne akcentowanie: BeTLEjem zamiast BeTLEjem. Tak trudno zapamiętać wers: „zaraz do BeTLEjem prosto bieżeli”? A o tym, że w tym czasie można było usłyszeć takie cudactwa, jak: „w Betlejemie” i „do Betlejemu”, nie chce mi się już nawet wspominać. Tyle razy o tym pisałem. Ręce opadają. Zapomniane kolędy? To takie proste: „Przybieżeli do Betlejem pasterze...”; „Dzisiaj w Betlejem, dzisiaj w Betlejem...”; „W Betlejem, nie bardzo podłym mieście”.

Rozmowa studentów prowadzona w „nowym” już chyba języku: „Co ty od niego chcesz? To porządny facet, nawet połowy zajęć nie odbywa”. To był pewnie wykładowca „porządny inaczej”. A skąd taki język wynieśli studenci. Ze szkół permanentnie reformowanych? Język nimi mówi. Uczennica gimnazjum w Solcu Kujawskim powiedziała z całą powagą o nauczycielu chemii: „Wymagający, dlatego nielubiany”. Nowa szkoła. Nowa logika. Nowy język. A bezwstydni stawiacze piątek bez pokrycia mają się dobrze. A że ich uczniowie miewają kłopoty z ułamkami na studiach technicznych, a z ortografią na studiach filologicznych (nowi studenci potrafią już i znane nazwiska pisać z błędami: „Naukowska”, „Rzmichowska”, „Iwaśkiewicz”, „Chorszyński” – bohater dramatu Słowackiego), to już mało kogo interesuje.

Posel (lewicowy) mówił w radiu: „Po owocach ich poznać, jak ktoś kiedyś powiedział”. To był ktoś z zapomnianej Ewangelii, kto ostrzegał przed fałszywymi prorokami. Posel używał zwrotów z języka byle jakiego: „powalczyć o gminy”, „podchodzić do tematu” i dziwadła: „problem się zmniejszy”. Ten „problem”, który się kiedyś „zmniejszy”, trafi na pewno do słownika języka nijakiego. To prawda: „Poznaćcie ich po ich owocach” (Mt 7, 16).

Niektórzy opolscy dziennikarze radiowi z podziwu godnym uporem rozpowszechniają słowko-wytrych: „problem”. Inni uczą słuchaczy fryzjerskiej poufałości; do starszych od siebie

rozmówców zwracają się per „Pani Zosiu”, „Pani Krystyno”, Panie Mikołaju”. Więcej poufałości niż znajomości.

I pozwalają wysokiemu urzędnikowi mówić byle jak i ośmieszać się publicznie: „Na dzień dzisiejszy wielkim problemem...” czy „wyzwolić bakcyła zmian”. Pewnie nie rozumieją, co znaczą zwroty „zarazić się bakcyłem” lub połknąć bakcył (zainteresować się).

Na Uniwersytecie Opolskim nowy rektor powołał nowego rzecznika prasowego. I to jakiego. Wart Pac pałaca... Panią, która i mówić potrafi, i pisać. I jeszcze się uśmiecha życzliwie. Nawet do tych, którzy nie zawsze się kierują dobrą wolą.

Pani rzecznik rozmawia, słucha, sprzecza się, wyjaśnia, komentuje, prostuje. Udzieliła też wywiadu ostatnio. I trzeba trafić, że rozmawiała z dziennikarzem, który kilka miesięcy temu przeniósł serce Józefa Piłsudskiego z wileńskiej Rossy do Lwowa. Tak, do Lwowa (zob. „NTO” 2005, nr 111, s. 17). Dziś papier prawie wszystko przyjmie. Zmyślenia historyczne i geograficzne też. Zapomniane cnoty autorów, redaktorów, kastygatorów, adiustatorów i korektorów.

Dobrze, że pp. Mieczysław Czuma i Leszek Mazan nie dowiedzieli się o rewelacyjnym tekście opolskiego żurnalisty. Znalazłby się może w ich znakomitej książce: „Poczet serc polskich” (2005). W przypisie, jako autor kuriozalnego zdania: „Pogrzeb Marszałka, którego ciało spoczęło na Wawelu (serce złożono we Lwowie), przerodził się w wielką manifestację patriotyczną”. Pech pewnie sprawił, że nowa pani rzecznik udzieliła wywiadu dziennikarzowi niezbyt biegłemu w geografii historycznej.

Fragment rozmowy:

„– Tylko młody człowiek ma ochotę na wyprawę w miejsca mało znane, które zwykłym turystom nic nie mówią, np. ostatnia wyprawa do Birzy [sic]!...”

– Tak, to jest coś, co z mężem lubimy bardzo. Birze jest [sic!] maleńką miejscowością na pograniczu Litwy i Łotwy (okolice Kiejdan) /Zob. „7 dni” 2006, nr 4, s. 8; dodatek do „NTO” 2006, nr 23/.

Nie ma zgody, Mopanku. Zwykli turyści wiedzą więcej o niektórych skoropisów. Wiedzą, że ta miejscowość nie nazywa się „Birza”, ale Birze! Bo zwykli turyści czytali kiedyś powieści Henryka Sienkiewicza i pamiętają z „Potopu”, że siedzieli tam Radziwiłowie z linii zwanej „na Birzach i Dubinkach”. Pamiętają też, że hetman Radziwił podpisał się w liście do Wołodyjowskiego tak: „Janusz Radziwił, książę na Birzach i Dubinkach, wojewoda wileński, hetman w. litewski”. Nawiasem: Birze nie leżą w okolicach Kiejdan, z Kiejdan do Birz daleko, ponad sto kilometrów w linii prostej.

Zapomniane cnoty autorów, redaktorów, adiustatorów etc. etc.

Ciągle przybywa „wkurzaczy”. „Wkurzacze” to ci, którzy zamiast posłużyć się, skoro muszą, skoro inaczej nie potrafią, grubym, rekruckim słowem, używają zamienników i udają, że nie są brzydkojęzyczni.

Dwie dziennikarki, i to dobre dziennikarki, o znanych nazwiskach, popisywały się w rozmowie z Januszem Kurtyką,

prezesem Instytutu Pamięci Narodowej, znajomością języka nijakiego i nazbyt potocznego (zob. „Nie przeproszę Przewoźnika”. Dwie na jednego – z prezesem IPN Januszem Kurtyką rozmawiają Agnieszka Kublik i Monika Olejnik, „Gazeta Świąteczna” 2006, nr 6, s. 12–15).

Zwracali się do Prezesa tak: „Jak Pan zobaczył artykuł w *Rzeczpospolitej*, to Pan się wkurzył?”; „To dlaczego Pan się poczuł wkurzony, zobaczywszy publikację *Rzeczpospolitej*?”. Rozmówca po drugim użyciu paskudnego słówka zauważył przytomnie: „– Słowo *wkurzony* jest używane przez panią redaktor” (s. 12).

Nie stropiły się panie dziennikarki, nie zrozumiały, zdaje się, uwagi prezesa IPN, nie przeprosiły za użycie w poważnej rozmowie niestosownego i niedoborowego słówka z przedmieścia (przeniesionego z czasem do biur i na korytarze uniwersyteckie). I to na takich dobrych łamach. W gazecie, która zapewnia codziennie: „Nam nie jest wszystko jedno”. Czyżby nie wiedziały znane dziennikarki, że „wkurzać” i „wkurzać się” to potoczne odmiany gminnego słówka „wkur..ać” i zwrotu „wkur..ać się”? To

przecież wulgaryzmy utajone, tylko trochę zamaskowane. Mutacje fonetyczne. Prezes IPN mógł się zdenerwować, przejąc, zirytować czy oburzyć. W żadnym wypadku „wkurzyć”. Kiedyś tylko rekruci i knajacy się „wkurzali”. Na łamach dobrych gazet takie słówka mogą się pojawiać tylko w cytatach.

Moda na byle jakie słowa nie mija. W „Przeglądzie” (2/2006), w wypowiedzi głównego negocjatora Porozumienia Zielonogórskiego z Narodowym Funduszem Zdrowia, znalazło się byle jakie zdanie: „On [minister Dorn] nawet nie wie, jak lekarze się wkurzyli” (s. 20).

To słowo chyba nie na ministerialne progi. A lekarze, jak mi się dotąd wydawało, takich słów publicznie nie używają. Tyle kulturalnych pań w białych kitlach. A „wkurzać” to, powtarzam, zamiennik fonetyczny wulgarnego słówka popularnego wśród wyrostków. Ale nie wśród lekarzy. Im nie wolno się w żadnym wypadku „wkurzać” (czyt. „wkur..ać”). Oni się mogą tylko denerwować i oburzać.

Adam Wierciński

Odeszli

Jerzy Karecki

(17.05.1954–20.10.2005)

Niespodziewanie szybko zamknęła się księga życia opolskiego poety Jerzego Kareckiego, poety i pedagoga, który swoją pracę nauczycielską, jak i wszystko co go otaczało, traktował jako tworzywo swoich wierszy. Był człowiekiem silnie przywiązującym się do drogich mu osób i miejsc. Rodzicom Helenie i Wilhelmowi poświęcił jeden ze swoich wierszy, oto fragment:

*...Jak bardzo chciałem być przez chwilę
Tym małym Jurkiem, któremu ojciec
Co wieczór czytał na dobranoc –
„Księgę dżungli” a matka z troską
Poprawiała potargany szalik mówiąc:
Tylko nie wracaj późno... i uważaj
Na siebie...*

Równie mocno – w latach studenckich i w dorosłym życiu – związany był z Opolem, temu miastu oddał wszystkie swoje talenty, swój trud zawodowy.

Urodził się 17 maja 1954 roku w Opolu.

Pracę zawodową rozpoczął w 1974 roku, bezpośrednio po złożeniu egzaminu dojrzałości, został brygadystą w Rejonowej Spółdzielni Pracy i Usług w Krapkowicach. W 1975 roku podjął studia w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu, zakończone w 1980 roku zdobyciem dyplomu magistra pedagogiki kulturalno-oświatowej. Jeszcze jako student został w 1979 roku pracownikiem Muzeum Wsi Opolskiej w Opolu-Bierkowicach. Od 1980 roku związany z placówkami i instytucjami oświato-

...A kiedy skończy się książka

Pozostanie niedokończony wiersz

Albo kropka nad „i”...

(Jerzy Karecki, „Znamię żeglarza”,
ze zbioru „Kiedy roztrwonią nas chwile” Opole, 1993)

wymi w naszym województwie, pracował kolejno w: Szkole Podstawowej nr 6 w Opolu (1981 r.), Zarządzie Wojewódzkim Szkolnego Związku Sportowego w Opolu (1981 r.), Państwowym Domu Dziecka w Opolu (1981 r.), szkołach podstawowych nr 2 i nr 3 w Zdziszowicach (1982 – 1986). W 1986 roku otrzymał powołanie na stanowisko starszego wizytatora w Dziale Kadr Kuratorium Oświaty i Wychowania w Opolu. Funkcję tę sprawował do 1992 roku.

Po odejściu z kuratorium prowadził pracownię energo-terapeutyczną.

W 1977 roku zadebiutował w prasie studenckiej jako poeta. Zajmował się poezją i krytyką literacką. Wielokrotny laureat regionalnych i ogólnopolskich konkursów poetyckich. Od 1984 roku był opiekunem Klubu Młodych Pisarzy przy Oddziale Związku Literatów Polskich w Opolu. W 1996 roku został wybrany członkiem Zarządu Oddziału ZLP w Opolu.

Swoje utwory publikował na antenie Polskiego Radia. Systematycznie drukował własne teksty w prasie literackiej, m.in. w: „Nurcie”, „Opolu”, „Faktach”, „Miesięczniku Literackim”, „Poezji”. Autor następujących tomików poetyckich: „Dalszy ciąg historii Ikara” (Opole 1979 ZLP Oddział Opole), „Chłód niewidzialnej ściany” (Opole 1993 Wers), „Kiedy roztrwonią nas chwile” (Opole 1993 Wers).

Zmarł 20 października 2005 roku. Pochowany został w Opolu.

Jerzy Duda

**Komisja Historyczna przy Zarządzie Okręgu
Związku Nauczycielstwa Polskiego w Opolu**

Fragment przygotowywanej książki Stanisława S. Nicieji *Wyprawy na kresy*

Brzeżany

Z wszystkich nędz – najstraszniejsze ludzkie zapomnienie
Juliusz Słowacki *Mazepa*, akt IV

Część II: W proch się obrócił

W 1726 roku wraz ze śmiercią Adama Mikołaja wygasł ród Sieniawskich. Jego jedyna córka Zofia wyszła za mąż za Augusta Czartoryskiego i wniosła do tego rodu wszystkie dobra Sieniawskich, w tym Brzeżany. Czartoryscy nie dbali już o to miasto i zamek tak jak Sieniawscy. Wówczas rozpoczyna się upadek Brzeżan. Nadworny poeta Czartoryskich, Franciszek Dionizy Kniaźnin, w wierszu pt. „Raj brzeżański. Do księcia Adama Czartoryskiego” z melancholią pisał:

*Zostałyć drzewa, zdroje i głązy
gdzie czasem słowik zakwili;
Wiszą szlachetnych mężów obrazy,
I smutna pamięć, że byli.¹*

W 1764 r., w czasie bezkrólewia, na Czartoryskich ruszyli Potoccy, którzy zawiązali w Haliczu konfederację. Czartoryscy schronili się w Brzeżanach. Na wały wytoczono 39 nabitych kartaczami armat. Przez trzy tygodnie czekali na szturm. Na szczęście nie doszło do bratobójczej walki.

Przed I rozbiorem Polski zamek brzeżański pod administracją Czartoryskich szczycił się jeszcze bogatą galerią obrazów, biblioteką i arsenałem. Po rozbiore w 1772 r. Brzeżany trafiły w ręce Austriaków, którzy zdecydowali o zniszczeniu fortecy. Zniwelowano wały obronne, zasypano fosę, zlikwidowano garnizon wojskowy. Czartoryscy bywali tu coraz rzadziej. Dawne wyposażenie Sieniawskich systematycznie wywozili do swych rezydencji w Puławach, Łańcucie i Wilanowie. Tu zostały tylko resztki mebli i malowidła na ścianach. W 1778 roku Brzeżany przeszły w ręce Lubomirskich, a w 1816 stały się własnością Potockich. Wtedy przychodzi kres świetności Brzeżan.

Austriacy zamienili zamek na koszary, a później na browar. Kościół i kaplica zamkowa stały się magazynem, w którym zlokalizowano skład wódki. Zaczął się proces niszczenia grobowców Sieniawskich. Wtedy to w prasie lwowskiej larum podniósł wybitny poeta romantyczny, autor „Chorału” i „Maratonu” – Kornel Ujejski. W „Dzienniku Literackim” w 1861 roku wystąpił przeciwko ówczesnemu właścicielowi zamku w Brzeżanach, Aleksandrowi Potockiemu, z publicznym oskarżeniem,



Marszałek Edward Rydz-Śmigły.

że świadomie przykłada rękę do *oburzających aktów profanacji i świętokradztwa. Wynajęto kaplicę na skład wódki – wołał twórca „Chorału” – a równocześnie dobyto się do grobowca, porozbijano trumny dla wyszukania w nich i zrabowania ostatnich własności spoczywających nieboszczyków. Więc karabele, więc spinki, więc złote i klejnotami dziane guzy u kontuszów, więc sygnety herbowe, więc srebrne podkówki nawet – złupiono, wydarto i sprzedano².*

A inny, nieznanym z nazwiska autor w tym samym czasopiśmie, opisując oplakany stan pamiątek brzeżańskich, zanotował m.in.: *że z obrazów, za które Sieniawscy płacili niekiedy po kilka tysięcy dukatów, mniejsze*

¹ M. Klimowicz, *Oświecenie*, Warszawa 1972, s. 278

² K. Ujejski, *Listy spod Lwowa*, Lwów 1861; H. Cepnik, op. cit., s. 2

rozebrano i rozkradziono, a większe płótna z rozkazu oficjalistów pocięto na wory.³

Musiała upłynąć kilkanaście lat, aby głosy oskarżeń o profanację kaplicy Sieniawskich przyniosły jakichś skutek. W 1878 r. ówczesny właściciel Brzeżan Stanisław Potocki, przejęty atakami opinii publicznej, przystąpił do restauracji kaplicy jako najbardziej w tym czasie zdezastowanej i zagładą zagrożonej części zamku. Wtedy to pod kierunkiem Leonarda Marconiego, profesora rzeźby i ornamentyki na Politechnice Lwowskiej, odnowiono kaplicę i zakonserwowano pomniki Sieniawskich, a malarz Conti wykonał na sklepieniu chiaroscuro – malowidła ludzaco naśladowujące płaskorzeźby. Niestety, Stanisław Potocki nie miał tak wrażliwych następców wśród dziedziców zamku brzeżańskiego. Odnowienie kaplicy zamkowej było aktem odosobnionym.

W 1909 r. lwowski tygodnik ilustrowany „Nasz Kraj” znów alarmował przejmującym artykułem pt. „Zagrożona pamiątka dziejowa”. Czytamy w nim: *Gniazdo Sieniawskich rozpada się coraz bardziej i coraz widoczniej w ruinę. Sufity się zarysowały, podłogi osiadły, belki spróchniały, grożąc w każdej chwili zawaleniem się – w ogóle jedna wielka ruina, w której z każdego kąta wygląda widmo powolnej zagłady. Stan zamku jeszcze w roku zeszłym uznano za tak groźny i niebezpieczny, że nakazano go opróżnić, aby nie narażać życia ludzkiego na niebezpieczeństwo*⁴.

W części, w której nie zapadł się jeszcze dach, urządzono szynk i dopiero interwencja Karola Lanckorońskiego jako urzędującego konserwatora sprawiła, że knajpę z zamku wyrzucono, a informujący o niej napis na murze zatarto. W czasie I wojny światowej zarwały się stropy w zamku. Podczas nieobecności właścicieli i zmieniających się okupacyjnych wojsk nasiliły się w zamku rabunki, wywożono, co się dało. W 1920 roku w obawie przed nadciągającą armią czerwoną, na tym odcinku dowodzoną przez Siemiona Budionnego, cynowe sarkofagi Sieniawskich wywieziono do Pieskowej Skały i dzięki temu przetrwały do naszych czasów.

W czasie I wojny światowej Brzeżany wpisały się też mocno w historię walczącej o niepodległość Ukrainy. W dniach od 2–4 września 1916 roku ukraiński oddział strzelców siczowych stoczył zwycięską bitwę z Rosjanami pod wzgórzem Łysonia. Tam znajduje się dzisiaj potężny, usypany kurhan z pomnikiem chwały oręża ukraińskiego na szczycie. Jest to jedno z najbardziej czczonych na Ukrainie miejsc, gdzie odbywają się patriotyczne wiece. Porównywany on jest z kopcem Piłsudskiego w Krakowie.⁵

³ Tamże.

⁴ „Nasz Kraj”, 4 IX 1909, s. 2

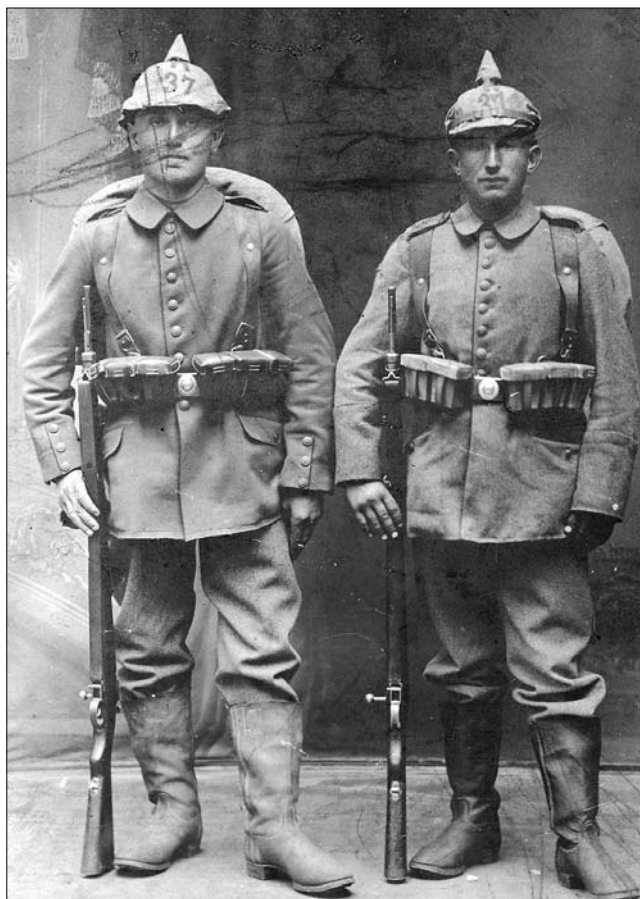
⁵ *Łysonia 1916–1996. Dokumenty, szczodenniki, spogadi, lysty, poezji, pisni, znimki*, wyboru dokonał Bohdan Tichy, Bereżany 1996, ss. 270; Karol Grünberg, Bolesław Sprengel, *Trudne sąsiedztwo. Stosunki polsko-ukraińskie w X–XX wieku*, Warszawa 2005, s. 236.

Po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej i ostatecznym ustaleniu w Rydze w marcu 1921 roku granicy wschodniej z Rosją, podjęto próby zabezpieczenia zrujnowanego zamku w Brzeżanach. Wydawało się, że nie przyjdą już dla zamku gorsze czasy. Niestety przyszły. To, co widzieliśmy we wrześniu 2005 roku, kręcąc film dokumentalny o Brzeżanach, wydaje się już szczytem upadku.

Prawie na naszych oczach zawałiła się piękna kopuła w kaplicy zamkowej. Spotkaliśmy tu studentów krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, którzy pod kierunkiem niezmordowanego dr. Janusza Smazy, ryzykując utratę zdrowia, prowadzili wewnątrz walącej się kaplicy inwentaryzację. Obraz, który zarejestrowaliśmy na kamerze filmowej jest porażający. Po nagrobkach Sieniawskich nie ma śladu. Prawie wszystkie kolumny są rozbite, a zdobne niegdyś tynki i płaskorzeźby zerwane do gołej cegły. W miejscach, gdzie były porównywalne z wawelskimi nagrobki Sieniawskich, na obdartych ścianach pełno wulgarnych napisów. Dziedziniec zamkowy okalają ruiny, z których szabruje się nawet cegłę.

Pamięć o marszałku

Spacerując po dzisiejszych Brzeżanach, w których język ukraiński jest obecnie tak powszechny, jak przed wojną był język polski, doznałem ogromnego zdziwie-



Piechurzy z okresu I wojny światowej.



Brzeżany, 1935 rok. W oczekiwaniu na przyjazd marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego.

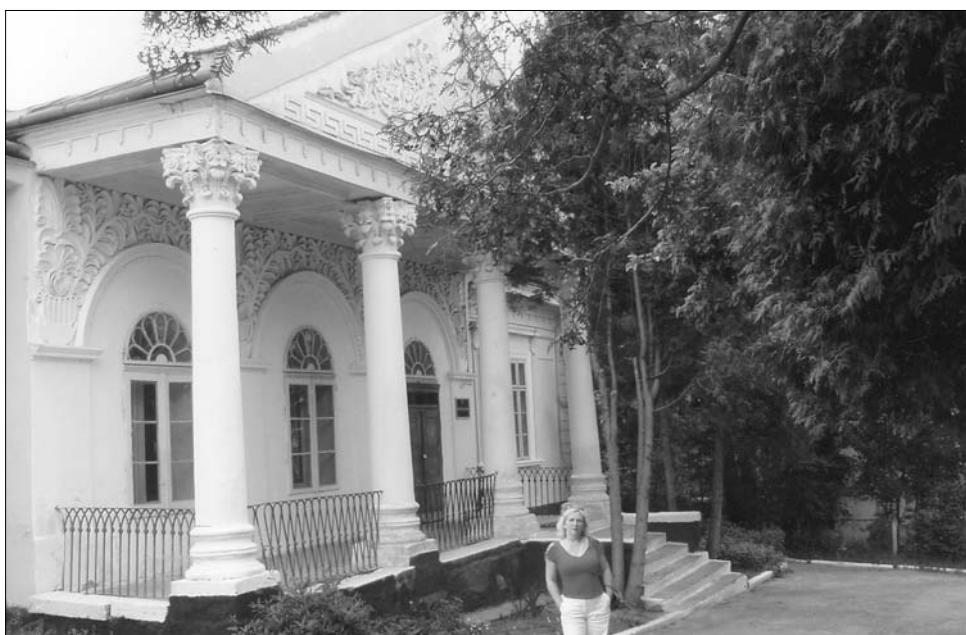
nia. Wszyscy tutaj wiedzą i szczerą się, że w mieście tym urodził się marszałek Polski Edward Rydz-Śmigły. Jest to swoisty paradoks, że Rydz-Śmigły, który w naszej historii jest postacią co najmniej kontrowersyjną i nie zapisał się – ze względu na wrzesień 1939 roku – zbyt chwalebnie w dziejach Polski, tu, w Brzeżanach, cieszy się taką dużą popularnością. Wszystkim zwiedzającym miasto Polakom nieodmiennie pokazuje się domy, w których mieszkał, gimnazjum, do którego uczęszczał i które ukończył, kościół ormiański, w którym jako student Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie namalował fresk poświęcony Matce Boskiej, zadbany grób jego matki na cmentarzu brzeżańskim oraz gablotę z dokumentami i książkami o nim w muzeum, mieszczącym się w ratuszu.

Brzeżański rozdział biografii Edwarda Rydza-Śmigłego spowity jest nadal mgłą tajemnicy. Na temat pochodzenia marszałka i jego rodziny krążą różne do-

mysły i spekulacje. Jedni twierdzą, że był nieślubnym dzieckiem, inni, że wywodził się ze zubożałej szlachty, jeszcze inni, że miał rodowód chłopski. On sam nigdy na ten temat nie zabrał głosu. Nie prostował krążących plotek i domysłów – jakby to go nie dotyczyło. W jednym z wywiadów powiedział tylko, że człowieka nie określa jego rodowód, a tylko czyny, które można sprawdzić.

Edward Rydz-Śmigły to postać w historii Polski tragiczna. Po śmierci Piłsudskiego cieszył się w Polsce wyjątkową popularnością. Był postacią pierwszoplanową, przesłaniającą nawet prezydenta Mościckiego. Śpiewano o nim pieśni, pisano wiersze, nazywano jego imieniem szkoły i ulice, wydawano poświęcone mu jednodniówki, jego podobiznami zdobiono gmachy publiczne, na słupach informacyjnych wisiały plakaty z jego fotografiami, wydawano znaczki i karty pocztowe z jego portretami. Był ulubieńcem mas. Miał zaledwie pięćdziesiąt lat, gdy został marszałkiem Polski i jej przywódcą. Zgrabna, wysportowana sylwetka, lekko nieśmiały uśmiech na twarzy, bystre, wyrozumiałe oczy – to wszystko budziło zaufanie w ludziach. Plakat z jego fotografią w czapce marszałkowskiej i z napisem „Jesteśmy silni, zvarci i gotowi”, albo jego powiedzenie, że w wypadku napaści na Polskę przez Niemcy hitlerowskie „nie oddamy nawet guzika” – uspokajały i dawały poczucie bezpieczeństwa.

We wrześniu 1939 roku ta piękna legenda w ciągu kilku dni przysła jak bańka mydlana. I, jak trafnie zauważył Ryszard Mirowicz, „prominent stał się bankrutem”. Wrześniowa przegrana i ucieczka Rydza do



Brzeżany. Dworek, w którym wychował się Edward Rydz-Śmigły.



Autor tekstu z dr. Janem Smazą na tle zrujnowanej kaplicy Sieniawskich w Brzeżanach.

Rumunii były szokiem dla społeczeństwa. Mijały dzieściolecia, a nie powstawała żadna monografia naukowa, która mogłaby wyjaśnić fenomen legendy i upadku Rydza. Jakże to częste w Polsce, że naród wynosił swych przedstawicieli wręcz na piedestał, a później wpadali oni w niemierzalną przepaść niechęci, nienawiści, a w końcu zapomnienia.

Dopiero po czterdziestu latach od upadku Rydza-Śmigłego pojawiły się ważne, pogłębione opracowania biograficzne o jego karierze, których autorami byli historycy krajowi – Ryszard Mirowicz, Cezary Leżeński i Wiesław Jan Wysocki, a na emigracji w Londynie Andrzej Suchcitz.⁶

Tajemnica Edwarda Rydza

Co wiemy dziś o brzeżańskich latach Rydza-Śmigłego? Otóż urodził się 11 marca 1886 r. w Brzeżanach przy ulicy nazwanej od imienia Izabeli Potockiej Izabelówką⁷, choć niektórzy twierdzą, że przy Rohatyńskiej 126. Jego ojcem był Tomasz Rydz – zawodowy podoficer armii austriackiej, pochodzący spod Wieliczki, syn kowala. W 1884 r. oddział Tomasza Rydza stacjonował w zamienionym na koszary niszczącym zamku brzeżańskim. Tu prawdopodobnie podczas przepustki poznał Marię Babiak, córkę listonosza, a później wachmistrza

policii w Brzeżanach.

W niektórych publikacjach jako miejsce urodzenia Rydza-Śmigłego podawana jest też wieś Leśniki pod Brzeżanami, gdzie jego ojciec miał przebywać na manewrach. Mieszkał podobno wówczas u Babiaków, ale nie mógł się ożenić z powodu niskiego stopnia oficerskiego. Ślub wziął dopiero, gdy Edward miał dwa lata, w lutym 1888 roku po awansie na wachmistrza i to w cerkwi, bo Maria Babiak była grekokatoliczką. Z niewiadomych powodów marszałek zdawał się to ukrywać, gdyż metryki ślubu i akt zgonu matki, gdy został pierwszą osobą w państwie, polecił utajnić.⁸ Mogło to być wówczas niewygodne politycznie.

Tomaszowi Rydzowi nie był dany długi żywot, w Brzeżanach bowiem zaniedbał grype, która przerodziła się w galopujące suchoty. Kilka miesięcy po ślubie wywieziono go do szpitala wojskowego we Lwowie, bo miejscowi brzeżańscy lekarze okazali się bezradni. Konał z daleka od żony Marii i dwuletniego syna, w zbiorowej sali pełnej chorych. Marii nie było nawet stać na to, by go odwiedzić we Lwowie, tym bardziej że syn był również lichego zdrowia. Nie było ich nawet na pogrzebie Tomasza Rydza. Spoczął najprawdopodobniej na cmentarzu Janowskim we Lwowie, ale jego mogiłę po kilkunastu latach przekopano, bo rodziny nie było stać na opłacenie kwatery. Po grobie ojca marszałka Rydza-Śmigłego nie ma dziś ani śladu.

Matka Rydza żyła w wielkiej biedzie. Sprzątała w domach brzeżańskiej inteligencji – szorowała podłogi, myła okna, prała bieliznę, tracąc szybko zdrowie. Gdy Edward miał dziesięć lat, zmarła, również na gruźlicę. Pochowano ją na cmentarzu w Brzeżanach. Jest zadziwiającą tajemnicą, dlaczego Edward Rydz-Śmigły, mając potężną władzę, liczne grono otaczających go wielbicieli i pieniądze nigdy nie zadbał, aby odszukać grób ojca we Lwowie, ekshumować jego prochy i przewieźć do Brzeżan, aby pochować je u boku matki. Nigdy o ojcu nie mówił. Czy tę tajemnicę ktoś kiedyś wyjaśni?

Po śmierci matki Edward trafił pod opiekę swego dziadka Jana Babiaka, który wkrótce też zmarł. Przyszło mu więc mieszkać z babką na końcu Izabelówki w walącej się chacie, która była tak zniszczona, że w nocy przez sufit – jak mówił – „gwiazdy widywał”.⁹ I chyba podzieliłby los tysięcy synów biednych rodzin, gdyby nie dr Tadeusz Uranowicz – znany brzeżański lekarz. On to postanowił zaopiekować się zdolnym chłopcem,

⁶ R. Mirowicz, *Edward Rydz-Śmigły. Działalność wojskowa i polityczna*, Warszawa 1988; C. Leżański, *Kwatera 139. Opowieść o marszałku Rydzu-Śmigłym*, Lublin 1989; W. J. Wysocki, *Edward Śmigły-Rydz malarz i poeta*, Warszawa 1997; A. Suchcitz, *O dzieciństwie Edwarda Śmigłego-Rydza*, „Zeszyty Historyczne”, Paryż 1987, z. 81, s. 194–200.

⁷ Anna Kollbekówna, *Marszałek Edward Śmigły-Rydz, syn ziemi brzeżańskiej*, [w] „Jednodniówka Młodzieży Gimnazjum Państwowego im. Marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza w Brzeżanach”, Brzeżany 1937, s. 6

⁸ A. Suchcitz, op. cit., s. 196–197

⁹ Cyt za: C. Leżański, op. cit., s. 21

całkowitym sierotą i przyjąć go pod swój dach. Jest wiele domysłów, jaki był powód tego wspaniałego gestu Tadeusza Uranowicza. Jeden z nich głosi, iż Uranowicz, mając syna jedynaka, któremu niespecjalnie wiodło się w gimnazjum, poradził się dyrektora szkoły, co do wyboru jednego z uczniów, który pomagałby jego synowi w odrabianiu lekcji. Dyrektor wskazał na Edwarda Rydza. I tak zaczęła się wielka przyjaźń między Edmudem Uranowiczem (późniejszym wiceprezesem Sądu Okręgowego w Brzeżanach) a przyszłym marszałkiem Polski. Po kilku miesiącach wspólnej nauki dom doktorostwa Uranowiczów w pobliżu kościoła farnego stał się domem rodzinnym Rydza.

Rydz był pogodnym, milczącym młodzieńcem, ale z widoczną czynnością i w krótkim czasie stał się w Brzeżanach pupilem kilku pierwszorzędných rodzin w tym mieście, m.in. Barzykowskich (przyjaźnił się z synem Barzykowskich Stanisławem – późniejszym pułkownikiem intendentury i działaczem sportowym), Widmanów (Michalina Widmanowa była znaną brzeżańską chiromantką, która miała przepowiedzieć Edwardowi wielką karierę) i Schätzlów (Stanisław Schätzl był wziętym adwokatem, burmistrzem Brzeżan i posłem na Sejm RP)¹⁰.

Ci bogaci mieszczenie brzeżańscy, dostrzegłszy talent w gimnazjaliście Rydzu, załatwili mu stypendium, które otworzyło przyszłemu marszałkowi drogę do Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie trafił pod opiekę wybitnych polskich malarzy – Leona Wyczółkowskiego i Teodora Axentowicza. Dyplom uzyskał u Józefa Pankiewicza. Rydz pamiętał o tej pomocy. W 1937 roku jako główny inspektor sił zbrojnych ustanowił trzy stypendia dla uczniów gimnazjum i liceum w Brzeżanach.¹¹ W czasie studiów często przebywał w Brzeżanach i był w tym mieście jednym ze współzałożycieli Związku Walki Czynnej.

Według relacji kolegów Edward Rydz często malował pejzaże z natury w podbrzeżańskim Raju. Jego najbardziej kontrowersyjną pracą z okresu brzeżańskiego okazał się obraz przedstawiający Matkę Boską, który powstał na zamówienie brzeżańskiej społeczności Ormian. Bogaci kupcy ormiańscy dbali o swój kościół, który razem ze szkołą usytuowany był tuż przy rynku i w 1911 roku zlecieli studentowi krakowskiej ASP namalowanie na frontonie kościoła Matki Boskiej

Niepokalanego Poczęcia. Edward Rydz był wówczas pod przemożnym wpływem modnego w tym czasie szwajcarskiego malarza Arnolda Böcklina i jego symbolizmu¹². Jak głosi jedna z niesprawdzonych opowieści, Rydz malował obraz na wysokim rusztowaniu zasłonięty specjalną kotarą. Gdy w końcu odsłonięto dzieło, widzom ukazało się malowidło, które było zaprzeczeniem



Ruiny zamku w Brzeżanach.

tradycyjnej wizji postaci Matki Boskiej, jaką wierni w Brzeżanach znali z popularnych obrazków rozdawanych na odpustach. Obraz przedstawiał śliczną dziewczynę o kasztanowych włosach. Podobno miał to być wręcz portret siostry kolegi szkolnego Rydza, mieszkającej w pobliskim Rohatynie, Wandy Weichmanówny.¹³ Plotka szybko obiegała całe miasteczko. Pod jej wpływem proboszcz, nie wnikając w szczegóły, polecił zamalować obraz wapnem w obawie przed zgorzeniem.

Oprócz malarstwa w czasach brzeżańskich Edwarda Rydza fascynował teatr. Angażował się w działalność teatrów amatorskich. Brzeżanie zapamiętali dwie inscenizacje teatralne, w których zabłysnął talentem aktorskim. Były to inscenizacje Mickiewiczowskiego „Konrada Wallenroda” i „Odwiecznej baśni” Przybyszewskiego. W obu spektaklach grał główne role i był w nich autorem dekoracji i projektantem kostiumów¹⁴

Stanisław S. Nicieja

¹⁰ W. J. Wysocki, op. cit., s. 14

¹¹ Tamże, s. 14

¹² Jean Cassou, *Encyklopedia symbolizmu*, Warszawa 1997, s. 63

¹³ C. Leżeński, op. cit., s. 29

¹⁴ Kazimierz Cepnik, Edward Śmigły Rydz. *Zarys życia i działalności*, Warszawa 1936, s. 12; Stanisław Wisniewski, *Brzeżańczycy przy odbudowie państwa polskiego*, Lwów 1938, s. 168

Kamieniołom na Górze św. Anny



Widok na Górę Św. Anny i kamieniołom. Początek XX w. (ze zbiorów autora)

Góra św. Anny jest znana jako centrum kultu religijnego związanego ze świętą Anną. Znajduje się tu również jedyny na Śląsku Opolskim rezerwat geologiczny, chroniący rzadkie profile skalne i zjawiska wulkaniczne. Jest to jeden z najciekawszych tego typu rezerwatów w Polsce. Obszar ten już na początku XX w. był chroniony na prawach rezerwatu.

Kulminacyjną częścią Masywu Chełm jest wulkaniczne wyniesienie Góry św. Anny, liczące 400 m n.p.m. Jego rdzeń stanowi bazaltowy słup skalny, będący ujściem magmy do krateru wulkanu, znajdującego się prawdopodobnie w pobliżu bazyliki, w sąsiedztwie której widoczne są do dnia dzisiejszego naturalne wychodnie zastygłej lawy w postaci bazaltowych słupów. Wulkan ten był aktywny dwukrotnie. Około 26 milionów lat temu powstał pierwszy, który uległ zapadnięciu. Następnie około 5

milionów lat później w jego obrębie wykształcił się kolejny wulkan. Dawny krater znajdował się prawdopodobnie kilkaset metrów wyżej niż dzisiejszy szczyt Góry św. Anny. Powodem obniżenia wulkanu

jest trwająca po dziś dzień naturalna erozja skał.

Rezerwat geologiczny „Góra św. Anny” o powierzchni 2,69 ha, położony jest na południowo-zachodnim zboczu góry, przy drodze do Leśnicy. Obejmuje część nieczynnego kamieniołomu bazaltu i wapienia i stanowi atrakcyjną ilustrację budowy geologicznej tych okolic. Na dnie kamieniołomu zachował się krater dawnego wulkanu, na krawędziach którego łatwo można zauważyć odsłonięte styki różnych skał, zarówno osadowych jak i wylewnych oraz słupy bazaltowe o grubości sięgającej do 30 centymetrów. Pod wpływem rozżarzonej lawy występujące tu zielonkawe piaskowce zabarwiły się na czerwono. W kamieniołomie, poza granicami rezerwatu, znajduje się również interesujący pod względem geologicznym stożek tufów wulkanicznych, objęty ochroną jako pomnik przyrody. Jest on również pozostałością po wybuchu wulka-



Kamieniołom bazaltu i wapienia pod koniec XIX w. (ze zbiorów autora)

nu. Tworzą go wyrzucone podczas erupcji pyły i bomby wulkaniczne o wrzecionowatym kształcie i brunatnoczerwonym zabarwieniu, które są niewielkimi fragmentami zastygłej w powietrzu lawy. Na terenie kamieniołomu można spotkać również ślady powulkanicznej działalności gorących roztworów hydrotermalnych. Jednym z najciekawszych przejawów tej działalności jest największa w Polsce buła jaspisowa o długości 2 metrów. Jaspis to ozdoba skała osadowa zbudowana głównie z kwarcu i zabarwiona związkami żelaza na zielono, żółto, brunatno lub najczęściej czerwono. W Polsce jaspis występuje w Niedźwiedziej Górze koło Krzeszowic oraz na Dolnym Śląsku, m.in. w okolicach Wałbrzycha i Nowej Rudy. W występujących tu również wapiennych skałach triasowych napotkać można interesujące zjawiska krasowe, m.in. kopalny lej krasowy wypełniony mułem oraz niewielką jaskinię o długości około 3,5 m i wysokości korytarza 0,5 metra. W wapieniach występują liczne ska-



Aktualny widok na rezerwat. Fot. Krzysztof Spałek.

mieniałości: gąbki, małże, ramienionogi i liliowce. Liliowce to grupa zwierząt należąca do szkarłupni, a swą budową przypominają blisko spokrewnione rozgwiazdy. Zwierzęta te osadzone są na długiej łodyżce, dzięki której przytwierdzają się do podłoża. Na jej szczycie znajduje się otwór gębowy otoczony licznymi ramionami. Liliowce to zwierzęta, wśród których znanych jest więcej form kopalnych, niż współczesnych żyjących.

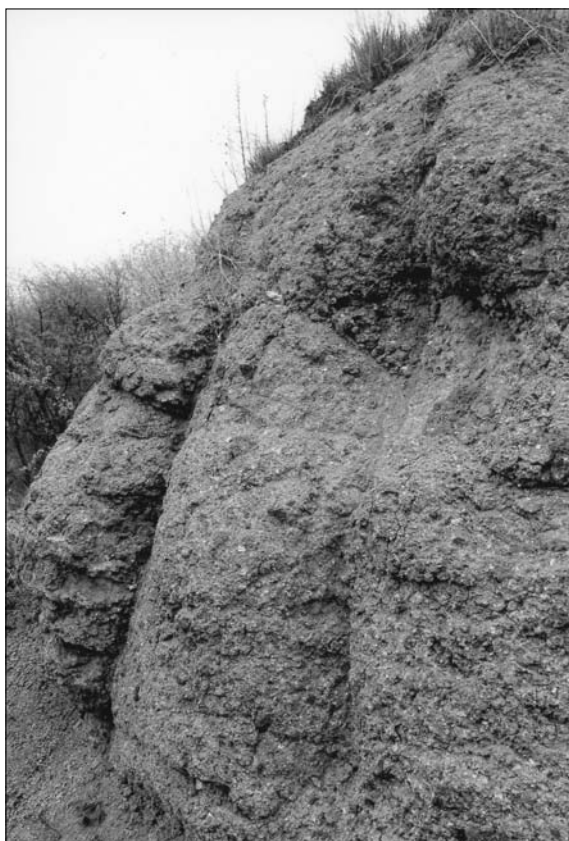
W kamieniołomie znajduje się również stanowisko chronionego dziewięciosa bezłodygowego oraz rzadkiego na Śląsku Opolskim, żółto kwitnącego posłonka rozestanego. W miejscach kamiennych spotkać można rzadkiego w Polsce węży gniewosza plamistego. Gniewosz plamisty należy do grupy węży dusiciel, ponieważ swoje ofiary przed połknięciem dusi. Głównym jego pożywieniem są

jaszczurki, małe węże oraz rzadziej myszy, ryjówki i pisklęta ptaków. Cechą charakterystyczną ubarwienia gniewosza są ciemne plamy na głowie i grzbiecie. Występuje przeważnie na terenach otwartych, nasłonecznionych i kamienistych. Jest wężem powolnym, wskutek czego można łatwo go schwytąć. W takim przypadku staje się niezwykle agresywny i stąd jego nazwa. Ukąszenia gniewosza są dla człowieka jednak zupełnie nieszkodliwe i bezbolesne.

Ten niecodzienny w naszej szerokości geograficznej rezerwat przyrody nieożywionej jest niestety z roku na rok coraz trudniej dostępny. Powodem tego jest naturalna sukcesja roślinna, wskutek której większość tych jakże ciekawych profili geologicznych jest już zarosnięta i niewidoczna dla zwiedzających. Stąd też najlepiej odwiedzić rezerwat wczesną wiosną, kiedy to na jeszcze odsłoniętych półkach skalnych brak roślinności. Dodatkowym zagrożeniem dla rezerwatu jest coraz większe dzikie wysypisko śmieci, znajdujące się w jego sąsiedztwie, na północnych stokach nieczynnego kamieniołomu.

Krzysztof Spałek

Katedra Biosystematyki Wydziału
Przyrodniczo-Technicznego UO



Stożek tufów wulkanicznych. Fot. Krzysztof Spałek.

Od zjawy do zjawiska

Z Zuzanną Śliwą, absolwentką WSP w Opolu, autorką książek popularyzujących historię, rozmawia Barbara Stankiewicz

W swojej książce „Puk, puk! Tu Lenin” wspomina pani „bajkowe, świetne wykłady” znanych profesorów, o których pisze pani niesłuchanie ciepło. Trochę się ten obraz opolskiej WSP kłóci z określeniem „Czerwona Sorbona”, jakim obdarzają uczelnię niechętni jej ludzie.

– Czerwona Sorbona? Coś takiego! Kto ukuł (czy ukuł) to określenie? Dotyczy teraźniejszości, czy lat 60., 70. ? Owszem, na pewno była czerwona w końcówce lat 60., tak jak i każda uczelnia w kraju. Mimo to, gdzie było się równać ówczesnemu WSP do czerwonej barwy innych szkół wyższych! Jednak niewiele wiem o politycznych kulisach WSP i o jej politycznych dziejach w latach 70. i 80., więc nie mogę w żaden sposób odnieść się do owej Sorbony. Ale na pewno nie było tej czerwoności u najważniejszych moich profesorów. Kilku z nich wywodziło się ze słynnego przed wojną uniwersytetu lwowskiego. Właśnie komuniści wymietli ich z rodzinnych stron, więc jak mogli ci ludzie czerwonych kochać?

Szczyściem wielkim żyję sobie od lat poza wszelką polityką. Miałam jej w nadmiarze, kończąc studia na WSP. Od tamtej pory, a minęło tych latek sporo, czuję dziwną awersję do aktywnego udziału w tzw. polityce. Historyk musi pozostawać na ile się da obiektywny, bo inaczej jest narzędziem tej czy innej formacji. Dowody tego są. Możemy na co dzień obserwować niektórych znanych historyków, jak mocno gardłują na rzecz swoich frakcji, podpierając się historią i tak ją wykręcając, by służyła ideologii określonej partii. A że wspominałam moją uczelnię ciepło? Cóż, oddajmy cesarzowi, co cesarskie. Tu uczono mnie zaglądać w dzieje – i to uczono bardzo dobrze. Wpływ na to miał nie jakiś określony profil polityczny uczelni, ale tylko i wyłącznie profesorowie, którzy starali się oderwać nasze umysły od obowiązkowego „tu i teraz” i przestawić je na szersze tory.

Jak pani trafiła do Opola? Czemu właśnie tu? Czemu na historię?

– Nie będzie to odpowiedź typu, że „zawsze chciałam, że marzyłam”. Nie chciałam historii, nie marzyłam o



Zuzanna Śliwa w trakcie spotkania w Bibliotece Głównej UO (17 listopada 2005 r.).

WSP. Chciałam studiować tylko i wyłącznie archeologię! Na UMCS, bo tam był świetny wydział – a potem zostać dziennikarzem. Jednak rodzice widzieli we mnie przyszłą nauczycielkę, bo to i zawód godny i uczelnia w mniejszym mieście, więc moja natura buntownika da się tam łatwiej okiełznać. Zapadła więc decyzja, mimo moich próśb i łez, że idę do szkoły pedagogicznej. Historia wzięła się stąd, że mój ojciec był wielkim jej wielbicielem. W ten sposób chciał spełnić – poprzez mnie – swoje marzenia. Jako ofiara jego wizji mojej przyszłości powlokłam się do tego Opola. I od razu wpadłam w sidła. Na egzaminie wstępnym wdałam się w mały spór z profesorami – Władysławem Dziewulskim i Władysławem Czaplńskim. Chodziło o ocenę pewnych zdarzeń. Uparłam się – o dziecięcą zarozumiałość (nie miałam jeszcze 18 lat!) – przy własnym zdaniu, zupełnie odmiennym od przyjętego trendu, co profesorów lekko zdziwiło (piszę o tym szerzej w książce „Puk, puk! Tu Lenin”). Toteż gdy się dowiedziałam, że zdałam bez przeszkód, pojawiło się we mnie przekonanie, że może ta cała historia to nie takie znowu nudziarstwo, jakby się wydawało. Że można tu nawet się pokłócić, nawet powalczyć, nawet się nie zgadzać. W to mi graj! Poza tym dowiedziałam się, że przez dwa semestry wykładana

jest archeologia. Idę więc na tę historię-archeologię, a potem się zobaczy! I poszłam. I nie żałuję tego kroku!

A więc jednak archeologia, mimo że historia.

– Przyznam teraz, po latach – a pamiętam to doskonale – że na pierwszy wykład z archeologii szłam na gumowych nogach. Grały mi niemal anielskie trąby. Usiadłam w sali i gapiłam się na drzwi. Wyobrażałam sobie, że wejście przez nie jakiś potężny, odziany w strój jak na wykopaliska, wielki guru – archeolog. Wszedł niewysoki mężczyzna o zawadiackiej minie, docent Adolf Nasz. Dosłownie piłam jego słowa, jakbym dostąpiła największego szczęścia. On kochał archeologię! Ja kochałam archeologię! Zorientował się chyba w tym, bo byłam jedyną studentką, której nadał pseudonim. Zwracał się do mnie „Rzymianka”. No i wreszcie posiadałam tę archeologię ukochaną. Ba, nawet udało mi się, na początku przedostatniego roku studiów, po tygodniach wystawiania przed dziekanatem wyblagać u dość upartego dziekana Konika, by pozwolono mnie, studentce tylko historii, pisać pracę magisterską właśnie z archeologii, ścisłej archeologii. Pod kierunkiem docenta Nasza. Musiałam nieco podpedzić moją wiedzę w tym zakresie – i to samodzielnie. Nad pracą ślęczałam dwa lata, prowadząc badania materiałów z wykopalisk na terenie Śląska Opolskiego, dotyczące okresu wpływów kultury prowincjonalno-rzymskiej [0–400 n.e.] Przejrzałam setki teczek, zgromadzonych w opolskim muzeum, w dziale archeologicznym. Na konsultacje jeździłam na uniwersytet we Wrocławiu, gdzie stacjonował mój promotor. Recenzentem był uparty dziekan Eugeniusz Konik. Dał mi wielką piątkę. Tak ją nazwał, równocześnie przepraszając, że na dyplomie będzie tylko 4, bowiem z innych przedmiotów byłam strasznie dena. Zwyczajnie nie interesowała mnie w sposób szczególny ani ekonomia, ani filozofia, ani inne pobocza.

Miała pani zajęcia z wykładowcami, którzy są legendą opolskiej WSP: Andrzejem Brożkiem, Juliuszem Demelem, Eugeniuszem Konikiem, Witoldem Krukiem-Ołpińskim, Maurycym Hornem, Mieczysławem Goszczyńskim, Leszkiem Winowskim...

– To byli wspaniali ludzie, godni swoich tytułów. Na przykład wykłady profesora Juliusza Demela. Wielka szkoła myślenia historycznego! Nie tylko nazwiska, tepe daty, zdarzenia takie czy owakie, ale przede wszystkim umiejscawianie ich w szerszych kontekstach. Jeśli rewolucja czy wojna, to zawsze z pytaniem: dlaczego tu, dlaczego teraz? Dlaczego? Profesor Demel był jednym wielkim „Dlaczego”. To proste pytanie o przyczyny i skutki jest, o czym przekonałam się później, pytaniem dla historyka najważniejszym. To pytanie zostało we mnie na zawsze. Patrząc na historię pytam najpierw: „dlaczego, skąd?” Nawet pisząc książkę o legendach zamkowych, zawsze zadawałam sobie pytanie: dlaczego

taka legenda w takim miejscu? Skąd właśnie tutaj te opowieści? To tak, jak szukanie skarbów. Gdy wreszcie odpowiemy na owe „dlaczego”, czujemy się, jakbyśmy odnaleźli skarb.

Albo profesor Leszek Winowski, z jego cudownym, szerokim oglądem historii nowożytnej. Mówił pięknie, a jeśli coś nam – jeszcze ciemnym jak tabaka w rogu adeptom nauk historycznych – tłumaczył, czynił to z wielką sympatią do słuchaczy. Nie był wielkim panem na katedrze. Był przyjacielem tych, co na razie wiedzą mniej. Człowiekiem o wielkiej kulturze osobistej. Ucząc nas historii, uczył równocześnie, że można ją przekazywać interesująco, miękko, że to dziedzina wielka, rozległa, frapująca. Podobnie profesor Maurycy Horn. Dzięki niemu na zawsze pokochałam naszą dawność, dawność czasów wielkich polskich królów. A profesor Eugeniusz Konik! Jego dar opowiadania o dziejach! Setki dygresji dotyczących tematu głównego (zdarzało się, że zaczynał wykład od starożytnej Grecji, a kończył na współczesnych instrumentach muzycznych Eskimosów) pozwalały nam – profanom – żeglować po rzece historii, jak po rozległym, niesamowitym oceanie zdarzeń, losów ludzi i narodów. Profesor Konik zaszczepił mi ową potrzebę żeglugi. Ja też chciałam poczuć wiatr w żaglach, a potem porwać innych, bo już wtedy mocno marzyłam o pisaniu. Najbardziej, takie mam wrażenie, udało mi się to żeglowanie w książce „Dzieje siedzib polskich”. Wydawca zmienił mi tytuł. Pierwotny brzmiał „Gniazdo”, z podtytułem: „Dzieje polskich siedzib”. Trudno, stało się. Jeśli znajdę sponsora na drugie wydanie, wróci tytuł właściwy. Tę i wszystkie moje książki o historii w pewnym sensie pisali również moi profesorowie.

Inni moi wykładowcy. Profesor Witold Kruk-Ołpiński miał szczególny dar wprowadzania w arkana psychologii. Używał zabawnych, barwnych przykładów, które na zawsze wbiły mi w głowę niektóre ważne dla tej nauki definicje. Pan od łaciny: Mieczysław Goszczyński. To był dopiero oryginał. A te jego słynne narzekania, że robimy sobie z łaciny „gwizdatorium”. Byłam w tejsze łacinie szczerym, wielkim osłem. Jednak dał mi szansę, tłumacząc na ostatnim egzaminie zaliczeniowym: – „Pani się uparła, i ja się uparłem. Pani chce zejść na psy, a ja chcę, żeby z pani byli ludzie. No i co? Ja dam trójcę na szynach, a pani niech robi wszystko, żeby na tych ludzi wyjść.” Co miałam robić? Musiałam wyjść na ludzi, choć z dość skromną znajomością łaciny. Muszę też wspomnieć o rektorze Jerzym Słupeckim – człowieku ogromnego serca, który wspierał studentów, także finansowo, kiedy tylko mógł.

Studiowała pani w tym samym czasie, co przedwcześnie zmarli: Kazimierz Kobiałko i Zdzisław Kowalczyk. Jak ich pani wspomina?

– W książce „Puk, puk! Tu Lenin” wspomniałam kolegę z roku Kazia K. To Kazik Kobiałko, świetny facet, świetny kolega, obdarzony ogromnym poczuciem



Kazimierz Kobiątko na Zjeździe Wojewódzkiej Unii Demokratycznej w Opolu (czerwiec 1991 r.). Fot. Tadeusz Parcej.

humoru, wyobraźnią i intelektem. Prawdziwa supergłowa, chociaż starał się stwarzać pozory przekornego Sowizdrzała. A przy tym zero zarozumiałstwa, wielka pokora wobec okoliczności – nie zawsze sprzyjających. Wiele słów można by o nim napisać. I wielki żal, że odszedł tak wcześnie. Kowalczyk – prawdziwy oryginał. Znalazł sens właśnie w byciu takim przecherà-oryginałem, którego inni starali się mniej lub bardziej udanie naśladować. Miał swój tron – fotel w holu akademika. Z tego tronu spozierał okiem pozornie obojętnym, nieważnym na to, co działo się naokoło. Spotkałam go po kilku latach, w Warszawie, gdzie studiowałam na podyplomowej dziennikarce. Nic się nie zmienił. Miał nawet ten sam płaszcz: długi, w kolorze beżowo-rudym. Przysiedliśmy na pogawędkę na krawężniku chodnika przed Uniwersytetem Warszawskim. Przed oczami śmigały nam samochody, zatykał smród spalin, a my wspominaliśmy stare dzieje, od czasu do czasu wesoło porykując. I on odszedł przedwcześnie. Szkoda wielka, mógł być znaczącym pisarzem, bo czego jak czego, ale talentu Bozia mu nie poskąpiła.

Wielkim oryginałem był Zdzych Gruberski, znacznie od nas – pierwszoroczników starszy. Wielka szelma! Pamiętam jedną z żakinad. Poprzebierani rozmaicie, szaleliśmy po całym mieście, co rusz natykając się na odzianego w ciemny habit misjonarza, który podchodził do grupki opolan, obserwujących nasze wesołe wariacje, wyrzekał na dziejące się tu bezceństwa i prosił o datki na jakichś tam pogan, żyjących w głębi dżungli. Pod habitem krył się nasz Zdzych! Pod wieczór miał już taką kupę kasy, że zaprosił wielkie grono żaków na żarełko w prawdziwej restauracji. I ja tam byłam, jadłam, kawę piłam, a na końcu dostałam dużą czekoladę.

Było jeszcze parę barwnych postaci, ale opowiedziałam o tych najbarwniejszych.

Podczas spotkania ze studentami Uniwersytetu Opolskiego ze szczególnie ciepłymi słowami zwróciła się pani do profesora Adama Suchońskiego, dziękując

mu za wstawiennictwo w czasie, gdy relegowano panią z uczelni. Za co była pani relegowana?

– Najchętniej ten temat bym pominęła, bowiem dotyczy bardzo ciemnych kart naszej uczelni – marca roku 1968, kiedy to w Polsce – i nie tylko – miały miejsce wystąpienia studentów. Rano 8 marca w holu „Mrowiska” zaczęła mnie była szefowa ZSP i przestrzegła po koleżeńsku, że jestem na jakiejś czarnej liście i że chyba za moment będę zawieszona w prawach studenta. Otworzyłam buzię ze zdziwienia. Za co? Jesteś podejrzana o udział w organizowaniu protestów studenckich. – odpowiedziała. Jakich protestów? No, przecież tych, co zaczęły się dziś w Warszawie – wyjaśniła. Słyszałam o tym pierwszy raz, nie miałam w akademiku radia. No i zostałam przestępcą przeciw władzy, uczestnikiem rewolty, który nawet jeszcze nie wie, że gdzieś tam trwa jakaś rewolta. Zawiesili mnie. Niektórzy towarzysze z uczelni chcieli się zasłużyć i wykazać „rewolucyjną czujnością”. Fakt, pisywałam w studenckiej „Famie”, którą uznano za pismo niesłuszne politycznie. Ale co to było za pisanie! Jakieś opowiadki o wyprawach w góry. I tak moja kariera studencka (byłam na V roku, miałam już absolutorium) zakończyła się w parę tygodni później. Wywalono mnie z uczelni. Dokonano tego w białych rękawiczkach, za pośrednictwem tzw. komisji dyscyplinarnej. Unicestwiono pięć lat nauki, zabrano szansę na ukończenie studiów, jakbym była jakimś nędznym śmieciem, a nie młodym człowiekiem, który ma naturalne prawo do przyszłości. To było okrucieństwo. Przechowuję dokument stwierdzający, że zostałam relegowana z uczelni na podstawie meldunku Komendy Wojewódzkiej MO. Do dziś nie wiem, dlaczego stało się tak, jak się stało. Czasem pisywałam jakieś durne wierszyki, kpiące z naszych okoliczności dziejowych, które czytałam w kręgu przyjaciół. Czy to mogło czymś zagrozić całości PRL? Dopiero po tym zawieszeniu zaczęłam robić różne rzeczy, które mogły podpadać pod komunistyczne paragrafy: pisałam plakaty, wieszalam je, pyskowałam na głos na „naszą Partię kochaną” i kapusiów, wiecowałam, a nawet byłam z grupą kolegów w Warszawie, by zawieźć do centrali organizacji studenckiej naszą uczelnianą rezolucję. Wysłał nas tam oficjalny szef uczelnianego ZSP, dał nawet delegację, której koszt w jakiś sposób też pokrywano oficjalnie. Z tej grupy kolegów jedynie ja miałam ponieść konsekwencje, co było jakimś niepojętym wyróżnieniem, jakby ktoś cynicznie wylosował akurat mój numer – tak dla postrachu. Stając przed komisją, zrozumiałam, że mam być ukarana nie za coś strasznego, co zrobiłam – a tylko dla przykładu. Że mam słuchać, kiwać głową, przyznawać się do Bóg wie czego, ale pod żadnym pozorem nie wolno mi bronić się przed zarzutami, choć były absurdalnie rozdęte. Nikogo moje tłumaczenia nie interesowały. Był rozkaz: ukarać! – i tyle. Kto odważyłby się wówczas stanąć w obronie osoby takiej jak ja,

mógł też swoje oberwać. A jednak. W pewnej chwili wezwano szefa organizacji partyjnej na uczelni, dra Adama Suchońskiego. Prowadził z nami zajęcia, był przyjaznym człowiekiem i nawet czasem dziwiliśmy się, że jest zaangażowany w PZPR. Miał potwierdzić moje winy, lecz ni z tego, ni z owego – ku wyraźnemu zaskoczeniu osób prowadzących „proces” – stanął w mojej obronie, wydając mi bardzo pochlebną opinię i stwierdził, że nie wierzy, abym coś tam narozrabiała. Tego nie było w planie! Prosiłam, by przestał, bo mnie i tak nic już nie uratuje, bowiem wyrok zapadł z góry, a on może ponieść niepotrzebne konsekwencje. Ale się zaparł i nie przestał. Może zwyczajnie poniosły go nerwy, lecz dla mnie miało to inny, większy, niemal symboliczny wymiar. Konsekwencje oczywiście poniósł. Też został na swój sposób relegowany. Był to jedyny człowiek, który wówczas odważył się stanąć w obronie „jednostki politycznie skażonej”. Uratował mi wtedy nie skórę, ale – mówiąc nieco górnolotnie – duszę. Pokazał, że w tym zwartym szeregu towarzyszy, służalczo współpracujących z organami władzy są ludzie przyzwoici, którzy też mają dość ślepej służby „ciemnej stronie mocy”. Może oceniam to, nawet z perspektywy lat, z przesadną emocją, ale tak właśnie wówczas myślałam. Dlatego teraz, kiedy po latach przyjechałam na naszą uczelnię i zobaczyłam, że Pan Profesor Adam znowu tu jest, nie mogłam w czasie spotkania w bibliotece nie powiedzieć: – Kocham Pana, Panie Profesorze. Dziękuję.

Historia jest taką ciekawą dziedziną, a jest tak beznadziejnie popularyzowana. Dlaczego? Jaki jest pani patent na popularyzowanie historii?

– Patent? Byłabym bardzo nieskromna, sądząc, że jakowyś patent posiadam. Podobne pytanie zadała mi pewna dziennikarka w wywiadzie podczas targów książki. Prosiła o definicję popularyzacji, bo – mówiła – takiej definicji nie ma. Podałam więc swoją roboczą definicję: popularyzacja, to takie pisanie, żeby nawet głupi zrozumiał, a mądry się nie obraził, że mamy go za dumnia. Mówiąc inaczej: należy pisać na innym poziomie, nazwijmy go niższym pułapem, czyli tak, żeby każde słowo było zrozumiałe, każda myśl prosta, bez zawiłości i całej tej naukowej płataniny. To bardzo trudne, bo trzeba spuścić z tonu, panować nad chętką wpadania w polemiki, we własne wygórowane oceny, w zawiły bełkot faktograficzny. Pisanie na tym niskim pułapie to – paradoksalnie – bardzo wysoko podniesiona poprzeczka. Trudnością zasadniczą jest odszukanie w sobie innych słów, zbitek

myślowych odmiennych niż te, jakimi posługuje się zawodowy historyk, który nie zajmuje się popularyzacją, np. wykładowca akademicki. Popularyzować, to przede wszystkim umieć zainteresować. W chaotycznym świecie wszechinformacji jest to zadanie co najmniej niełatwe. Jak powiedzieć coś więcej ludziom znającym historię swojego kraju tylko po łebkach i niemającym ochoty na więcej? Cóż, trzeba na nich zarzucić coś w rodzaju haczyka. Zrobiłam to m.in. w książce „Tajemnice miejsc niezwykłych w Polsce”. Tym haczykiem były opowieści o duchach krążących po zamkach, pałacach, ruinach, polach, lasach. O czym jak o czym, ale o zjawach ludzie uwielbiają czytać. W niektórych rozdziałach było o tych zjawach raptem parę zdań. Reszta dotyczyła nie legendy, a – można rzec – czystej historii, czystej faktografii danego miejsca, rodu, ważnych wówczas wydarzeń politycznych i gospodarczych. Masa szczegółów, wkładanych do głów czytających niemal podstępem, w ozdobnej ramie uplecionej z duchów i upiórów. Ważną rolę odgrywają w tym wszystkim różne anegdoty, fragmenty listów czy wspomnień z epoki – byle cytaty nie były za długie. To taka układanka, mozaika barw, tworząca obraz czasów, o jakich chcemy opowiedzieć. Cieszę się niezmiernie, że te moje gawędy niby o duchach stały się popularne wśród nauczycieli i młodzieży szkolnej, o czym świadczą zaproszenia na spotkania. Ileż jest podczas nich wrzawy, ile przykładów rzucają ci młodzi ludzie. I choć kanwą są wspomniane duchy, tak naprawdę rozmawiamy o dziejach naszego kraju. Czasem pod koniec takiego spotkania wzdycham sobie na głos: – No proszę, jak się interesujecie historią. I ile wiecie! Są wtedy z siebie bardzo dumni.

Kto chce popularyzować historię, musi w tej historii zatonać po uszy, oddychać nią w każdej chwili pisania, być z nią i być nią. Trzeba ją, mówiąc krótko, po prostu kochać. ■■■



Porządkowanie terenu w czasie budowy gmachu głównego WSP (1958 rok). Na zdjęciu – ówcześni studenci matematyki. Fot. Roman Krajewski.

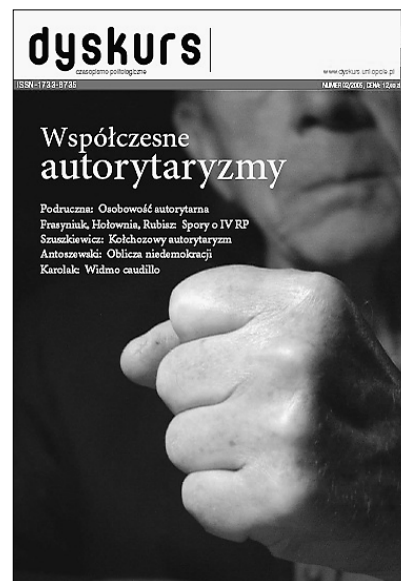
„Dyskurs” – czasopismo politologiczne

„Dyskurs” to czasopismo młodych pracowników nauki, asystentów Instytutu Politologii Uniwersytetu Opolskiego, które jest tworzone przy wsparciu starszych pracowników – doktorów i profesorów, a także studentów. W ubiegłym roku ukazały się dwa numery „Dyskursu” poświęcone popkulturyzacji polityki (nr 01/2005) i współczesnym autorytaryzmem (nr 02/2005). Trzeci, przygotowywany właśnie numer, będzie dotyczyć tematu poprawności politycznej.

Dla redakcji czasopisma, „Dyskurs” to możliwość artykułowania ważkich treści politologicznych w bardzo urozmaiconej formie: zarówno poprzez artykuły naukowe, udział w debatach, a także w bardziej wysublimowany, autorski sposób: poprzez eseje, zdjęcia, rysunek. Zamysł ten znajduje odbicie

w strukturze pisma: w dziale „Konteksty” – z założenia zamieszczone są artykuły strictly naukowe; „Debaty” – to wywiad oraz zapis dyskusji organizowanej w murach uniwersyteckich, a także eseje; „Siła obrazu” – fotografie, czyli artystyczna wizualizacja głównego tematu numeru; „Horyzonty polityki” – artykuły naukowe poświęcone sprawom ważnym, a pozostającym poza tematem przewodnim; „Nasze sprawy” – czyli prezentacja organizacji politologicznych, sylwetek wybitnych politologów. W każdym numerze czytelnik znajdzie także recenzje książek, sprawozdania z konferencji, komunikaty.

Redaktorem naczelnym „Dyskursu” (www.dyskurs.uni.opole.pl) jest **Kamil Minkner**, zastępcą redaktora naczelnego – **Ewa Skrabacz**, sekretarzem redakcji – **Radosław**



Rybak. W składzie redakcji są także: **Agnieszka Saduniowska**, **Błażej Choroś**. Radę naukową pisma tworzą: **Wiesława Piątkowska-Stepaniak**, **Czesław Karkowski**, **Mirosław Karwat**.

(bas)

Moja Fizyka na naszym serwerze

Znokautował Jimmy Freda, Fred w szpitalu, Jim ma medal. Spośród czterech zdań pochodzących z analizy tej frazki wybierz zdanie, które uważasz za fałszywe.

* Na obu zawodników działa w każdej chwili siła ciosu takiej samej wielkości.

* Wypadkowa wszystkich sił działających na każdego zawodnika była taka sama.

* Czas trwania uderzenia był jednakowy dla obu.

* Opisane zdarzenie można traktować jako zderzenie niesprężyste.

To jedno z wielu zadań testowych, jakie można znaleźć w „Mojej Fizyce” – internetowym czasopiśmie nauczycieli fizyki, dostępnym na stronie <http://draco.uni.opole.pl>

moja_fizyka/, którego redaktorem naczelnym jest **Wojciech Dindorf**, sekretarzem redakcji – **Agnieszka Wendykier**. Radę Redakcyjną tworzą: **Józef Musielok**, **Tadeusz Górecki** i **Józef Kusz** (UO), a przewodniczy jej **Maciej Kolwas** (IF-PAN – Warszawa).

„Moja Fizyka” istnieje na serwerze Uniwersytetu Opolskiego od 2 lutego 2004 roku (ukazało się dotąd 10 numerów tego pisma), do dziś odwiedziło ją ponad 32 tys. osób – są wśród nich, jak wynika z korespondencji prowadzonej z jej autorami, i nauczyciele, i uczniowie z różnych krajów świata.

W tym żywo redagowanym piśmie oprócz intrygujących zadań tekstowych nauczyciel znajdzie tak-

że całe scenariusze lekcji (np. *Lekcja fizyki dla Ikara; Zabawy Prosiaczka z cieniem, czyli łamanie praw fizyki w bajkach*), opisy eksperymentów (*O doświadczeniach, których efekty mogą budzić zdziwienie uczniów; Tacka Rogera*), ale i zapiski: *Z jednego egzaminu* (uczeń w odpowiedzi na pytanie dotyczące skutków wybuchu bomby atomowej: *bomba atomowa może mieć bardzo ujemny wpływ na człowieka, który znajduje się w pobliżu wybuchu*), listy od czytelników, felietony...

Na przykład taki, autorstwa Wojciecha Dindorfa.

Każdy nauczyciel zna odczucie – delikatnie mówiąc – dyskomfortu, gdy z własnej nieprzymuszonej woli lub sprowokowany pytaniem

niesforne (umysłowo) ucznia, zapędzi się w ślepią uliczkę, z której potem rakiem się wycofuje. Czasem udaje mu się ująć z życiem, częściej klasa zauważa, że coś było nie tak, a zawsze pozostaje niepewność, może i gorzko w gardle, i przyrzeczenie sobie samemu, że trzeba tę sprawę postudiować i następnym razem uważać. W nawale obowiązków zapomina się o wpadce, wpada się w inną pułapkę, podejmuje się zobowiązanie, na spełnienie którego znowu brak czasu i tak leci tydzień za tygodniem aż do emerytury. Wielu z nas do dziś uczy bez przekonania o tym, że jeździmy na łyżwach dlatego, że ostre łyżwy wywierają na lód takie ciśnienie, że lód decyduje się stopić i pozwala nam jechać na warstwie wody. Doświadczenie z tzw. regulacją lodu jest omawiane w podręcznikach i w czasopiśmie dla nauczycieli i wyjaśniane w podobny sposób: lód się topi, bo wywieramy nań ciśnienie. Zainteresowanym polecam artykuł w „Scientific American” z lutego 2000 albo po polsku „Świat nauki” z kwietnia

2000. Tam profesorowie *Wettnlauf i Dash* (nomen omen!) wyjaśniają, jakie są przyczyny śliskości lodu. Redakcja MF obiecuje, że wrócimy do tej sprawy. Redakcja MF prosi, by tymczasem zawiesić temat, a nie opowiadać, że cienki drucik miedziany (dlaczego??), na którym wiszą nawet i 5 kg odważniki (kto to wytrzyma!!) przecina blok lodowy jak gilotyna, przesuwał się w dół, zachowując swój początkowy prostokątny kształt.

W „Mojej Fizyce” jest także dział „Moja astronomia” (red. **Ludwik Lehman** – Głogów), „Z komputerem przez fizykę” (red. **Stanisław Jakubowicz** – Wrocław), „Metodyka fizyki” (red. **Stanisław Plebański** – Kalisz), a także „Kącik literacki” (**Krystyna Raczkowska-Tomczak** – Opole). O oprawę fotograficzną dba **Stanisław Kwieciński** (Kraków), **Grzegorz Pędzisz** (Wrocław) jest konsultantem informatycznym.

Zaangażowanie, bezinteresowność, pasja, poświęcenie, determinacja, odpowiedzialność, dotrzymywa-

nie słowa, skromność, profesjonalizm, cierpliwość, poczucie humoru to są słowa, jakimi redaktor naczelny pisma charakteryzuje mgr Agnieszkę Wendykier z Katedry Fizyki. – To jest jej magazyn, jej sukces, jej sposób na propagowanie Uniwersytetu Opolskiego na cały świat – mówi mgr Wojciech Dindorf, absolwent WSP z 1957 roku. – „Moja Fizyka” pracuje bez przychodów i wydatków, bez reklam, bez numeru konta, bez szyldu i bez oczekiwań na pochwałę. Już ponad 100 osób dziennie otwiera strony „Mojej Fizyki”, której patronuje Polskie Towarzystwo Fizyczne i która posiada bliski kontakt ze światowym periodykiem „The Physics Teacher”, z polskimi czasopismami „Foton” i „Fizyka w szkole”, z ukraińskim „Swit Fizyki” i z wrocławskim matematycznym periodykiem „MM”.

„Indeks” z przyjemnością i satysfakcją informuje o tej ciekawej i pożytecznej inicjatywie i życzy „Mojej Fizyce” powodzenia w upowszechnianiu najbardziej podstawowego przedmiotu przyrodniczego. **(bas)**

Opolskie dinozaury idą do szkoły

W dniach od 17 października do 8 listopada 2005 r. odbyła się czwarta edycja „Tygodnia paleontologii”, przedsięwzięcia organizowanego przez Uniwersytet Opolski i Muzeum Śląska Opolskiego, w trakcie którego uczniowie szkół podstawowych, gimnazjów i liceów z różnych miejscowości na Opolszczyźnie mogli wziąć udział w lekcjach poświęconych paleontologii prowadzonych przez naukowców Uniwersytetu Opolskiego. W tym roku – przez **dr Elenę Jazykową**, **mgra Krzysztofa Książkiewicza**, **mgra Dorotę Majer** oraz studentkę

– prezesa nowopowstałej sekcji Paleobiologów KNB UO – **Katarzynę Lech**.

Tydzień paleontologii, który zazwyczaj trwa dużo dłużej ze względu na olbrzymie zainteresowanie tym tematem, ma na celu popularyzację paleobiologii jako nauki wśród młodzieży Opolszczyzny. Jego zadaniem jest także rozpropagowanie krasiejowskich odkryć. Okazuje się bowiem, iż o znalezieniu na terenie Opolszczyzny najstarszej formy dinozaura wie zaledwie garstka mieszkańców naszego województwa.

W tym roku odbyło się 45 lekcji

– w Muzeum Śląska Opolskiego oraz kilku szkołach Opolszczyzny, w których wzięło łącznie udział 1213 osób. Mieliśmy również przyjemność przeprowadzenia zajęć w Muzeum Czynu Powstańczego na Górze św. Anny, dokąd zostaliśmy zaproszeni przez tamtejszego dyrektora **Andrzeja Koziara**.

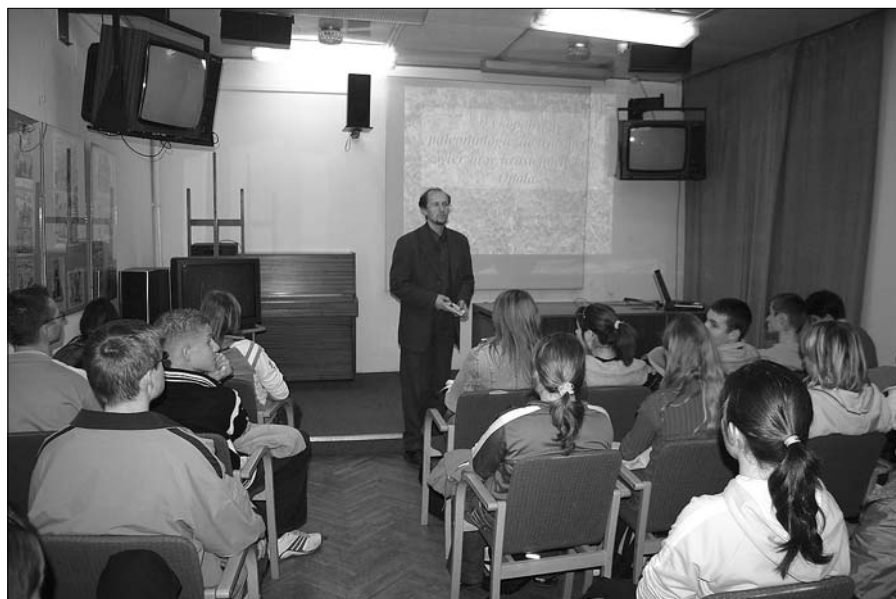
Spośród kilkunastu tematów, które mogli wybrać nauczyciele, największą popularnością cieszyły się tematy: „Jakie zwierzęta żyły w Krasiejowie”, „Jak pracują paleontolodzy” i „Dlaczego wyginęły dinozaury”.

Prezentując uczniom sylwetkę odkrytego w Krasiejowie dinozaura – a było to zwierzę o długości

niespełna 2 metrów, które było m.in. praprzodkiem triceratopsów i iguanodonów – często słyszeliśmy

komentarze: „myślałem, że będzie wielki jak T-Rex”. Takie zdziwienie jest dla nas bazą do dalszej dyskusji na temat gigantyzmu niektórych dinozaurów oraz przyczyn ich wymarcia.

W trakcie zajęć uczniowie mieli okazję zapoznać się z informacjami na temat pracy paleontologów, zobaczyć rekonstrukcje zwierząt odkrytych w Krasiejowie – w tym najstarszej na świecie formy dinozaura *Silesaurus opolensis* oraz uzyskać odpowiedzi na frapujące ich pytania. Młodzież mogła zapoznać się z pracą paleontologa niejako od podszewki, a przy okazji zweryfikować swoje wyobrażenia na ten temat, wykreowane przez filmy popularnonaukowe, które zazwyczaj pokazują tylko wycinek naszej pracy – rzeczywistość okazywała się dość zaskakująca dla młodzieży.



Krzysztof Książkiewicz podczas wykładu „Wykopaliska paleontologiczne triasowych zwierząt w Krasiejowie koło Opola” – w Muzeum Śląska Opolskiego.

Krzysztof Książkiewicz
Pracownia Paleozoologii

Urszula Zajączkowska, Opole. 150 lat fotografii, Wydawnictwo mS, Opole 2005, ss. 256, fot. 261

Opole na nowo odkryte

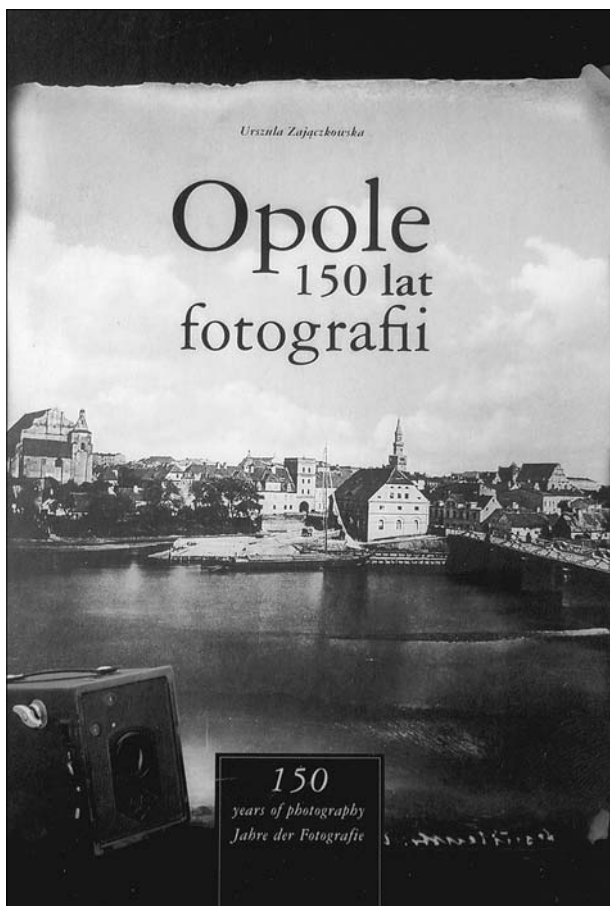
Opole dotychczas nie miało tak pięknie wydanej edytorsko książki, tak wysmakowanej redakcyjnie i zawierającej tak interesujący, nieznaný dotychczas materiał ilustracyjny. Przed wojną, w czasach niemieckich – w 1926 roku – ukazał się tylko jeden ilustrowany album o Opolu z rzadkimi fotografiami. Po wojnie edytorstwo było na dość niskim poziomie i dopiero w ostatnich latach za sprawą **Bogusława Szybkowskiego** oraz **Ryszarda Emmerlinga** zaczęły ukazywać się pięknie ilustrowane książki, głównie z reprodukcjami pocztówek.

W 1995 roku Muzeum Śląska Opolskiego wydało niezwykle wartościową albumową książkę, w wersji polsko-niemieckiej pt. *Opole. Plany miasta, widoki graficzne, fotografie do 1945 roku*, z bardzo rzadkimi fotografiami starego Opola i jego zaułków. Było to przy okazji przygotowanej w muzeum wystawy pt. „Opole w starej fotografii”

Po dziesięciu latach Muzeum Śląska Opolskiego otwiera wystawę pt. „Opole – pion i poziom”, gdzie wykorzystując głównie zbiory własne i kolekcję foto-

grafii nieżyjącego już **Michała Szybkowskiego**, a także kilka zdjęć pochodzących z polskiej Galerii Sztuki Współczesnej, Muzeum Narodowego we Wrocławiu i z kolekcji ks. Alojzego Sitka, zaprezentowano Opole na przestrzeni lat 1870–1970. Niezwykle powodzenie tej wystawy, tysiące zwiedzających oraz nad wyraz pochlebne recenzje zainspirowały **Urszulę Zajączkowską** i Bogusława Szybkowskiego do zaprezentowania zgromadzonych zbiorów szerszej publiczności. I tak oto ukazuje się perła edytorska w skali nie tylko Opola – książka z tekstem Urszuli Zajączkowskiej *Opole. 150 lat fotografii*, wydana przez Bogusława Szybkowskiego, z bardzo istotnym jego wkładem merytorycznym i ilustracyjnym.

Dziwne, że historiografia Opola, a zwłaszcza wydawnictwa albumowe o naszym mieście były dotychczas tak skromne, bo przecież Opole było zawsze stolicą regionu: księstwa, rejencji, prowincji górnośląskiej, województwa. Było miastem o różnej przynależności państwowej. Przez ostatnich 150 lat należało do dwóch państw – Nie-



Okladka książki *Opole. 150 lat fotografii*.

miec i Polski – stąd też zamieszkiwały je całkowicie różniące się od siebie społeczności narodowościowe. Złożoność jego losów widać i w architekturze, ale też w spuściźnie kulturowej, tradycji itp.

W książce *Opole. 150 lat fotografii* Urszula Zajęzkowska porusza niezwykle ważny temat, będący przyczynkiem do badań nad dziejami naszego miasta – pokazuje historię Opola poprzez historię fotografii, fotografów oraz otwieranych przez nich, na przestrzeni 150 lat, zakładów fotograficznych, przypomina sylwetki opolan i ich dokonania. To pozwala czytelnikowi obserwować kolejne zmiany w mieście – budowę nowych domów, mostów, kościołów, burzenie starych itp.

Pierwsze znane na świecie zdjęcie, niezbyt ostre, wykonano już w 1826 roku we Francji, ale dopiero rok 1839, dzięki wynalazkowi Louisa Daguerre'a uznaje się za początek światowej fotografii. I wtedy powstaje nowy zawód – zawód fotografa. Początkowo atelier fotograficzne otwierano, ze względu na większą opłacalność, tylko w wielkich miastach, ale potrzeba usług fotograficznych – dużo tańszych niż wykonanie portretu przez malarza – istniała również w małych miasteczkach czy wsiach. Dlatego też fotograf brał na ramię swoją kamerę, zabierał potrzebne materiały i wyruszał w trasę. Od samego początku istniała więc instytucja wędrownego fotografa, który docierał wszędzie tam, gdzie był potrzebny.

W Opolu – jak pisze Urszula Zajęzkowska – pierwsza pracownia fotograficzna została otwarta stosunkowo późno, bo w roku 1861, ale już w latach pięćdziesiątych XIX wieku działali w mieście wędrowni fotografowie, m.in. nieznanymi nam z imienia Blumenthal.

Kartkując książkę, poznajemy nazwiska pierwszych opolskich fotografów: **Theodora Kotzolta**, **G. J. Ringerta**, **Johanna Katzbacha** i jego brata **Augusta**, **F. Paulusa**. Pod koniec wieku, około roku 1891, do tego grona dołączył **Hans Wichmann**, a w 1893 roku **Max Glauer**, najwybitniejszy z opolskich przedwojennych fotografów, który ze swojego atelier uczynił prawdziwy przybytek sztuki i miejsce spotkań opolskich twórców – plastyków, malarzy, muzyków, literatów itp. W omawianej książce przedstawiono kilka zdjęć Maxa Glauera oraz ulotkę reklamową jego zakładu. Bardzo cenne jest to, iż przedstawia się nie tylko awersy, ale i rewersy fotografii, które wiele nam mówią o zakresie działalności danego fotografa. Dzięki zamieszczonym tam informacjom poznajemy adresy jego zakładów, ale też dowiadujemy się o jego zawodowych sukcesach – stąd m.in. wiemy, iż Glauer był zdobywcą kilku złotych medali na światowych wystawach fotograficznych, wiemy, gdzie te wystawy się odbywały i kiedy.

Książka ta pokazuje ciągłość historii miasta, w którym w połowie XX wieku niemal zupełnie wymieniono mieszkańców: w miejsce wysiedlonych Niemców poja-



Fragment fotografii z albumu. 17 września 1928 r., uroczyste powitanie prezydenta Rzeszy Paula von Hindenburga przed ratuszem w Opolu.

wili się – przybyli głównie ze wschodu – Polacy, co było następstwem układów w Jałcie i Poczdamie.

W recenzowanej książce znajdują się odnalezione na starych płytkach szklanych fotografie życia w mieście w czasach cesarskich, wilhelmińskich, kiedy cesarzami byli Wilhelm I i Wilhelm II oraz w czasach hitlerowskich. Zadziwiający są fotografie, na których utrwalono przemarsz ulicami miasta oddziałów szkockich, francuskich, niemieckich, fotografie ukazujące wizytę w Opolu prezydenta III Rzeszy marszałka Paula Hindenburga, jego przyjazd wspaniałą limuzyną pod ratusz opolski, przelot zeppelinu nad miastem, otwarcie mostu imienia Adolfa Hitlera, młodzież ślizgająca się na zamrożonym stawku przy potężnej synagodze, którą spalili hitlerowcy w 1939 roku, dawne pomniki niemieckie, niezwyklej urody studnię żeliwną do pojenia koni na dawnym placu Wolności.

Fotografie powojenne przedstawiają Opole zniszczone przez naloty alianckie i niefortunne decyzje wojsk radzieckich, potężne gruzowiska i ludzi, którzy podejmują dzieło odbudowy domów, mostów i poszczególnych dzielnic.

Na fotografiach z powojennego już Opolu przedstawiono ważne wizyty, m.in. kardynała Stefana Wyszyńskiego, u którego boku widzimy młodego biskupa krakowskiego Karola Wojtyłę i biskupa opolskiego Bolesława Kominka. Możemy zobaczyć budowę amfiteatru i Teatru im. Jana Kochanowskiego, wysadzenie



Fotografia z albumu. Przemarsz szkockiego oddziału ulicą ks. K. Damrota w Opolu, rok 1921.

w 1977 roku w powietrze browaru opolskiego na placu Kopernika i wywożenie gruzów z tego miejsca, budowę nowych mostów, budowę pomnika bojowników o polskość Śląska, budowę osiedla ZWM, a z lat późniejszych – powódź w Opolu w 1997 roku, przebudowę budynku szpitala, w którym dziś mieści się Uniwersytet Opolski.

W tej polskiej części historii miasta pokazane są unikatowe fotografie wybitnych opolskich fotografików o talentach nieustępujących talentom Glauera czy Heimanna, także tych współczesnych. I to fotografików różnych pokoleń – tych najstarszych, jak **Stanisław Bober, Adam Śmietański, Tadeusz Hinalski, Jerzy Grzegorzewicz** czy **Fryderyk Kremser**, poprzez fotografów średniego pokolenia, jak – **Jan Berdak, Roman Kwaśniewski, Tadeusz Kwaśniewski, Roman Hlawacz, Krzysztof Świdorski, Jerzy Stemplewski, Marek Maruszak**, na najmłodszych kończąc – **Tadeusz Parcej, Jarosław Majcher, Rafał Mielnik, Marek Szyryk, Paweł Stauffer** i **Jarosław Malkowski**.

Zamieszczenie krótkich biogramów współczesnych fotografów to dodatkowy walor tej książki, zapisującej w trwałej pamięci nazwiska artystów, pasjonatów, którzy zatrzymali w kadrze zmieniający się kształt i urodę naszego miasta.

Zdjęcia współczesne dobrano tak, by pokazywały nie tylko zachodzące w Opolu zmiany, dawały czytelnikowi możliwość uchwycenia krótkich, przemijających epizodów z jego życia, ale by pokazywały urodę i wyjątkowość miasta. Są to zatem zdjęcia o wysokiej wartości artystycznej, ukazujące warsztat oraz talent ich twórców. Przy doborze zdjęć przedwojennych, niemieckich fotografów ich wartość artystyczna nie miała większego znaczenia, gdyż wybór zdjęć był bardzo ograniczony. Po prostu tych zdjęć jest bardzo mało i dlatego w książce zamieszczono prawie wszystkie, które zachowały się na odnalezionych płytkach szklanych. Pokazano więc życie niemieckiego, przedwojennego Opolu, z ekspresyjną symboliką germańską.

Warto powiedzieć, że jeszcze przed dwudziestu laty takie niemieckie zdjęcia nie mogłyby się ukazać w polskim wydawnictwie. Uznano by je wówczas za rewizjonistyczne i to nie tylko ze względów politycznych, ale i historycznych. Były to czasy, kiedy udowodniano przede wszystkim, że Opole było zawsze polskie – rządy wilhelmińskie, a później hitlerowskie w mieście, a także ówczesne życie elit oraz społeczeństwa miasta Opolu chciano zupełnie wymazać z historii. Na tym przykładzie widać, jak bardzo zmienił się stosunek Polaków do Niemców, jak obie strony dążą do stworzenia wspólnej, przedstawiającej ciągłość historii.

Książka ma znakomity odbiór społeczny, mimo że jej cena jest dość wysoka. Znakomicie się sprzedaje i jest często traktowana jako piękny prezent. I nic dziwnego, bo jeszcze raz warto podkreślić, że tak oryginalnego wydawnictwa od strony merytorycznej, artystycznej i historycznej Opole jeszcze nie miało.

Wydawnictwo Szybkowskiego, które wpisało się w dzieje edytorstwa polskiego już kilkudziesięcioma pozycjami, udowodniło, że jest w stanie podnieść poprzeczkę bardzo wysoko. Nie waham się stwierdzić, iż ostatni jego album można śmiało porównywać ze świetnymi, jakże często wyróżnianymi książkami albumowymi wydawanymi przez bieszczadzkie wydawnictwo Bosza.

Niemal w tym samym czasie ukazał się w Opolu drugi piękny album pt. *Śląsk Opolski. Dziedzictwo i współczesność* pod redakcją **Doroty Simonides**, wydany przez Oficynę Piastowską, której twórcą jest Roman Hlawacz – podobnie jak Bogusław Szybkowski absolwent naszej uczelni.

Halina Nicieja

Trójjęzyczna księga podań

We wszystkich cywilizacjach legendy oraz podania stanowią jedno z najbardziej bezpośrednich świadectw, dzięki którym ludzie zgłębiają i objaśniają swoje otoczenie geograficzne, historyczne i społeczne. Podania i legendy sytuują się na granicy między anegdotą, która czerpie swoją osobliwość, ale zarazem nawiązującą do rzeczywistości historii, a baśnią, w której rzeczywistość ustępuje miejsca przedstawieniu przeciwstawień dobra i zła. W ten sposób zostaje zacieśniony związek zbiorowości ze swoim otoczeniem, podczas gdy odwołanie się do uniwersalnych wartości moralnych pozwala wyjść na spotkanie innych kultur.

Swoista osobliwość podań i legend mieszcząca się na pograniczu między uniwersalizmem a regionalizmem sprawia, że bardzo dobrze spełniają swą rolę w procesie poznania i lepszego zrozumienia w Europie. To właśnie najmłodsze pokolenie, które w przyszłości będzie kształtować Europę, potrzebuje możliwości poszerzenia własnych horyzontów i wyjść poza tradycyjne pole widzenia. Księga podań i legend z trzech regionów europejskich Vienne (we Francji) – Styrii (w Austrii) – Dolnego Śląska (Polska) powinna stanowić podstawę pracy na lekcjach w klasach 5 i 6 oraz posłużyć zarówno nauczycielom, jak i uczniom, jako inspiracja do dalszej pracy czy nauki. W tym celu studenci germanistyki Uniwersytetu Opolskiego wzięli udział w projekcie pod kierownictwem naukowym prof. Andrei Rudolph, komentując oraz tłumacząc legendy śląskie. Tłumaczenia z języka francuskiego na język polski objęła opieką naukową prof. Krystyna Modrzewska (Opole). Ilustracje również do śląskich podań i legend wykonali w ramach zajęć ze sztuki uczniowie z Grazu pod kierunkiem Roberta Schrottera. Trójjęzyczna księga podań i legend została zaprezentowana w grudniu 2005 roku przez Parlament Europejski w Grazu. Zapro-



Ilustracja z książki – rys. Dominik Edmayer.

ponowano prezentację powyższej publikacji w Domu Styrii w Brukseli przy współudziale zaangażowanych w projekt studentów.

Andrea Rudolph

Bernadette Steps (red.), *Sagen und Legenden – Contes et Legendes – Podania i legendy*, La Vienne – Dolny Śląsk – Steiermark.

Z cyklu: Znani Polacy o Opolu

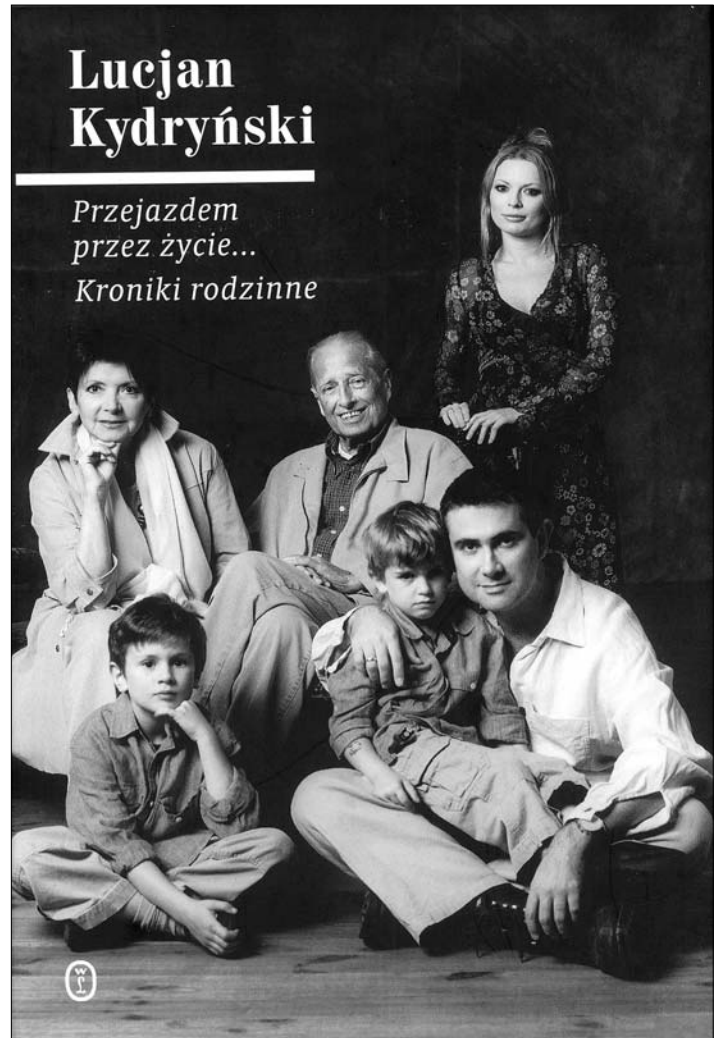
Lucjan Kydryński

W swej obszernej, wspomnieniowej książce *Przejazdem przez życie... Kroniki rodzinne* znany konferansjer i dziennikarz muzyczny Lucjan Kydryński tak wspomina swoje pobyty w Opolu.

„W czerwcu 1963 roku pojechałem do Opolu na Festiwal Piosenki Polskiej. W Opolu jest amfiteatr, wcale ładny, mniejszy wprawdzie od sopockiej Opery Leśnej, ale wygodniej położony, więc nie musi się człowiek wspinać pod górę, żeby do niego dotrzeć. Miał wówczas tylko jedną wadę: brak dachu zarówno nad widownią, jak i nad estradą, a wiadomo, że u nas, gdy organizuje się coś w plenerze, to od razu leje, i tak też było tym razem. Na festiwalu prowadziłem jedynie koncert inauguracyjny, wspólnie z Wieńczysławem Glińskim i Olą Kurczab z krakowskiej *Piwnicy pod Baranami*, potem funkcję konferansjerów przejęli głównie Jacek Fedorowicz i Piotr Skrzynecki. Ten pierwszy festiwal bowiem został zdominowany przez piosenkę kabaretową, która nareszcie znalazła szansę wypłynięcia na szersze wody i zdobycia popularności. No i jeśli kabaret, to atmosfera bez troski, wesołości, zabawy, jaka zapanowała w Opolu; nikomu nie przeszkadzał deszcz, dziewczęta śpiewały pod parasolami trzymanymi przez konferansjerów, zmoczona publiczność cierpliwie odsiadywała na mokrych ławkach długie, czterogodzinne koncerty. Szaleństwo. Dzięki festiwalowi cała Polska poznała Ewę Demarczyk i Bohdana Łazukę – oni to zostali laureatami pierwszego Opolu. Ewę nazwałem w zapowiedzi „czarnym aniołem polskiej piosenki” i to określenie przyłgnęło do niej na długo.

(...) Na drugim festiwalu miałem już więcej pracy, większość koncertów prowadziłem wspólnie z Jackiem Fedorowiczem. Utkwił mi ten festiwal w pamięci, ponieważ wtedy właśnie poznałem Wojtka Młynarskiego. Parę miesięcy przedtem zapowiadałem występy Gilberta Bécaud, zgodnie z ówczesnym, niegłupim zresztą, zwyczajem wyjaśniania w paru zdaniach, o co w tej czy innej piosence chodzi, żeby naród choć z grubsza orientował się, o czym Bécaud śpiewa. Jedna z piosenek recitalu zainspirowała Młynarskiego do napisania jak gdyby jej polskiej wersji: „Niedzieli na Głównym”. Otóż pewnego dnia siedzę na próbie w Opolu, a tu wychodzi na estradę chudzina Młynarski i słyszę takie słowa:

*Szanowni Państwo, cóż to była za piosenka!
Pana artystę tłum całować chciał po rękach!
I każdy czuł, że ma zachodniej trochę krwi!
Taka piosenka „Dimanche à Orly” (...)*



*Pan konferansjer z miną błazna nam to streszczał
I słuchaliśmy, piękne dzieci strasznych mieszczan...*

Zrobiło mi się nieco niewyraźnie i gdy spotkałem potem chudzinę na ulicy, spytałem:

– Panie Wojtku, czy ja naprawdę wtedy tak głupio wyglądałem?

Wojtek speszył się, poczerwieniał, zaczął tłumaczyć, że nie, że on tylko tak dla rymu, dla klimatu, bąkał coś tam jeszcze, wił się w wyjaśnieniach, a ja przyjąłem je ze zrozumieniem do wiadomości. Ale na wieczornym koncercie usłyszałem: *Pan konferansjer bez zarzutu nam to streszczał...*

Wybrała: Halina Romuzga

Lucjan Kydryński, *Przejazdem przez życie... Kroniki rodzinne*,
Kraków 2005

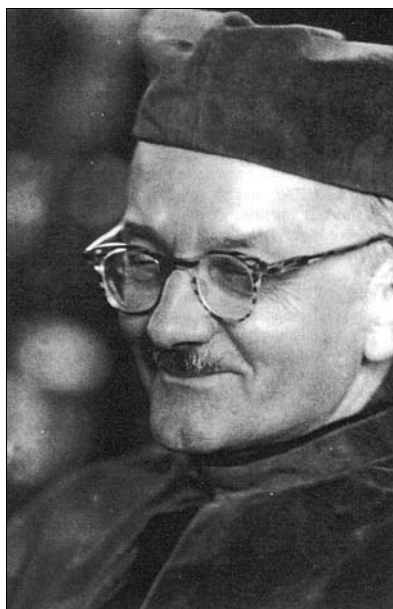
100. rocznica urodzin prof. Władysława Eugeniusza Czaplńskiego

Twórca szkoły badań nad parlamentaryzmem

W dniu 20 października 2005 r. w audytorium Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego odbyło się uroczyste posiedzenie, zorganizowane przez Wrocławskie Towarzystwo Naukowe, poświęcone pamięci **prof. dr. hab. Władysława Eugeniusza Czaplńskiego** z okazji 100. rocznicy urodzin. W obecności przewodniczącego Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego prof. **dr. hab. Mariana Piekarskiego**, przewodniczącego Wydziału II WTN **prof. dr. hab. Bogdana Roka**, redaktora Tomu Studiów „Czasy nowożytne”, **prof. dr. hab. Krystyna Matwijowskiego**, licznie zebranych uczniów Profesora i wielu historyków z Wrocławia, Krakowa i Opolą, wspomnieniami o profesorze podzielili się: **prof. Józef Andrzej Gierowski**, **Adam Galos**, **Anna Sybilla Bidwell**. W trakcie spotkania wręczono jego uczestnikom przygotowane na tę okazję *Studia poświęcone pamięci prof. Władysława Czaplńskiego w 100. rocznicę urodzin*, pod red. K. Matwijowskiego. Seria: *Czasy nowożytne. Prace Historyczne*, t. 38, Wrocław 2005. Posiedzenie poprzedzone zostało mszą św. koncelebrowaną pod przewodnictwem **ks. bpa prof. dr. hab. Jana Kopca** w kościele Uniwersyteckim. Środowisko opolskich historyków reprezentowali: **prof. dr. hab. Jan Seredyka**, **ks. bp prof. dr. hab. Jan Kopiec**, **prof. dr. hab. Włodzimierz Kaczorowski**.

Prof. dr. hab. Władysław Czaplński urodził się 3 października 1905 r. w Tuchowie koło Tarnowa, w rodzinie inteligenckiej. Jego ojciec, Józef, był sędzią, a matka Janina z Kaliszów, zajmowała się domem. Ze względu na zawód ojca rodzina często się przeprowadzała,

mieszkając kolejno w: Tuchowie, Dąbrowie Tarnowskiej, Jaśle i w Tarnowie. Po ukończeniu szkoły powszechnej, przyszedł profesor uczęszczał do gimnazjum klasycznego im. Hetmana Jana Tarnowskiego w Tarnowie, gdzie w 1923 r. uzyskał świadectwo dojrzałości. W tym samym roku wstąpił na Uni-



wersytet Jagielloński na Wydział Filologiczny. *Studia* swe uwieńczył doktoratem na podstawie przygotowanej dysertacji: „Opozycja wielkopolska po krwawym «potopie» (1660–1668)”, opublikowanej w 1930 r. Po złożeniu państwowego egzaminu pedagogicznego na nauczyciela szkół średnich, podjął pracę jako nauczyciel kontraktowy w swoim gimnazjum w Tarnowie. Prowadzona na wysokim poziomie działalność dydaktyczna oraz osiągnięcia naukowe pozwoliły uzyskać Władysławowi Czaplńskiemu w 1929 r. stypendium naukowe z Funduszu Kultury Narodowej w celu przeprowadzenia kwerendy w zasobach

archiwalnych Wiednia, Paryża i Berlina. Po powrocie do kraju w 1930 r. Władysław Czaplński podjął ponownie pracę pedagogiczną w krakowskich gimnazjach, a następnie w Państwowym Pedagogium w Krakowie. Działalność dydaktyczną łączył przyszły profesor uniwersytecki z pracą naukową. Na kwerendę archiwalną i biblioteczną pozostawał tylko czas wolny i wakacje. Wakacje w 1935 r. poświęcił na studia archiwalne w Danii, a w 1937 i 1939 r. pracował w archiwach i bibliotekach szwedzkich. W 1937 r. wydał drukiem pracę zatytułowaną: „Władysław IV wobec wojny 30-letniej w latach 1637–1645”, która przyjęta została jako rozprawa habilitacyjna. Kolokwium habilitacyjne odbył w Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim w 1938 r., zatwierdzone przez Senat UJ 3 XII, a przez ministra Wyznań i Oświecenia Publicznego 20 IV 1939 r. Przed Władysławem Czaplńskim stanęła otworem kariera uniwersytecka. Jednak wybuch II wojny światowej, a w jej wyniku zamknięcie Uniwersytetu Jagiellońskiego przez Niemców, połączone z deportacją pracowników naukowych do Sachsenhausen, uniemożliwiły realizację dalszej działalności naukowej i dydaktycznej w tej uczelni. Władysław Czaplński cudem uratował się przed aresztowaniem wraz z profesorami UJ w ramach „Sondernaktion Krakau” w dniu 6 XI 1939, gdyż spóźnił się na zarządzane przez władze niemieckie spotkanie z okazji początku nowego roku akademickiego. Nastąpił tragiczny okres dla profesorów najstarszej polskiej uczelni.

Władysław Czaplński przez cały czas okupacji przebywał w Krakowie, pracując w biurze handlowym

firmy „Solvay”, jak również prowadząc nauczanie w tajnych kompletach gimnazjalnych i uniwersyteckich.

Po zakończeniu działań wojennych Władysław Czapliński pracował nadal jako nauczyciel historii w krakowskich szkołach średnich. Pod koniec 1945 otrzymał z Uniwersytetu Wrocławskiego propozycję objęcia stanowiska profesora nadzwyczajnego w Katedrze Historii Powszechnej. W 1946 r. przeniósł się do Wrocławia, obejmując Katedrę Historii Powszechnej. W tym też roku mianowany został profesorem nadzwyczajnym Uniwersytetu Wrocławskiego. Tytuł profesora zwyczajnego uzyskał Władysław Czapliński po 10 latach pracy naukowej, dydaktycznej i społecznej. Był to trudny okres dla Profesora, jak również dla rozwoju nauk historycznych, przypadła bowiem na lata stalinowskie.

W latach 1951–1976, aż do przejścia na emeryturę, Profesor pełnił rozliczne funkcje na uczelni: prodziekana Wydziału Filologiczno-Historycznego, kierownika Katedry Historii Powszechnej, następnie Katedry Historii Polskiej i Powszechnej XVI–XVIII wieku, a w ostatnich latach – kierownika Zakładu Historii Polski i Powszechnej XVI–XVIII wieku.

W roku 1974 prof. Czapliński wybrany został na członka Duńskiej Królewskiej Akademii Nauk, a w 1978 r. Uniwersytet Gdański nadał mu tytuł doktora honoris causa. Był członkiem honorowym Polskiego Towarzystwa Historycznego oraz Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego.

W roku akademickim 1977/78 Profesor prowadził wykłady monograficzne dla studentów IV roku historii Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, nie pobierając wynagrodzenia za wykonywaną pracę. Bardzo często przybywał do Opola z odczytami na zebrania i sesje naukowe organizowane przez WSP i Opolskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk; otaczał opieką naukową pracowników zatrudnionych w

Instytucie Historii Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu.

Z inicjatywy Profesora Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Opolu stała się w latach osiemdziesiątych XX wieku ośrodkiem kierowanego dotąd przez Niego we Wrocławiu, międzyresortowego „Zespołu badań nad organizacją i funkcjonowaniem władz centralnych w wieku XVI–XVIII”. Zespół skupiał 6 pracowników naukowych Instytutu Historii WSP w Opolu, pod kierunkiem prof. Jana Seredyki.

Dorobek naukowy Profesora jest imponujący. Bibliografia Jego prac, zawarta w dwóch kolejnych tomach („O naprawę Rzeczypospolitej XVII–XVIII w.”, 1965 i „O Rzeczypospolitej szlacheckiej XVI–XVIII wieku”, 1975), „Śląskiego Kwartalnika Historycznego Sobótka”, obejmuje tytuły publikacji, ogłoszone do 1974 roku. Dorobek naukowy Profesora za lata 1975–1982 zestawiał Bogdan Rok (*W. Czapliński jako uczony i wychowawca*, AUWr., No 732, Historia 48, pod red. K. Matwijowskiego, Wrocław 1984; Uzupełnienia do biografii W. Czaplińskiego zestawiał K. Matwijowski, „Sobótka” R. 45, 1990). Jego dorobek naukowy liczy ok. 500 pozycji, ukazując wielostronne zainteresowania Profesora zarówno historią Polski, jak i powszechną. Czapliński w swojej działalności naukowej starał się wiązać dzieje Polski z wydarzeniami ogólnoeuropejskimi, a mógł to czynić nie tylko ze względu na znajomość wielu języków nowożytnych, m.in. duńskiego, szwedzkiego i niemieckiego, lecz przede wszystkim dzięki systematycznie gromadzonej od końca lat dwudziestych XX wieku bazie źródłowej krajowej i zagranicznej. Prace Jego cechujące się erudycją wzbogacone były gruntownymi poszukiwaniami archiwalnymi. Zagadnienia z zakresu historii Polski rozpatrywał zawsze na szerokim tle porównawczym. Warto zasygnalizować zasadnicze kierunki zainteresowań badawczych Profesora, ilustrując je przykładami Jego monografii, wydawnictw źród-

łowych, studiów i esejów, które weszły na trwałe do dorobku polskiej historiografii.

Do czołowych osiągnięć historiografii polskiej należy zaliczyć publikacje Profesora, łączące dzieje naszego państwa z ogólnoeuropejskimi: *Polska, Prusy i Brandenburgia za Władysława IV* (Wrocław 1974), *Elekcja biskupa wrocławskiego Karola Ferdynanda Wazy w roku 1625* (Wrocław 1949), *Polska a Bałtyk 1632–1648. Dzieje floty i polityki morskiej* (Wrocław 1952), *Polska a Dania XVI–XX wieku* (Warszawa 1976) i inne.

Prof. Czapliński w swoim dorobku naukowym poświęcił dużo miejsca edycjom źródeł historycznych: *Akta do dziejów Polski na morzu (Acta Poloniae maritima.) t. 7, cz. 1, 1632–1648* (Gdańsk 1951). Część druga tej edycji ukazała się w 1959 roku. Wydał też *Pamiętniki Jana Paska* (Wrocław 1952), *Karola Ogiera dzienniki podróży do Polski, 1635–1636* (Gdańsk 1950) i wiele innych wartościowych opracowań tego typu.

Profesor interesował się żywo programami nauczania historii w szkole średniej, walczył o dowartościowanie haseł programowych, zwłaszcza odnoszących się do treści historycznych XVI–XVII wieku. Autopsja pedagogiczna Profesora ujawniła się bardzo szeroko w licznych artykułach.

W kręgu Jego zainteresowań znalazła się również problematyka regionalna. Wyróżniał oczywiście Śląsk, pisząc o jego dziejach liczne rozprawy, studia i artykuły.

Prof. Czapliński pasjonował się dziejami sejmu staropolskiego. Napisał znakomite studium zatytułowane: *Dwa sejmy w roku 1652* (Wrocław 1955), inicjując szerokie badania nad parlamentaryzmem XVII wieku.

Dużo czasu i wysiłku naukowego poświęcił Profesor popularyzacji wiedzy historycznej. Dla Polskiego Radia we Wrocławiu przygotował cykl audycji zatytułowanych: *Głosa do Trylogii*. Słuchacze Polskiego Radia pamiętają zapewne głos

Profesora, kiedy osobiście czytał w studio radiowym swoje uzupełnienia, poprawki i komentarze do Sienkiewiczowskiego arcydzieła. Z tego zamysłu radiowego zrodziła się książka pod tym samym tytułem, wydana w 1974 roku, a zajmująca istotne miejsce w historiografii polskiej. Z innych publikacji popularyzujących wiedzę historyczną należałoby wymienić następujące: *Gdańsk – miasto wierne*, „Wiadomości Literackie” nr 31/32, 1939; *Królewicz Władysław we Wrocławiu*, „Zwierciadło Polski i Świata” R. 2, 1947, nr 11; *Historyczność Potopu*, „Zeszyty Wrocławskie” R. 2, nr 1, 1948; *Nieznanym lekarz śląski i jego fundacja*, „Tygodnik Powszechny” R. 5, nr 43; *Lekcja historii: Rzeczpospolita szlachecka*

– *droga ku katastrofie*, „Odra” nr 3, 1971. Nie sposób tu wymienić wszystkie interesujące tematy ujęte przez Profesora w sposób popularnonaukowy dla szerokich rzesz czytelników.

Pomimo ukończonego 75. roku życia, zachował Profesor niezwykłą żywotność, która znajdowała wyraz w niesłabnącej działalności organizacyjnej i twórczości naukowej. Do ostatnich dni aktywnie pracował nad całościowym zarysem historii Polski. Nie zdążył dokończyć dzieła z zakresu historii Polski, adresowanego do szerokich odbiorców, złąknionych historii wiarygodnej, dowartościowanej i obiektywnej. Tak owocną działalność Profesora przerwała niespodziewana śmierć (17 sierpnia 1981 r.), która okryła

żałobą naukę polską, a zwłaszcza Jego najbliższych. Równocześnie wzbudziła ona głęboki żal wśród historyków zajmujących się epoką staropolską, z którymi nie tylko współpracował, ale też był ich szczerem i oddanym przyjacielem. Z Jego odejściem historia straciła wybitnego specjalistę, wzorowego nauczyciela, człowieka, który zjednał sobie szacunek i sympatię w społeczności akademickiej i w środowisku naukowym. Postać prof. Czaplińskiego pozostaje dla nas niedościgłym wzorem, który na trwałe zapisał się w naszej pamięci. W roku 2006 przypada 25. rocznica Jego śmierci.

Włodzimierz Kaczorowski

ODESZLI

Prof. Elżbieta Hornowa

1921–2005

8 grudnia 2005 roku dotarła do nas smutna wiadomość o śmierci pani prof. Elżbiety Hornowej. Zmarła w domu spokojnej starości w Łomiankach 4 grudnia 2005 r. Była przez 22 lata pracownikiem Instytutu Historii WSP w Opolu i choć od 20 lat nie pracuje już na naszej uczelni, wciąż pozostaje w żywej pamięci wielu z nas.

Pamiętamy Jej skromną elegancję, pogodny stosunek do ludzi, zdolności mediatorskie, szczerotliwą aktywność.

Pani prof. Elżbieta Hornowa urodziła się 16 marca 1921 r. w Przemysłu na Zasaniu w rodzinie inteligentnej Michała Buksbauma. Ta część Przemysłu 28 września 1939 r. znalazła się w granicach ZSRR, zaś 18-letnia Elżbieta z zamiarem studiowania przeniosła się do Lwowa. Tam spotkała studenta Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie,

Maurycego Horna. Odtąd stworzyli wyjątkowy, serdeczny związek, który harmonijnie przetrwał ponad 60 lat. Losy obojga w czasie wojny były dramatyczne. Uniknęli cudem śmierci podczas przeprawy przez Dniepr w 1941 r.: przeładowany prom, na który nie udało im się wobec natłoku uciekinierów dostać, został zbombardowany przez Niemców. Większość ludzi utonąła. Hornowie uratowali się, a Maurycy podjął próbę zaciągnięcia się do Armii Polskiej gen. Andersa. Tak trafili do obwodu saratowskiego nad Wołgą, gdzie w Tatiszczewie koło Saratowa wyznaczono miejsce koncentracji dla 5. Dywizji Piechoty.

W następnych latach przebywali także w Uzbekistanie i w Tadżykistanie. (Jednym z powodów nieprzyjęcia Maurycego do Armii Polskiej było miejsce jego urodzenia – Wiedeń). Warunkiem przeżycia w ZSRR

w czasie wojny była m.in. praca. Elżbieta szczęśliwie znajdowała ją w rosyjskich szkołach średnich: we wsi Świnucha w obwodzie saratowskim Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, gdzie pracowała niemal dwa lata od września 1941 r., później w sowchozie Chazarbag w Uzbekistanie niecały rok, a w 1944 r. na niemal pół roku została nauczycielką i wychowawczynią w polskim domu dziecka w Gisarze w Tadżykistanie. Po latach pytana o te czasy nigdy nie skarżyła się na tragiczne ubóstwo tamtych lat, kwitując pytanie o warunki życia zdaniem: „Nie było tak źle, można było przeżyć. W Tadżykistanie dzieci pracowały w sadzie, co miało korzystne dla ich zdrowia skutki”. W lipcu 1945 r. po półrocznym jeszcze pobycie w Czernihowie, powrócili do Lwowa. Elżbieta podjęła studia na uniwer-



Prof. Elżbieta Hornowa.

sytecie, uzyskując tytuł magistra historii w 1948 r. i jednocześnie pracując we Lwowskim Państwowym Archiwum Obwodowym. Starania obojga o powrót do Polski powiodły się w 1957 r. Pozostawili we Lwowie bardzo oddanych przyjaciół, o czym miałam możliwość przekonać się osobiście w latach 90., otoczona ich serdeczną opieką podczas kwerendy we lwowskich archiwach.

Hornowie spośród kilku ośrodków naukowych w Polsce wybrali Opole. Zamieszkali w Domu Profesora przy ul. Matejki, zyskując szybko sympatię i przyjaciół. Elżbieta rozpoczęła pracę na WSP 1 lipca 1961 r. jako starszy asystent w Instytucie Historii. W 1962 r. obroniła pracę doktorską, której promotorem był prof. dr. Kazimierz Orzechowski, a po 9 latach w lutym 1971 r. rozprawę habilitacyjną w Krakowie. Ocena dorobku naukowego Elżbiety Hornowej, dokonana przez profesorów: Ludwika Bazyłowa z Uniwersytetu Warszawskiego, Andrzeja Brożka z Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Ignacego Pawłowskiego z WSP w Opolu zaowocowała jednogłośnie decyzją rady wydziału 14 lutego 1980 r. o mianowaniu Jej profesorem nadzwyczajnym. W swoich ba-

daniach naukowych wszechstronnie opracowała pokaźny dorobek piśmienniczy przedstawiciela ukraińskiej myśli politycznej XIX w. Michała Dragomanowa, zyskując wiele pochlebnych recenzji, głównie w periodykach ukraińskich i amerykańskich. Ich skutkiem był nawet wyjazd Elżbiety Hornowej do Pittsburgha w USA na gościnne wykłady oraz przetłumaczenie na język angielski monografii „Ocena działalności Michała Dragomanowa w literaturze światowej”. Książka ta została wydana w języku angielskim na Uniwersytecie Alberta w Kanadzie. Badane przez Profesora stosunki polsko-ukraińskie miałyby dziś dodatkowy polityczny walor. W latach 1973–1977 kierowała zespołem naukowców opolskich, który opracował książkę pt. „By pamięć trwała wiecznie. Miejsca walk i męczeństwa radzieckich żołnierzy i robotników przymusowych na Opolszczyźnie 1941–1945”. Praca ta została pozytywnie oceniona przez środowisko i recenzentów.

W pracy badawczej podejmowała również inne wątki. Po latach wydaje się jednak, że praca naukowa Elżbiety Hornowej była

tylko mniejszą częścią Jej wyjątkowej aktywności. Większą uwagę poświęciła działalności społeczno-organizacyjnej. Jako wieloletni członek Rady Zakładowej Związku Nauczycielstwa Polskiego była m.in. przewodniczącą komisji kulturalnej w latach 1963–1966. W komisji tej zrealizowała wiele ciekawych pomysłów, wśród których warto zwrócić uwagę przynajmniej na zorganizowane w 1964 r. Towarzystwo Miłośników Teatru, którego członkowie mogli spotkać się z Jerzym Grotowskim, dyrektorem Teatru 13 Rzędów i dyskutować na temat obejrzanych spektakli.

W latach 1964–1967 była też opiekunem Koła Młodych Historyków, organizując wspólnie ze studentami sesje naukowe. Pamiętamy ją jednak najbardziej z przynoszącej znakomite naukowe wyniki pracy w Opolskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk, szczególnie w latach 1965–69, gdy była sekretarzem Wydziału I OTPN, a jeszcze bardziej w latach 1974–80, gdy była przewodniczącą Wydziału I OTPN. Regularne, zgrabnie prowadzone przez panią Profesor zebrania, w ich trakcie wykłady i



Styczeń 1979 r., po obronie pracy doktorskiej Elżbiety Treli, przed salą Senatu WSP stoją od lewej: doc. Elżbieta Hornowa, dr Tadeusz Bugaj, dr Danuta Piątkowska. Doc. Jan Kwak (z tyłu), prof. Ludwik Bazyłow, dr Marta Hatałska (z tyłu), dr Elżbieta Treła, prof. Ignacy Pawłowski i mgr inż. Maria Molek.

dyskusje oraz drukowane później w „Sprawozdaniach OTPN” artykuły świadczą o ich wysokim poziomie merytorycznym. Wydział I OTPN był dla młodych pracowników nauki ważnym elementem rozwoju naukowego, forum dyskusyjnym, na którym ścierały się poglądy naukowe różnych opcji. Do szczególnych, żelaznych, polemicznych dyskutantów należał nieodżałowany doc. Władysław Dziewulski, który w wypowiedziach niemal na każdy temat nie oszczędzał żadnych autorytetów. Tu umiejętności mediacyjne Elżbiety i szybkiego reagowania z uśmiechem przynosiły znakomite rezultaty. W „Sprawozdaniach Wydziału I OTPN” zamieszczanych na końcu każdego periodyku pozostały do dziś ślady tamtych nadzwyczajnych naukowych i towarzyskich spotkań, jednoczących w pomysłach i współpracy opolskie środowisko naukowe. Choć przez całe życie Elżbieta pozostawała w cieniu męża, za tę pracę otrzymała w 1975 r. Odznakę Honorową „Za-

szluzonemu Opolszczyźnie”.

Profesor Hornowa wykształciła 72 magistrów i 3 doktorów. Byłam jednym z nich. Przez wiele lat nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak umiejętnie pokierowała moją wcale niezaplanowaną karierą naukową, jak wiele udzieliła mi wskazówek i rad i jak wielki nacisk kładła na rzetelny, wręcz rzemieślniczy warsztat naukowy. Do dziś na seminariach magisterskich dzielę się ze swoimi studentami tą wiedzą.

Odeszła na emeryturę 30 września 1983 r., ale dodać wypada, że od jesieni 1974 r. Hornowie zamieszkali na warszawskiej Sadybie i z wielkim poświęceniem, nocując w akademiku „Spójnik”, przez całe 9 lat Profesor przyjeżdżała systematycznie do Opola, nie ograniczając wiele swojej społecznej działalności.

W Warszawie życie naukowe obojga związało się z Żydowskim Instytutem Historycznym (M. Horn był jego wieloletnim dyrektorem, Elżbieta – pracownikiem nauko-

wym w latach 1985–1992). Elżbieta Horn była także – przez wiele lat – przewodniczącą Oddziału Warszawskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce.

Wraz z odejściem z Opola najpierw profesora Maurycego Horna, a później Elżbiety Hornowej, zakończyła się pewna epoka, która na zawsze utkwiała w pamięci środowiska naukowego WSP. Jej współtwórcami byli także oryginalni, niekonwencjonalni, barwni, ale elegancyści historycy reprezentujący w dużym stopniu przedwojenną szkołę, tacy jak wspomniany Władysław Dziewulski, Juliusz Demel, Józef Kokot, Franciszek Hawranek, a także Kazimierz Orzechowski czy Andrzej Brożek.

Czasy tak bardzo się zmieniły, ale wciąż wśród tych, którzyśmy Ich znali, przywołująca Hornów pamięć nakazuje nam na myśl o Nich i do Nich uśmiechać się.

Pozostaną w naszych sercach.

Elżbieta Trela-Mazur

ODESZLI

Prognoza pogody, czyli wspomnienie niezobowiązujące o Ryszardzie Hładce

Ludzie są jak pogoda – jedni letni, drudzy dżdżyści, nieustannie z niskim ciśnieniem, a jeszcze inni niczym lutowy mróz. Rzadko jednak ktoś oddaje swym życiem istotę żywiołów: burzliwych mas powietrza, pełnych wyładowań i nieposzanowania dla planów ludzików na mapach pogody. A taki właśnie był Ryszard Hładko, cyklon ustawicznej rewizji marszruty statecznych piechurów.

Nie podejmuję się napisania artykułu biograficznego o Ryszardzie Hładce. Oficjalna nota mało zresztą

do niego pasuje. Chciałbym raczej naszkicować niezobowiązujące wspomnienie o Panu Redaktorze, który przez lata stał się znanym i rozpoznawalnym fenomenem opolskiego życia kulturalnego i społecznego.

Wielu uważało go, powiedzmy sobie wprost, za wariata. Kiedyś stateczna dziennikarka przekonywała mnie, że ten pomyłony pisarz jest zagrożeniem każdej poważnej konferencji prasowej. Zwłaszcza, gdy do Opola przyjedzie wielka persona, a to przecież niecodzienna wizyta,

bo – nie oszukujmy się – „historyczna stolica Górnego Śląska” dbała i dba nadal o swój status prowincji w centrum przemian. Dziennikarka konfidencjonalnie informowała mnie na stopniach „Trybuny Opolskiej” (nie pamiętam, czy nowej, czy starej, wówczas jeszcze schody pozostały nieczułe na kradzieże wczesnego kapitalizmu), że gdy do Opola przyjechał amerykański astronauta (czy był, to dla podania nie jest ważne), wstał i zapytał się, czy na Księżycu też mają taką księżycową gospodarkę, jak w Polsce. Co



Ryszard Hładko. Rys. Bolesław Polnar.

za wstyd! – zadrżała dziennikarka i pochłonęła trzecią eklerkę.

Ryszard Hładko, niczym zła pogoda, spędzał sen z powiek wielu osobom. Jako socjolog miałem nieustanną radość z obserwowania „eksperymentów etnometodologicznych” w wydaniu Hładki. Przypomnijmy, że etnometodologowie w celu zbadania potocznych metod, którymi ludzie posługują się w celu utrzymania przekonania o istnieniu wspólnej rzeczywistości i zachowania ciągłości interakcji, naruszali „oczywiste” i „naturalne” sposoby mówienia i działania. Reakcje badanych, nieświadomych swego statusu królików doświadczalnych, były bardzo emocjonalne. Socjolog wydawał się bowiem albo niespełna rozumu, gdy domagał się doprecyzowania pytania: „Jak się masz?”, albo wyjątkowym złośliwcem, gdy naruszał rytuały interakcyjne rozmówców. Ryszard Hładko był żywą maszynką do produkowania eksperymentów etnometodologicznych, intuicyjnie wyczuwał konwencje i je podważał. Nie trzeba dopowiadać, że zwiększał tym samym liczbę swych wrogów, a nie przyjaciół.

Padraic Kenney ostatnie trzy i pół roku trwania bloku komunistycznego w Europie Środkowej nazywa „rewolucyjnym karnawałem”. Można powiedzieć, że dla Ryszarda Hładki ten karnawał się nie zakoń-

czył. Trwał nawet wtedy, gdy styropianowi bohaterowie zakładali garnitury i zamieniali się w rządowych biurokratów. Dlatego „naturalna” ścieżka kariery dla kogoś, kto był internowany razem z „pierwszą kadrową” „Solidarności”, była w istocie dla Hładki zamknięta już od początku. Był on chronicznie niezdolny do „politycznej dojrzałości” i znalazł się na marginesie przemian po 1989 roku, podobnie jak Pomarańczowa Alternatywa.

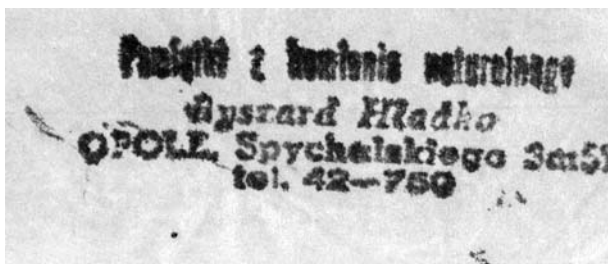
Ale ten ludyczny, a czasami wręcz bachiczny rys charakteru Hładki dopełniony był – o paradoksie – konserwatyżmem z lekką nutą nacjonalizmu. Wykpiwający konwencje Hładko stawał się bowiem w innym czasie i miejscu obrońcą ortodoksji rocznicowych obchodów powstania warszawskiego. Jako żołnierz powstania traktował je jako wydarzenie formacyjne i nie mógł się emocjonalnie od niego zdystansować. Z radością powitał sztandarową inwestycję Lecha Kaczyńskiego jako prezydenta Warszawy: Muzeum Powstania Warszawskiego. Podobnie otwarty na prawa mniejszości kulturowych, politycznych i seksualnych był przeciwnikiem przyznawania osobnych praw mniejszości niemieckiej, jako „opolskiej fikcji”. I znowu na tym – powiedzmy sobie wprost: szowi-

nizmie – zaciążyły doświadczenia z młodości, z weryfikacji ludności rodzimej, a także dobra znajomość tradycyjnych skupisk mniejszości. Ileż wycierpiał się Edmund Nowak, dyrektor Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach, zmuszony do ciągłej polemiki z Hładką, podważającym tezę, iż po wojnie zginęło tam około półtora tysiąca Niemców i Ślązaków! Na szczęście te ideologiczne zmarzliny szybko tajały pod wpływem dominujących, tropikalnych prądów jego osobowości.

Ryszard Hładko był ateistą. To wiedzą wszyscy, ale to stwierdzenie jest ważne, tak jak z pozoru banalne zdanie otwierające książkę Leszka Kołakowskiego: „Karol Marks był filozofem niemieckim”. Ateizm Hładki, tak rażący uszy zwłaszcza religijnych neofitów, był częścią jego projektu państwa świeckiego, które starał się urzeczywistnić. Była to wizja jednoznacznego rozdziału instytucji państwa i kościołów, a także dominacja radykalnie rozumianej myśli oświeceniowej. W imię tych haseł zaangażował się – na poważnie – w działalność Towarzystwa Kultury Świeckiej w Opolu. Ten programowy ateizm oddalał go zresztą od solidarnościowych towarzyszy już w czasach internowania, gdzie ostentacyjne ceremonie reli-



Kopanie powstańczych grobów – podwórza między ulicami Warecką i Górskiego w Warszawie, pierwsza połowa września 1944 r. Pierwszy z prawej – Ryszard Hładko. Fot. Sylwester Braun „Kris”. Repr. Tadeusz Parcej.



Pieczęć „firmy” Ryszarda Hładki – „Pamiętki z kamienia naturalnego”.

gijne były formą wadzenia się z władzą. (Nie sposób tu powtórzyć jego słów o Mazowieckim i Geremku... Z drugiej strony korespondował z Celińskim.) Dodać wypada, że bez wątplenia do tego radykalizmu przyczyniły się doświadczenia z prowadzonego przez księżę domu dziecka (bidula raczej), gdzie młody Hładko nauczył się przede wszystkim – jak opowiadał – maestrii hipokryzji. Zabawne, że swym wojującym ateizmem zniechęcał do siebie nie tylko działacze postsolidarnościowych, ale i postkomunę, która tak szybko i sprawnie wpisała się w triumwirat „pana, wójta i plebana”.

Ryszard Hładko łączył w sobie z wdziękiem tyle przeciwieństw, że bywał czasami atrakcją turystyczną. Po tym, gdy zapisał się po latach do SLD, podał mu rękę w Opolu „sam” Leszek Miller, rozradowany cynicznie zapewne kolejnym styropianem w kolekcji Sojuszu. Dodajmy, że Hładko nie był spolegliwym członkiem, gromiąc liderów Sojuszu mocniej niż „Nowa Trybuna Opolska” za rzeczywiste i medialne nieprawidłowości.

Choć biegał też z wyborczymi ulotkami, wyręczając zasiadającą i przeznaczającą się do poważniejszych zadań młodzieżówkę SLD, to znany był przede wszystkim z wszechobecności kulturalnej. Wręcz etatowo uczestniczył w spotkaniach, wieczorkach i dysputach, pisał, gdzie mógł, współtworzył jako autor „Kalendarz opolski”, wydawał własnym nakładem wspomnienia... Żywotność, nawet po siedemdziesiątce, godna pozazdrosczenia!

Nie można także zapomnieć, że Ryszard Hładko był zapalonym

przewodnikiem turystycznym, który Opolszczyzną się pasjonował i sporo na jej temat wiedział. I nie chodzi o jego amatorskie książeczki o kultach pogańskich, ale o znajomość miast i miasteczek, zabytków kultury i techniki, szlaków turystycznych i pielgrzymkowych. Znał Opolszczyznę lepiej niż niejeden rodzimy zdeklarowany miłośnik małej ojczyzny.

Pod koniec życia czuł się coraz gorzej. Mimo to nie opuszczał go dobry humor. Cytował często pieśń Tadeusza Woźniaka (słowa: B. Chorażuk):

*A kiedy przyjdzie także po mnie
Zegarmistrz światła purpurowy,
by mi zabeltać błękit w głowie,
to będę jasny i gotowy.*

Ale także wspominał, co bardziej

oddaje jego ducha przekory, że każe się po śmierci skremować i rozdać znajomym jako pikantna przyprawa do potraw... Oj, rzeczywiście, pikantna to potrawa, ostrzejsza niż osławione czerwone meksykańskie papryczki, rozpuszczająca się tylko w wysokoprocentowym alkoholu...

Miasta, które miały swoich Nikiforów, pozostają we wdzięcznej pamięci pokoleń. Ryszard Hładko był po trosze opolskim Nikiforem – bardziej z zadziornego charakteru niż działalności artystycznej wprawdzie, ale pamiętajmy, że wystawił sobie już za życia szwadrony małych pomników – posklejanych w małe satyrykony kamieni i muszli. Nie wiadomo kiedy i gdzie, ale można być pewnym, że duch Hładki jeszcze o sobie przypomni, stawiając włosy na głowie niejednemu Opolaninowi.

Lech M. Nijakowski

Ryszard Hładko (ur. 31 sierpnia 1926 r., Warszawa – zm. 21 września 2005 r., Warszawa) – dziennikarz, publicysta, krytyk literacki, autor reportaży i prozy wspomnieniowej. Pisał artykuły, recenzje, paszkwile, artykuły polemiczne, szkice biograficzne i nekrologi, polemiki i wzruszające wspomnienia. Drukował m.in. w „Gazecie Toruńskiej”, „Po prostu”, „Nowej Kulturze”, „Polityce”, „Życiu Literackim”, w „Faktach i Myślach”, w „Argumentach”, „Trybunie Opolskiej”, „Gazecie Wyborczej”.

Od trzeciego roku życia przebywał w zakładach opiekuńczych w Płudach i Strudze niedaleko Warszawy. W czasie okupacji w Warszawie wcześniej zaczął pracować na własne utrzymanie; brał udział w powstaniu warszawskim, był łącznikiem w 108 plutonie II kompanii na Powiślu u Krybara. Po wojnie studia i dziennikarstwo. Pisał o sobie: *studiów akademickich nie zdołał skończyć, bowiem za „niewłaściwy” głos w dyskusji nad kolejnym dziełem „genialnego Stalina”, zatajenie powstańczej przynależności do AK, „niemoralne prowadzenie się” z chętnymi studentkami wylano go z trzaskiem z PZPR i ZMP, z redakcji „Po prostu”, z akademika na pl. Narutowicza i zawieszono w prawach dziennikarskich. Że zaś po tym roboty ni mieszkania w stołecznym grodzie dostać już nie mógł, wylądował ostatecznie na Opolszczyźnie.*

O swoim uczestnictwie w odnowie październikowej napisał książkę: „Polski Październik '56. Opolszczyzna i kraj” (Opole 1996). W 1981 roku wydawał broszury: „Praworządność” i „Bezprawie władzy”, w latach 1991–1993 własne pismo – „Jurgielnik Opolski”. Internowany w czasie stanu wojennego w DarłóWKu, o siedmiu miesiącach tam spędzonych napisał książkę – „Kuglarze i opętańcy” (Opole 2002).

Z ośrodka odosobnienia w DarłóWKu przywiózł Ryszard Hładko walizkę pełną kolorowych kamyków (walały się pod pawilonami), zaczął sklejać z nich figurki i sceny. Zarejestrował „firmę” i zamówił pieczęć: „Pamiętki z kamienia naturalnego”. Wspominał: *Z czasem też łącząc kamień z kością, muszlami, zwierzęcymi zębami tworzyłem całe obrazy i kompozycje. Wystawiłem je potem w trakcie Dni Opola, w warszawskim KMPiK, w Poczdamie, na wernisażach, po bibliotekach, pokazując dzieciarni, jak ja je tworzę.*

Nie miała czasu na umieranie

Dzidka, Dzidzia, Zdzisia... tak najczęściej koledzy radiowcy mówili o popularnej dziennikarce radiowej Zdzisławie Błażkowskiej (1946–1994), absolwentce Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, zaczynającej swoją karierę radiową w Rozgłośni Polskiego Radia w Opolu.

Najpierw było Opole – studia polonistyczne w Wyższej Szkole Pedagogicznej, dziennikarskie próby w rozgłośni studenckiej Radiosygnali, a od 1975 r. – redakcja Rozgłośni Polskiego Radia w Opolu. Jedenaście lat później Błażkowska przeniosła się do Warszawy – do redakcji I Programu Polskiego Radia.

Zdzisława Błażkowska pozostawiła po sobie kilometry taśm radiowych z audycjami, za które zdobywała nagrody, medale, wyróżnienia i dyplomy: w 1977 r. otrzymała nagrodę za prowadzenie radiowo-telewizyjnej audycji wychowawczej pt. „Wakacje na własny rachunek”, w 1987 r. – nagrodę specjalną za audycję „Cztery Pory Roku”, w 1979 r. – Brązowy Krzyż Zasługi, w 1982 r. – tytuł Zasłużonego dla Opolszczyzny, w 1998 r. – Odznakę Zasłużonego Działacza Kultury Ministerstwa Kultury i Sztuki.

W I Programie Polskiego Radia prowadziła popularne audycje radiowe: „Polska bez granic” i „Małe Ojczyzny”, audycję rejestrującą wizyty z mikrofonem w różnych zakątkach Polski; tych bardzo znanych i tych położonych na uboczu. Jacek Sasin, współpracujący z Błażkowską wspominał, że w rozmowach z lokalnymi samorządowcami Błażkowska potrafiła stworzyć klimat niezwykłego wydarzenia. Dzięki tym programom ludzie z małych miasteczek czuli się zauważeni i docenieni. Do redakcji radia przysyłane były liczne podziękowania listy, dyplomy, wycinanki z gazet. – „Dla Dzidki niezwykle ważne było przedstawienie w audycjach ludzi ponadprzeciętnych, którym chce się coś robić na przyszłość” – podkreślał Sasin.

Błażkowska swoich gości zapraszała zarówno do audycji radiowych, jak i na łamy redagowanego przez siebie kwartalnika „Gutenberg”, wydawanego przez Polskie Bractwo Kawalerów Gutenberga.

Ważne rozmowy – z księdzem Wacławem Niewęgłowskim; z Lechem Wałęsą, jeszcze stoczniowcem; z Kazimierzem Dejmkiem; Krzysztofem Gosztyłą; Igą Cembrzyńską i Andrzejem Kondratiukiem o ich zwierzętach i gotowaniu; z polonijnymi działaczami; z ludźmi, którzy w 1945 r. przybyli na Ziemię Odzyskaną



(reportaż „Jeszcze dymiły zgliszcza domów” powstały we współpracy z Danutą Starzec). Ważna opowieść – o kalekiej kobiecie (reportaż „Kobieta do dziecka”), która, służąc w wielu domach, wychowała kilkanaścioro dzieci. Była i audycja poświęcona telenoweli „Szpital Dzieciątka Jezus”, emitowanej w telewizyjnej „Dwójce” – rozmawiała w niej z autorami telenoweli, pytała o ich przeżycia towarzyszące kręceniu filmu; o to, jak ekipa telewizyjna zmieniła się wewnętrznie, rejestrując na taśmie filmowej ludzkie cierpienie. Do popularnej audycji „Pora na herbatę” zapraszała światowe sławy – m.in. Ewę Podleś, śpiewaczkę. Błażkowska przygotowywała też audycję „Z Hipokratesem pod rękę” dotyczącą tematów medycznych.

Zdzisława Błażkowska, co podkreślają jej radiowi współpracownicy, miała dużą siłę przebicia i skupiała wokół siebie ludzi. Dla innych robiła wiele: m.in. organizowała akcje charytatywne dla dzieci chorych na białaczkę. Podczas swoich pobytów w Stanach Zjednoczonych nawiązała kontakty ze środowiskami po-



Z Lechem Wałęsą. Początek lat osiemdziesiątych.

lonijnymi. Dla Polonii stworzyła audycję „Polska bez granic” – „prawdziwy program dla Polonii o Polonii”, jak przedstawiciele amerykańskiej Polonii napisali w pożegnaniu Zdzisławy Błażkowskiej. Rozmówców do tej audycji znajdowała nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale i w Australii, i Afryce.

W audycji wyemitowanej w Programie I Polskiego Radia poświęconej Błażkowskiej padły słowa: kreatywna, ekspansywna, nie wypuszczała tematów z ręki, rozdarła między potrzebą przebywania w zaciszu a pragnieniem uczestniczenia w wielkomiej-
skim życiu, w kulturze, autorka wywiadów z wybitnymi ludźmi kultury, choć za cykle audycji społecznych zdobywała prestiżowe nagrody. Atrakcyjna, promienna kobieta. Kochała radio i miała ujmujący głos, stwarzała empatyczne audycje.

Koledzy z radiowej je-
dynki znali ją od ponad 20 lat – od czasu, kiedy z Opola zaczęła przywozić do Warszawy swoje materiały; naj-
pierw do „Popołudnia z młodością”, potem do „Czterech pór roku”.

Na początku lat dziewięć-
dziesiątych Zdzisława Błaż-

kowska wzięła bardzo długi urlop i wyjechała do Stanów Zjednoczonych. Pracowała w chicagowskim radiu. W Ameryce spotkała m.in. Stanisława Burzyńskiego – farmakologa, autora kontrowersyjnej teorii biochemicznej ochrony organizmu, odkrywcę antyneoplastonów, sprzyjających w leczeniu raka i AIDS. Z profesorem Burzyńskim Zdzisława Błażkowska rozmawiała wielokrotnie. W jednej z audycji z 2001 r. zapytała – „Czy panu zależy, by pomagać Polakom w leczeniu raka, by wejść na polski rynek?” – „Zależy, ale co ja mogę zrobić, skoro na każdym kroku natrafiam na trudności, choć chciałem te leki dostarczać bezpłatnie. Polskie ministerstwo nie zezwoliło na wysyłanie naszych leków do Polski. Moje leki trafiają do około 40 krajów na świecie, tylko nie do Polski”.

Błażkowska, podejmując tematy medyczne, niejako antycypowała mającą nadejść chorobę. Po kilku latach od rozmowy z doktorem Burzyńskim sama zachorowała – powiedziała w pożegnalnej audycji radiowa koleżanka – ale chorowała z godnością, nie przerwała pracy.

– Radio to było jej życie – wspomina matka Zdzisławy Błażkowskiej – Maria Magnowska, rozkładając albumy ze zdjęciami, wycinki prasowe i płyty z audycjami. – Córka chorowała kilka lat, cierpiała, ale zawsze była uśmiechnięta, zawsze bardzo atrakcyjnie wyglądała. Niemał do samego końca pracowała. Prowadzący ją lekarz ciągle jej powtarzał – jeśli chcesz dłużej żyć, musisz zwolnić tempo. Oczywiście nie skorzystała z tej rady. Nawet podczas swoich ostatnich dni, leżąc w szpitalu, odbierała telefony. Gdyby w pewnym momencie nie zepsuł się telefon komórkowy, to nie miałyby czasu umrzeć.

Zdzisława Błażkowska spoczywa w Alei Zasłużonych w Opolu.

Beata Zaremba



Irena z ZABŁOCKICH BĄCZKOWSKA

(1902–2006)

Najstarsza pisarka polska, Irena z Zabłockich Bączkowska, urodzona 12 maja 1902 roku w Kijowie, zmarła w Londynie 21 stycznia 2006. Przeżyła prawie sto cztery lata. Kilka miesięcy temu mówiła: „Nasze geny zaprogramowane są na długie lata albo krótkie życie. Moja rodzina była długowieczna, matka dożyła 103 lat, jeden z dziadków odszedł po 107 urodzinach, jedynie mój brat Tadeusz, niestety, nie doczekał setki” (Z Ireną Zabłocką-Bączkowską rozmawia Regina Wasiak-Taylor, „Tydzień Polski” [Londyn] 2005, nr 18, s.6). Jeszcze niedawno stuletnia dama jeździła bryczką zaprzęzoną w parę koni po Puszczy Kampinoskiej i odwiedzała stadninę: „aby nacieszyć oko widokiem, a w moim przypadku już raczej zapachem, rasowych arabów. Zawsze uwielbiałam jeździectwo. Pierwszy raz dosiadłam konia w wieku pięciu lat” (ibidem, s.8).

Zadebiutowała Irena Zabłocka późno, w 1953 roku dopiero; na łamach londyńskich „Wiadomości” (nr 21) ukazało się jej znakomite opowiadanie „Jeziory”. A przedtem tyle zdarzeń trudnych nawet do skrótego przedstawienia. Panna z kresowego dworu ukończyła w 1919 roku polskie Gimnazjum Żeńskie Waclawy Peretiatkowiczowej w Kijowie. Pochodziła z półtora szlachty, z rodziny, w której bywali utalentowani pisarze (Franciszek Zabłocki, Stefan Garczyński, Sława Pruszyńska, Ksawery Pruszyński). Z grupą harcerzy udało się jej przedrzeć przez zrewoltowaną Ukrainę do Polski; w czasie wojny polsko-bolszewickiej była sanitariuszką i instruktorką oświatową (dosłużyła się stopnia podporucznika). Studia w Akademii Rolniczej w Bydgoszczy, potem praca w Szkole Hodowli Drobiu w Julinie, w izbach rolniczych. Małżeństwo z Janem Bączkowskim, rotmistrzem I. pułku ułanów krechowieckich. Fachowe rozprawy o hodowli drobiu i królików.

I sport. W 1929 roku zajęła trzecie miejsce w międzynarodowych zawodach hipicznych. Sławny jeździec, olimpijczyk Karol Rómmel był wtedy tylko drugi! Ostatnie lato w Polsce: „Nigdy nie zapomnę ostatniego galopu polnymi drózkami z moim mężem Janem i mjr. [Henrykiem] Dobrzańskim, późniejszym Hubalem, gdzieś koło Izabelina [niedaleko Wołkowyska w Nowogródzkiem – A.W.]. To był nasz ostatni galop przed wojną. Pola, tylko co zżęte po wspaniałych żniwach i my, w ten uroczy wieczór, wyrwaliśmy się na konną

przejażdżkę. Ten poświst letniego wiatru, tętnienie kopyt końskich i barwy światel zostały z nami na zawsze” (ibidem, s. 8).

A po klęsce wrześniowej obóz dla internowanych na Litwie, ucieczka z obozu, długa droga przez Estonię i Szwecję do Francji, gdzie w 1940 roku urodził się syn Jerzy. Od 1942 roku w Wielkiej Brytanii. Praca w szkole, gospodarowanie na własnej farmie, praca fizyczna w „Institution” (przysług dla starców), znów szkoła w Londynie (uczyła biologii i zoologii).

Napisała tylko dwie książki – całości w wycinkach – zbiór opowiadań „Podróż do Brailowa” i powieść „Wróble noce”, za którą otrzymała nagrodę „Wiadomości”. Opowiadania rozproszone w prasie zostały zebrane przez Halinę Nicieję i opublikowane w osobnym tomie.

Książki wydane:

Podróż do Brailowa [Opowiadania], Londyn 1959.

Wróble noce. Powieść, Londyn 1963; wydanie drugie pod zmienionym tytułem: *Letnie noce. Opowieść o Ukrainie początku XX wieku*, O Autorce: Regina Wasiak-Taylor, Londyn 2005.

Krajobrazy i ludzie. Opowiadania norfoldzkie, słowo wstępne Stanisław Sławomir Nicieję, wybór Halina Nicieję, Opole 1995.

Podróż do Brailowa [w serii: Współczesne opowiadania polskie], Lublin 1998.

Jak Irena Zabłocka umiała pisać. O ziemi. O ludziach. O koniach. Jak ona umiała pisać. Jak umiała łączyć gatunki, odnawiać staropolską gawędę, znosić granicę między rodzajami sztuki. Jak umiała słuchać. Jak opowiadać.

Bał na Kujawach, w lipcu, na św. Annę:

„I już młody dziedzic z panią Konczyńską w pół się wzięli i falują, za nimi pan Gliński ze złotowłosą wiotką Krzysią, panowie i panie wnet się dobierają, para parę goni, płyną, toczą kołem, bokiem mkną jak zbożowy łan, jak lekko na wietrzyku kołysane zboże. [...]”

Zacwirlikają, zaskwierczą, zaleją się skrzypce, zabuczy, zahuczy, zabeczy bas... aż wszyscy tylko mówią: *Patrzcie, patrzcie!* Tańczą państwo Szelażkowie z Płockiego, zza Wisły, ani młodzi, ani piękni, pan siwawy w starym fraku, pani skromna, suknia czarna, ani młoda, ani modna, trochę przyrudziała, głowa gładko przeczesana, koczek mały z tyłu.

Aż się skrzypce zalały cichą melodią, aż się przysłuszył, przycichł bas, aż wszyscy przystanęli i patrzą. Kołuje para, kołuje, włoski ani drgnie, noga nie oderwie się od ziemi, suknia nie odleci – wiatr przysiadł – płynie, płynie, kręgiem toczy, kołuje prawdziwy kujawiak. Na oranym polu ciemne skiby stoją, kuropatew para szarą kulką gonia, kogut kurze służy, skrzydłem przed nią zamiata, zając słupkiem stanął, a koziołek w zbożu, różki tylko sterczą nad złożonym łanem, wiatr przysiadł na błoni... cicho... cicho... sza... Niebieska struga łąką zieloną płynie wolniutko, gęsi po niej chodzą białe, gąsior stanął, szyję wyciągnął, skrzydła rozłożył szeroko i bije nimi, bije...

*Ty za wodą – ja za wodą,
A na czym ci buzi podam,
Podam ja ci na listeczku,
Boś ty mój jest, kochaneczku...*
I już się po dworze roznosi, że ci państwo tak tańczą? („Kujawski bal”).

Pięknie umiała pisać Irena z Zabłockich Bączkowska, powtarzała też pewnie kiedyś strofy starszego o sto lat krajana, Józefa Bohdana Zaleskiego (1802–1886):

*Bożeż mój, Boże! Łzami modłę Ciebie,
Jak umrę, daj mi Ukrainę – w niebie !*

Adam Wierciński

Nadzieja w młodych

Na łamach „Gazety Wyborczej” (14–15 stycznia 2006) pojawił się artykuł Barbary Skargi, filozofa i etyka, pt. „Inteligencja zamilkła”, w którym autorka pyta, co może zdziałać inteligencja w atmosferze małości, podłości i wielkich słów o odrodzeniu moralnym. I czy przypadkiem inteligencja nie zniknęła, nie zamknęła się w swoim profesjonalizmie.

Barbara Skarga przypomina, że samo pojęcie inteligencji zrodzone w XIX wieku, charakterystyczne nie tylko dla Polski, a może nawet bardziej dla Rosji, straciło swój sens. Kiedyś była to warstwa ludzi, która już od 30. lat XIX stulecia zdobywała sobie coraz większe znaczenie – i to nie ze względu na swój status ekonomiczny, gdyż na ogół nie była zamożna. Wówczas jednak społeczeństwo polskie żywiło większy kult dla talentu i wiedzy niż pieniędzy. Toteż ranga inteligencji rosła – pisze Skarga.

Po ostatniej wojnie, która przeźbiła inteligencję, ci którzy ocaleli musieli przetrwać najcięższe lata Bieruta. Młodszy, początkowo pełni entuzjazmu dla nowego porządku i jego socjalistycznych ideałów, śledząc uważnie realizację tych ideałów, szybko się rozczarowali i utracili entuzjazm. Wszyscy myślący wbrew cenzurze oddali się pracy na polu kultury, widząc, że tam właśnie pojawiają się możliwości kontynuacji niezależnego istnienia. Rozumieli dobrze, że politykę władz

– choć traktowała ona kulturę jako instrument propagandy – można makiawelicznie wykorzystać.

„Jakże znakomite były teatry w tym, dziś opluwany przez wszystkich stron PRL-u”. Skarga przypomina, że wystawiano Słowackiego, Geneta, Wyspiańskiego. „Biegało się na każdą premierę, choć nie było sekretem, że czasem toczyły się boje z cenzurą o jedno zdanie, jedno słowo. Pamiętam też koncerty w Filharmonii Narodowej, przyjazd Wielkiej Orkiestry z Los Angeles, a potem wizyty Artura Rubinsteina. Ileż orkiestr w tych czasach powstało, razem z tą najlepszą – Wielką Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia w Katowicach!”

Zresztą nie tylko sztuka była polem działania i spotkań inteligencji. Podejmowała ona wówczas różne piękne inicjatywy – dowodzi Barbara Skarga – usiłowała np. skupić ludzi myślących w Klubie Krzywego Koła. Inteligencja też zakładała ambitne oficyny wydawnicze – PIW i Czytelnika.

Nagle jednak inteligencja w Pol-

sce przestała się liczyć; wybitna filozof pyta: dlaczego tak się stało? I próbuje odpowiedzieć: „Zapewne jedną z przyczyn była transformacja ekonomiczna, która – ratując gospodarkę Polski, opierając ją na zdrowych, mocnych podstawach – przed jednymi otworzyła niesłychane możliwości dostępu do różnych, tak kiedyś pożądaných dóbr materialnych, jak przede wszystkim samochód, a także do rozmaitych kapitalistycznych błyskotek, ale innym przyniosła klęskę. Wolność jest trudna. Pies, który urwał się z łańcucha, nie zawsze umie znaleźć pożywienie. Chociaż inteligencja nie skorzystała materialnie na transformacji, to ją obarczono winą”.

Drugą przyczyną – zdaniem Skargi – było rozpowszechnienie się kultury masowej, ona bowiem nie sprzyja kulturze wysokiej, przeciwnie – obniża jej loty. Na ogół zadawała się niewyszukaną rozrywką. Mamy więc nie wielki teatr, lecz telewizyjne seriale, nie literaturę, lecz komiksy, i na każdym kroku dużo tandetnej muzyki. Panująca rozryw-

ka nie wymaga ani wykształcenia, ani myślenia, ani nawet dowcipu. Inteligent jej nie rozumie, jej wielbiciele – inteligenta. Toteż inteligent budzi w masach nudę – pisze Skarga. – „Na dodatek mówi językiem niezrozumiałym dla mas. Kultura masowa bowiem kształci własny język potoczny – nasycony słowami zaczerpniętymi z popularnych filmów amerykańskich, z reklam, z brukowej angielszczyzny spotykanej na każdym kroku w supermarketach”.

Barbara Skarga podnosi, że bycie osobą medialną to obecnie szczyt marzeń. Poza tym, lud lubi igrzyska, a najlepszą formą igrzysk jest lustracja i nadzwyczajne komisje sejmowe. Obywatela przestało się traktować jako członka społeczności uprawnionego do politycznego

działania i wyrażania swych myśli. „Żąda się prześwieślenia całej jego przeszłości, a to znaczy, że zakłada się niejako z góry, że nie ma on czystego sumienia, że popełnił przestępstwo”.

Skarga próbuje odpowiedzieć również na pytanie, czy lustracja jest zgodna z tradycjami prawa europejskiego, wedle którego nie ma winnego, póki mu się winy nie dowiedzie? „Widziałam w swym życiu zbyt wielu ludzi załamanych, by patrzeć przychylnie na tych, co rzucają kamieniem. Niektórym zresztą wystarczy, że ktoś należał do zniechęconej partii – już z góry jest winien. Czyżbyśmy przyjęli zasady kodeksu prokuratora Wyszyńskiego (głównego oskarżyciela w procesach stalinowskich)? Czyżby nasze tak katolickie społeczeństwo

tęskniło za szubienicami i nie brało pod uwagę słów wypowiedzianych codziennie: i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. W tej atmosferze obsesyjnego pragnienia zemsty nie wiadomo za co, której domagają się najczęściej ludzie mali, którzy sami niewiele przeżyli chwil ciężkich, wystarczy donos”.

Co więc może inteligencja w atmosferze małości, podłości i wielkich słów, skoro nawet głos „umiłowanego papieża nie jest miły”? – pyta Skarga. Skarga konstatuje, że dla inteligencji nie ma już miejsca, „może się odrodzi w najmłodszym pokoleniu? Może ono zatęskni za innym sposobem życia? Rozmawiając ze studentami, mam czasem taką nadzieję.”

BEZ

CYTATY Z IMPORTU

W 51. numerze polskiego tygodnika „Cooltura”, pisma wychodzącego w Wielkiej Brytanii, ukazała się rozmowa z prof. dr. hab. Adamem Suchońskim, wieloletnim dyrektorem Instytutu Historii UO, zatytułowana „Czy historię piszą zwycięzcy?”. Oto fragment rozmowy dotyczącej obecności Polski w zagranicznych podręcznikach historii, którą przeprowadziła Sylwia Chudak.

Szczególnie interesuje nas obraz Polaków w brytyjskich oczach, bowiem w nich odbijamy się codziennie.

– W podręcznikach angielskich, choć nie tylko, odchodzi się od precyzyjnego opisu działań wojennych na rzecz losów ludzkich, nauki, techniki na usługach wojny. I tutaj nie ma mowy o Polakach, o naszym wywiadzie, o Enigmie, o polskich lotnikach walczących za Anglię. Nadal piszą sporo o „Solidarności” i Lechu Wałęsie, poświęcając nawet 2–3 strony. To jedyny kraj, który podaje tak obszerną relację. Ostatnio rośnie zainteresowanie polskimi sprawami ze strony Brytyjczyków. I to nie tylko ze strony Normana Daviesa. Pojawiają się pierwsze pozycje o Enigmie, ale nie są to podręczniki. Statystyczny angielski uczeń na razie dowiadyuje się jedynie o rozbiorach, powstaniu listopadowym, powstaniu państwa polskiego po I wojnie światowej, ataku Niemiec na Polskę. Przy czym nie uznaje się tego momentu za

początek II wojny światowej. Ta ich zdaniem rozpoczyna się w momencie przystąpienia do niej ich samych i Francuzów. Kiedyś pisano o powstaniu warszawskim. Dziś bardzo rzadko. O Katyniu pamięć zanika zupełnie. Oświęcim jest postrzegany jako tragedia ludności żydowskiej, którą mordowano na terenie Polski. O Polakach, którzy w tych obozach też byli więźniami, wzmianki nie ma.

Czy angielscy uczniowie wiedzą, dlaczego po II wojnie światowej w Polsce zapanował komunizm? Czy zdają sobie sprawę, że to m.in. „dzięki” Churchillowi i Roosveltwi Stalin po konferencjach, m.in. w Jaltie, mógł przejąć kontrolę nad Polską, zaprowadzając totalitarny system?

– Anglicy, podobnie jak Amerykanie, usprawiedliwiają swojego przywódcę. Twierdzą, że presja Stalina była niezwykle duża. Stalin miał silną armię, która wyzwoliła

pół Europy, zdobyła Berlin. Z tym należało się liczyć. Do głosu dochodziła także obrona własnych interesów. Amerykanie nie chcieli drażnić Stalina, a pozyskać go do dalszej wojny z Japonią. Anglicy zaś twierdzili, że los Polski został już przesądzony w Poczdamie i oni nic na to poradzić nie mogli. Ponadto za dobrą monetę przyjmowali zapewnienia rosyjskiego przywódcy o wprowadzeniu systemu demokratycznego w Polsce po wojnie. Choć, prawdę mówiąc, dotychczasowe doświadczenia w kontaktach ze Stalinem nie pozwalały na taką ufność. Przed tym ostrzegało wielu angielskich historyków. Ponadto oczekiwano, że zniszczona wojną Rosja będzie za słaba, by przeciwstawić się temu, co na dwóch konferencjach uchwalono. Mylono się.

Jak przedstawiono kwestię stanu wojennego w brytyjskich podręcznikach?

– Prawie każdy autor opisał to inaczej. Większość uważa, że wprowadzenie go uniemożliwiło radziecką interwencję. Podejmowane są próby usprawiedliwienia akcji, z czym polemizuje strona polska.

Nazwiska których Polaków pojawiają się w światowych podręcznikach?

– Papież, Lech Wałęsa, Kopernik, Fryderyk Szopen (ale zdarza się, że o obu piszą „Europejczyk” bez akcentowania narodowości), Maria Curie-Skłodowska.

A kogo najdotkliwiej brakuje?

– Pawła Włodkowica oraz Stefana Buszczyńskiego. Ten ostatni przewidział Unię Europejską na długo przed jej powstaniem i dokładnie ją opisał w 1895 r. w dziele zatytułowanym „Upadek Europy”. To był powstaniec styczniowy, który wyjechał do Francji po upadku zrywu niepodległościowego. Jego dzieło wydane m.in. po francusku odniosło potężny sukces. Na rozmowę zaprosili go Napoleon III i Wiktor Hugo, będący pod wrażeniem jego prac. Dziś nikt o nim nie wspomina. Paradoksalnie my sami również. To postać, która czeka na odkrycie.

Co zaskoczyło pana profesora w trakcie 15-letnich badań?

– Wiele rzeczy. Na przykład w podręcznikach włoskich nie znalazłem informacji o Polakach walczących na Monte Cassino, w norweskich nie ma mowy o naszym udziale pod Narwikiem. Liczebnie byliśmy czwartą siłą koalicji antyhitlerowskiej, ale o tym żaden uczeń poza Polską się nie dowie.

Studencka konferencja w Instytucie Historii UO

Daleki Wschód bliżej

17 listopada 2005 roku w Instytucie Historii UO odbyła się studencka konferencja naukowa pt. *Różne oblicza Dalekiego Wschodu*. Organizatorem imprezy była Sekcja Historyczno-Filozoficzna Dalekiego Wschodu Naukowego Koła Historyków. Zorganizowaliśmy ją z zamiarem szerokiego propagowania wiedzy o kulturze i filozofii krajów dalekowschodnich, a zwłaszcza Japonii i Chin. Kraje te rozwijają się bardzo szybko, a ich pozycja na arenie światowej polityki ciągle wzrasta. Zamieszkuje je znaczna część żyjących na ziemi ludzi – znajomość ich kultury pozwala lepiej rozumieć przemiany współczesnego świata.

Gościem naszej konferencji była pani **Yukari Ota**, która opowiadając o tradycyjnych, japońskich lalkach papierowych, przybliżyła jedno-

ześnie wiele aspektów japońskiej kultury. Nic porozumienia, która nawiązała się między nią a publicznością jest zasługą naszego tłuma-

cza – **Marcina Woźnicy**, studenta II roku germanistyki UO. Wystąpieniu pani Oty oraz wystąpieniom innych prelegentów towarzyszyły



Gościem konferencji była pani Yukari Ota.

prezentacje multimedialne – m.in. podczas referatu **Rafała Ludwikowskiego**, wiceprzewodniczącego sekcji, studenta II roku historii UO – „Heraldyka japońska”. Za stronę techniczną naszej konferencji odpowiedzialny był **Maciek Cierkosz**, student V roku historii UO, który wygłosił też interesujący referat pt. „Japońscy mnisi wojownicy”. Najszerzej chyba komentowanym wystąpieniem był referat **Marcina Romaszkana**, studenta V roku historii, pt. „Umieranie mistrzów zen”. Marcin zaznajomiony z buddyzmem zen nie tylko teoretycznie, ale i poprzez praktykę, potrafił w bardzo przystępny i ciekawy spo-

sób przedstawić zagadnienie słuchaczom. Uczestnicy konferencji otrzymali materiały multimedialne, wśród których znajdowały się wybrane referaty oraz prezentacje przygotowane na opisywaną imprezę (wybrane wystąpienia oraz film z imprezy będą wkrótce dostępne w Internecie). Mogliśmy też skosztować różne rodzaje dalekowschodnich herbat (między innymi trzynastoletniej PU-ERH) oraz poczęstować się kawałkiem ciasta – co zawdzięczamy **Marcinowi Mąkosie**, studentowi V roku historii UO.

Chcemy serdecznie podziękować **dr Marcie Hatałskiej** za pomoc w organizacji konferencji i zrozumie-

nie dla naszych aspiracji, a także **prof. dr. hab. Leszkowi Kuberskiemu** za pomoc w sfinansowaniu całego przedsięwzięcia. Jednocześnie pragniemy poinformować, że w kwietniu tego roku planujemy zorganizować kolejną konferencję naukową, na której będziemy gościć między innymi mistrza zen ze szkoły Kwan Um. Zapraszamy do współpracy wszystkich ludzi zainteresowanych szeroko rozumianą tematyką Dalekiego Wschodu!

Marek Tylkowski
przewodniczący sekcji

Rafał Ludwikowski
wiceprzewodniczący sekcji

DO-MNIE-MANIA

Wydział Nauk Społecznych

W miejscu dawnego Kotła powstaje budynek przeznaczony dla filozofii, politologii i socjologii. Oglądam miejsce budowy, zarys murów i mam wrażenie realizacji czegoś, co jest we mnie tylko wspomnieniem. Przecież budynek stanowi materializację idei nowego wydziału. Przed kilku laty żyliśmy tą ideą. Instytuty Psychologii i Nauk Społecznych chciały stworzyć nowy wydział, nową jakość. Powołany ma tę okoliczność zespół snuł marzenia. Zostały z nich zapisy w dokumentach Rady Wydziału, Senatu. Ktoś odszedł z uniwersytetu, ktoś odszedł z tego świata. Idea przeminęła.

Nie twierdzą, że rozwój struktur jest sposobem na rozwój instytucji. Twierdzą natomiast, że nowe struktury są wyzwaniem, mobilizują do działania. Najlepszym przykładem było powstanie naszego uniwersytetu. Jakże zmieniła ta decyzja oblicze tej uczelni. Iluż kierunków by nie

było, iluż nowych ludzi by nie stało się w Opolu. Tedy z nadzieją podjąłem się roli rzecznika nowego wydziału, gdy pracownicy dawnego Instytutu Nauk Społecznych zaczęli mówić o reaktywacji. Gdy pytałem sam siebie, czy to jest dobre przedsięwzięcie, odpowiedź znajduwa-

łem natychmiast. Nikomu jego powstanie nie zaszkodzi. Nie wymaga dodatkowych nakładów finansowych. Nie ma udziału w złu. Natomiast realizuje dobro – jest wyrazem rozwoju uniwersytetu, potwierdzeniem jego rangi, aspiracji.

Tworzyłyby go trzy instytuty.



Dwa już istnieją – Instytut Politologii i Instytut Filozofii i Socjologii. Trzeci musi powstać. Myślę o rozdzieleniu filozofii i socjologii. Jest teraz dobry czas na taką decyzję. Niech jednostki te wejdą w ostatnią fazę rozwoju, nich się usamodzielnia. Kiedyś to i tak musi nastąpić. Trzeba jeszcze zapytać psychologów co o tym sądzą.

Dlaczego teraz nowy wydział? Powodów jest kilka, bo to pytanie zawiera w sobie dwa: dlaczego w ogóle nowy wydział i dlaczego teraz? Co do pierwszej kwestii odpowiedź brzmi tak samo, jak w roku

2002, kiedy rozważaliśmy po raz pierwszy ideę Wydziału Nauk Społecznych. Nowy wydział potrzebny jest, by koordynować badania, tworzyć interdyscyplinarne zespoły, inicjować nowe, wydziałowe formy kształcenia na poziomie magisterskim i podyplomowym. Będzie liczył około 30 samodzielnych pracowników. Uważam, że to jest znaczna siła.

Odpowiedź na drugie pytanie jest taka: filozofia rozpoczyna ubieganie się o uprawnienia doktoryzowania. Po niej w kolejce jest politologia. Jeżeli zrobią to w ramach Wydzia-

łu Historyczno-Pedagogicznego, to po powstaniu nowego wydziału musiałby powtarzać procedurę. To nie miałyby sensu, chodzi więc o ekonomizację działania.

Gdybym był heglistą rzekłbym, że Duch Absolutny realizuje się w betonie, tworzy coś, aby zobaczyć siebie, a więc że ta idea była nicością. Ale heglistą nie jestem, więc zarys nowego budynku, wyrastającego z marzeń nawet mnie nie porusza. Nie poznaję w nim siebie, bom wtedy był zdrow i miałem wiele nadziei.

Bartłomiej Kozera

Nasi filolodzy w „Słowniku bibliograficznym”

Opolska lista obecności

Ukazał się „Słownik bibliograficzny językoznawstwa ogólnego i polonistycznego”, opracowany przez Jana Wawrzyńczyka. Informacje bibliograficzne zostały w nim ułożone chronologicznie pod uporządkowanymi alfabetycznie hasłami. Wśród przywoływanych autorów książek, rozpraw i artykułów filologów (anglistów, polonistów i rusycystów), związanych z opolskim środowiskiem akademickim, pojawiły się nazwiska: **Zbigniew Adamiszyn, Marian Adamus, Mieczysław Balowski, Jerzy Biniewicz, Michał Blicharski, Henryk Borek, Dorota Brzozowska,**

Wojciech Chlebda, Antoni Furdal, Stanisław Gajda, Ewa Jakus-Borkowa, Piotr Kakietek, Zdzisław Kempf, Stanisław Kochman, Leon Komincz, Jerzy Kopeć, Czesław Lachur, Ewa Malinowska, Feliks Pluta, Stanisław Rospond, Anna Starzec, Adam Wierciński, Bogusław Wyderka.

(bas)

Jan Wawrzyńczyk, *Słownik bibliograficzny językoznawstwa ogólnego i polonistycznego*, Warszawa 2005, Wydawnictwo Akademickie DIALOG, s. 456

Bal ekonomoma

Na II Balu Ekonomoma, który odbył się 15 grudnia 2005 r. wspólnie ze studentami wszystkich lat Wydziału Ekonomicznego bawili się także jego pracownicy. Impreza ta była jednocześnie pożegnaniem tegorocznych absolwentów Wydziału Ekonomicznego, którzy w ten sposób świętowali zakończenie studiów.

Na zdjęciu: studenci ze swoim dziekanem **prof. dr. hab. Januszem Słodczykiem**.



Konferencja w Zamościu

Zamoyscy w dziejach Polski

W dniach 15–17 września 2005 r. w Zamościu odbyła się największa w historii tego miasta konferencja zwołana pod hasłem „Zamoyscy w dziejach Polski”. Czas i miejsce konferencji nie były przypadkowe; 3 czerwca br. minęła czterechsetna rocznica śmierci fundatora Zamościa.

Rodzina Zamoyskich, herbu „Jelita”, zapisała piękne karty w dziejach Polski. Prowadząc działalność we wszystkich sferach życia państwa i narodu, Zamoyscy odegrali rolę szczególną wśród rodów magnackich i arystokratycznych. Aktywni i przedsiębiorczy, zawsze starali się pracować dla dobra Polski i Polaków. Najwybitniejszym przedstawicielem rodziny Zamoyskich był Jan Zamoyski, postać kontrowersyjna w polskiej historiografii. Stąd inicjatywa historyków UMCS, aby w związku z rocznicą śmierci Wielkiego Kanclerza zorganizować ogólnopolską konferencję, która ukazałaby najnowsze poglądy na jego rolę w dziejach Rzeczypospolitej doby pierwszych królów elekcyjnych, a także przedstawiła rolę Zamoyskich w dziejach Polski. Dzięki współpracy rektora UMCS – **prof. dr. hab. Mariana Harasimiuka** i prezydenta miasta Zamościa – **Marcina Zamoyskiego**, konferencja ta została włączona do programu obchodów Roku Zamościa.

Podczas konferencji wygłoszono 86 referatów. Ich autorzy reprezentowali środowiska uniwersyteckie, instytuty, akademie i inne szkoły wyższe, muzea, archiwa państwowe oraz parki narodowe. Wśród referentów, obok wybitnych specjalistów o ugruntowanej pozycji naukowej, wystąpiła liczna grupa przedstawicieli średniego i młodego pokolenia, co pozwala mieć nadzieję, że problematyka związana z dziejami rodziny Zamoyskich będzie miała licznych kontynuatorów.

Na uwagę zasługuje interdyscyplinarny charakter konferencji. Poruszona była bowiem na niej problematyka historii, historii literatury, historii sztuki, a także odległa od nich problematyka przyrodnicza i ekologiczna. I to było szczególnie nowatorskie.

Obrady konferencji dotyczyły dwóch głównych grup zagadnień: „Jan Zamoyski i jego epoka” oraz „Wkład Zamoyskich w dzieje Polski”. W trakcie obrad plenarnych wygłoszono referaty dotyczące charakterystyki Jana Zamoyskiego jako człowieka, oceny jego działalności militarnej, politycznej, gospodarczej, stosunku do innowierców, zasług w dziedzinie kultury i sztuki, a także spuścizny źródłowej rodziny Zamoyskich i jej znaczenia dla badań historycznych. Przedstawiono też historię Biblioteki Ordynacji Zamoyskiej w Warszawie oraz miejsce Zamoyskich w tradycji lokalnej miasta Zamościa w XX wieku.

W drugim dniu konferencji jej uczestnicy podzielili się na siedem sekcji, z których dwie obradowały w Zamościu, pozostałe zaś w sąsiednich miastach regionu – Tomaszowie Lubelskim, Szczebrzeszynie, Józefowie, Biłgoraju i Zwierzyńcu.

Udział w konferencji wzięli także naukowcy z Katedry Historii Parlamentaryzmu Uniwersytetu Opolskiego, pod kierunkiem **prof. dr. hab. Jana Seredyki**; **prof. dr. hab. Włodzimierz Kaczorowski** oraz **prof. dr. hab. Janusz Dorobisz**. Badacze opolscy swoje referaty wygłosili w drugim dniu obrad.

Uczestnicząc w pracach sekcji „Jan Zamoyski i jego rola w historii” **prof. dr. hab. Jan Seredyka** zaprezentował referat zatytułowany „Jan Zamoyski w oczach papieskiej legacji na sejm 1597 roku”, w którym wskazał na cel przybycia do Polski poselstwa papieskiego już w

czerwcu 1596 roku. Oznajmił, że zamierzeniem legacji było skłonienie Rzeczypospolitej, a szczególnie jej sejmu, do podjęcia decyzji o zbrojnym udziale w tworzonej przez papieża Klemensa VIII koalicji antytureckiej, jednocześnie zwrócił uwagę na wysiłki, jakie podjęło poselstwo w celu uzyskania poparcia kanclerza wielkiego koronnego – Jana Zamoyskiego, który w oczach legacji cieszył się ogromnym autorytetem, był niejako wyrocznią w sprawie, z którą poselstwo przybyło do Polski. **Prof. Seredyka** podkreślił, iż o wielkości tego uznania wymownie świadczy fakt, że mimo niepomysłnie zakończonej dla poselstwa akcji, najbardziej prominentni członkowie papieskiej legacji wystawili polskiemu kanclerzowi wysoką, miejscami przepełnioną podziwem, ocenę; jednomyślnie uznali Zamoyskiego za człowieka o ogromnych osiągnięciach w każdej dziedzinie jego działalności, określili go wręcz jako najważniejszą po królu postać Rzeczypospolitej, a nawet w całej Europie. Na zakończenie swojego wystąpienia **prof. Seredyka** pochylił uwagę, iż tak potężny autorytet może zbudować sobie jedynie człowiek naznaczony charyzmą i dodał, że tą szczególną łaską zapewne obdarzony był Jan Zamoyski.

W sekcji „Dzieje polityczne i militarne” referaty wygłosili: **prof. dr. hab. Włodzimierz Kaczorowski** oraz **prof. dr. hab. Janusz Dorobisz**. Temat referatu **prof. Kaczorowskiego** brzmiał: „Testament Jana Sariusza Zamoyskiego, kanclerza wielkiego koronnego z 1600 roku”. W części wstępnej swojego wystąpienia referent dokonał analizy bezpośredniej przyczyny pojawienia się testamentu w prawie polskim, wskazał na rolę Kościoła w rozwoju tej instytucji oraz przedstawił kategorie postanowień testamentowych istniejących w dawnym prawie

polskim. Podkreślił, że testamenty stanowią rodzaj źródła dostarczającego istotnych informacji dla badaczy w wielu dziedzinach nauki, jednocześnie zwrócił uwagę na małe zainteresowanie naukowców tym przekazem historycznym. Wśród badaczy, którzy w polskiej historiografii w ostatnich latach docenili wartość testamentów jako źródła historycznego, autor referatu wymienił prof. dr. hab. Jana Seredykę. Stwierdził jednocześnie, że edycje tych, jakże cennych przekazów, wciąż, niestety, należą do rzadkości i wskazał na fakt, że dotychczas nie wydano testamentów Jana, Tomasa i Jana „Sobiepana” Zamoyskich. Prof. Kaczorowski uznał, że 400. rocznica śmierci Jana Zamoyskiego stwarza dobrą okazję do przeprowadzenia analizy treści jego testamentu z 1600 roku, sporządzonego na pięć lat przed śmiercią kanclerza według ogólnie przyjętego w XVI–XVII wieku schematu. W poświęconym tej analizie wystąpieniu referent wykazał, że testament Jana Zamoyskiego wprowadza w tajniki życia rodzinnego oraz w najbardziej osobiste sprawy kanclerza. Zwrócił uwagę na wyrażającą się w tekście troskę kanclerza o przyszłość rodziny i ordynacji, uświadomił jak dużą wagę do instytucji testamentu przykładał Jan Zamoyski. Ukazu-

jąc walory testamentu Jana Zamoyskiego, prof. Kaczorowski wskazał na ogromną wartość poznawczą wszystkich tego typu zachowanych dokumentów, stanowią one bowiem – jak stwierdził profesor – cenne źródło historyczne do badań nad szerokim zakresem zagadnień.

„Tomasz Zamoyski wobec kwestii szwedzkiej” – to tytuł referatu wygłoszonego przez prof. dr. hab. Janusza Dorobisz. W swoim wystąpieniu referent stwierdził, że w kwestii szwedzkiej Tomasz Zamoyski wykazał się gorliwością i, jako regalista, obrońcą dynastycznych praw Wazów do tronu szwedzkiego, o czym świadczy jego pierwsze wotum senatorskie wygłoszone w 1624 roku. Na uzasadnienie owej tezy prof. Dorobisz przytoczył szereg potwierdzających ją przykładów – wydarzeń z czynnym udziałem Tomasa oraz związanych z nimi decyzji Zamoyskiego dotyczących sprawy szwedzkiej. Kiedy w połowie 1626 roku Szwedzi najechali na Prusy, Tomasz Zamoyski wraz z 370 żołnierzami przybył do obozu wojsk królewskich i wziął udział w walkach, a następnie w nieudanych rokowaniach ze Szwedami. Podobnym wynikiem zakończyły się kolejne rozmowy z jego udziałem na początku 1628 roku. Nieprzychylnie przyjął on podpisanie koniecznego

rozejmu w Altmarku w 1629 roku. Będąc wówczas podkanclerzem koronnym nie przyłożył pieczęci pod tekstem „haniebnego” – jego zdaniem – układu. Kiedy w latach trzydziestych XVII wieku Szwecja zaangażowała się w wojnę trzydziestoletnią, Tomasz Zamoyski dostrzegł, że nieprzyjaciel potencjalnie zagraża Rzeczypospolitej również z tej strony. Przed zawarciem 26. 5-letniego rozejmu w Sztumskiej Wsi Władysław IV widział w Zamoyskim osobę, której poglądy w kwestii szwedzkiej sprzyjały zerwaniu układów, co leżało w interesie Wazy.

W swoim wystąpieniu prof. Dorobisz dał obraz Tomasa jako polityka czynnie zaangażowanego w sprawę polsko-szwedzkie i określił jego jednoznaczną postawę wobec tej kwestii.

Jak widać, udział opolskich naukowców w największej w historii Zamościa konferencji był znaczący. Dodajmy, że konferencja bardzo dobrze wpisala się w obchody Roku Zamościa i stanowiła dopełnienie jego kulminacji – uroczystości odsłonięcia pomnika Jana Zamoyskiego, która miała miejsce w ostatnim dniu konferencji, czyli 17 września 2005 roku.

Edyta Sawicka

studentka V roku historii UO

Na kuligu w Zawadzie

5 lutego 2006 r., Zawada. Kulig dla pracowników Uniwersytetu Opolskiego. Była grochówka, grzaniec i śpiewy przy ognisku. Imprezę zorganizował Dział Socjalny UO.

Fot. Ryszard Waligórski



Z prac Senatu UO

15 grudnia 2005 r.

- Rektor UO, prof. dr hab. Stanisław Nicieja, w imieniu Senatu oraz całej wspólnoty Uniwersytetu Opolskiego, złożył prof. dr hab. Stanisławowi Gajdzie gratulacje w związku z przyznaniem mu tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu św. św. Cyryla i Metodego w Skopje (Macedonia).
- Przewodniczący Senatu prof. dr hab. Stanisław Sławomir Nicieja przywitał zaproszonych na posiedzenie przedstawicieli Urzędu Marszałkowskiego: wicemarszałka województwa opolskiego Józefa Kotysia oraz dyrektora Departamentu Koordynacji Programów Operacyjnych Urzędu Marszałkowskiego Karinę Bedrunkę.
- W planach Zarządu Województwa Opolskiego znajduje się projekt aktywizacji środowiska naukowego Opola, np. fundowanie stypendiów habilitacyjnych czy doktorskich z zakresu dyscyplin naukowych związanych z potrzebami województwa.
- Prorektor UO prof. dr hab. Krystyna Czaja poinformowała o udziale w posiedzeniu prorektorów Kolegium Uczelni Wrocławia i Opola, podczas którego zapoznano się m.in. z inicjatywami Dolnośląskiego Centrum Zaawansowanych Technologii.
- W głosowaniu jawnym Senat UO jednomyślnie zatwierdził wykaz kierunków i specjalności, które będą prowadzone w Uniwersytecie Opolskim w roku akademickim 2006/2007.
- Dr Jerzy Wiechuła przypomniał m.in. o obowiązującym od roku akademickiego 2006/2007 dwustopniowym systemie kształcenia (w UO z wyjątkiem: psychologii, prawa i teologii).
- Prorektor UO prof. dr hab. Krystyna Czaja zapoznała członków

Senatu z analizą kondycji finansowej polskich uniwersytetów dokonaną przez Uniwersytecką Komisję Finansową oraz możliwościami i efektywnością pozyskiwania środków finansowych na różne sfery działalności.

- Senat w głosowaniu jawnym jednomyślnie zatwierdził zmiany w uchwale Senatu nr 5/96–99 w sprawie ustalenia wysokości honorariów w wynagrodzeniu zasadniczym nauczycieli akademickich.
- Senat Uniwersytetu Opolskiego jednomyślnie poparł wniosek Rady Wydziału Historyczno-Pedagogicznego w sprawie uhonorowania Jerzego Janickiego, wybitnego reżysera, pisarza, dramaturga i scenarzysty tytułem dok-

tora honoris causa UO. Poparty został również wniosek Wydziału Filologicznego w sprawie uhonorowania prof. dra hab. Jana Miodka, językoznawcy, tytułem doktora honoris causa UO.

- Prorektor prof. dr hab. Krystyna Czaja poprosiła o wyrażenie przez Senat zgody na podpisanie przez rektora UO porozumienia oraz aktu notarialnego przenoszącego prawa i obowiązki wynikające z umowy dzierżawy zawartej 11 stycznia 1999 r. z EXXON-MOBIL POLAND Sp. z o.o., (dawniej: ESSO Polska Sp. z o.o.), na osobę trzecią – LOTOS PALIWA Sp. z o.o. W głosowaniu jawnym wzięło udział 44 członków Senatu. Uchwała przyjęta została przy dwóch głosach wstrzymujących się.

26 stycznia 2006 r.

- Na zaproszenie rektora UO prof. dra hab. Stanisława Nicieji gościem Senatu UO był wojewoda opolski dr Bogdan Tomaszek, który wręczył pracownikom UO odznaczenia państwowe. Złoty Krzyż Zasługi otrzymały: mgr Lidia Bołd (Biblioteka Główna) i mgr Teresa Wiercińska (Biblioteka Główna); Srebrny Krzyż Zasługi otrzymali: dr hab. Ilona Dobosiewicz (Instytutu Filologii Angielskiej), dr hab. Stefan Marek Grochalski, prof. UO (dziedzin Wydziału Historyczno-Pedagogicznego), dr Urszula Karwaczyńska (Wydział Przyrodniczo-Techniczny), dr Marian Kuczek (Wydział Przyrodniczo-Techniczny), dr hab. Ewa Malinowska (Instytut Filologii Polskiej), dr Lech Rubisz (Instytut Politologii), dr hab. Hubert Wojtasek, prof. UO (Instytut Chemii); Brązowy Krzyż Zasługi otrzymali: dr Grzegorz Kusza (Wydział

Przyrodniczo-Techniczny), dr Katarzyna Łeńska-Bąk (Instytut Filologii Polskiej), dr Marzena Makuchowska (Instytut Filologii Polskiej), Dorota Piotrowska (Instytut Chemii), dr Krystyna Nowak-Wolna (Instytut Nauk Pedagogicznych), dr hab. Elżbieta Dąbrowska, prof. UO (Instytut Filologii Polskiej) oraz dr Wiesław Sikorski.

- Wojewoda Bogdan Tomaszek zapowiedział cykl spotkań władz samorządowych z rektorami, przedstawicielami opolskich uczelni oraz instytutów naukowo-badawczych, których zadaniem będzie opracowanie wspólnych projektów o uzyskanie środków z funduszy europejskich oraz ściślejsze powiązanie i wykorzystanie potencjału naukowego i badawczego z potrzebami regionu.
- Rektor UO prof. Stanisław Sławomir Nicieja wręczył prof.

Bogusławowi Wyderce (Instytut Filologii Polskiej) mianowanie na stanowisko profesora zwyczajnego. Większością głosów przyjęto wniosek: o mianowanie dra hab. Tadeusza Cieleckiego na stanowisko profesora nadzwyczajnego.

- Przedstawicielki Samorządu Studenckiego: Beata Olejnik, Aneta Kolasińska i Magdalena Luniak omówiły działalność samorządu studenckiego, kół i organizacji studenckich.
- Prorektor UO dr hab. Marek Masnyk, prof. UO, przekazał informacje dotyczące działających w UO kół naukowych. Aktualnie na wydziałach i w instytutach działa około 40 kół naukowych: Koło Naukowe Folklorystów, Studenckie Naukowe Koło Literackie, Koła Naukowe Kulturoznawców, Studenckie Naukowe Koło Sławistów, Studenckie Naukowe Koło Filmoznawców, Naukowe Koło Wiedzy o Tańcu, Akademicki Teatr Tańca, Koło Naukowe Językoznawców, Koło Naukowe Anglistów „LINGO”, Koło Naukowe Fizyków, Koło Naukowe Matematyków, Koło Naukowe

Chemików, Studenckie Koło Naukowe Socjologów, Studenckie Koło Filozofów, Koło Naukowe Studentów Psychologii, Naukowe Koło Terapeutów, Koło Naukowe Pedagogiki Wczesnoszkolnej, Koło Naukowe Orientalistyki, Naukowe Koło Psychoterapeutyczne, Akademickie Koło Artystyczne, Koło Naukowe Studentów Pedagogiki Opiekunczej i Pracy Socjalnej, Naukowe Koło Pedagogów Resocjalizacji, Studenckie Koło Naukowe Politologów, Studenckie Koło Naukowe Pedagogiki Porównawczej, Koło Naukowe Pedagogiki Zdrowia, Studenckie Koło Naukowe Historyków, Naukowo-Artystyczne Koło Animatorów Kultury, Studenckie Koło Naukowe Zrównoważonego Rozwoju, Koło Naukowe Teologów, Koło Naukowe Studentów Nauk o Rodzinie, Koło Filozoficzne Studentów, Koło Naukowe Biologów, Koło Naukowe Geologów, Koło Naukowe „Ekolog”, Koło Naukowe Biotechnologów, Koło Naukowe Prawa Europejskiego „Eurolex”, Koło Naukowe INTER-LEX, Koło Naukowe Prawa

Pracy i Zabezpieczenia Społecznego IUSTITIA, Europejskie Stowarzyszenie Studentów Prawa ELSA Opole, Koło Naukowe Młodych Kryminologów i Kryminalistyków, Koło Naukowe Prawa Karnego „Wokanda”, Koło Naukowe „Bona fides”, Studenckie Forum Business Centre Club.

- Prorektor prof. Krystyna Czaja zwróciła się z wnioskiem o zatwierdzenie kandydatury prof. dra hab. Jerzego Lisa na przedstawiciela uczelni w Uniwersyteckiej Komisji Programów Międzynarodowych (UKProM). Senat w głosowaniu jawnym jednomyślnie przyjął zgłoszony wniosek.
- Prorektor prof. Jerzy Lis przedstawił wniosek Rady Wydziału Ekonomicznego o uhonorowaniu prof. Klausa Gloedego Medalem Uniwersytetu Opolskiego, który wręczony zostanie na ostatnim posiedzeniu Rady Wydziału w roku akademickim 2005/2006. Senat w głosowaniu jawnym jednomyślnie poparł wniosek o przyznaniu prof. Klausowi Gloedemu Medalu UO.

Zapowiedzi wydawnicze (4)

(Zmyślenia bibliograficzne)

Mieczysław BALOWSKI: Między aforyzmem a paradoksem. Zagadka nie tylko genologiczna. Racje Adolfa Nowaczyńskiego, który pisał, że *Aforyzm jest przedostatnim ogniwem tego łańcucha myśli, którego ostatnim jest paradoks*.

Elżbieta DĄBROWSKA: O potomstwie literackim „Kariery Nikodema Dyzmy” Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. Czy „Wystarczy być” (*Being There*, 1971) Jerzego Kosińskiego można też potraktować jako hipertekst „Kariery...”. Próba określenia stopnia intensywności odniesień intertekstualnych.

Marian KACZMAREK: Panapaskowe wnuki i prawnuki literackie. Pisarstwo podmiotowe w literaturze polskiej na przestrzeni wieków. Inedita. Przygotowała

do druku oraz przedmową i przypisami opatrzyła Joanna ZAGOŹDŹON.

Marian KACZMAREK: Parenetyczna wykładnia „Wojny chocimskiej” Wacława Potockiego. Rekonstrukcja wyznaczników strukturalnych paraboli. Inedita. Wstęp, przypisy i komentarze Regina WASIAK TAYLOR.

Piotr KOWALSKI: Co dzisiejszy Odys widział w czasie podróży do Itaki. O współczesnych ucieczkach donikąd i byle gdzie. Raje agroturystyczne i łatwe raje seriali.

Piotr KOWALSKI: Czy Arystoteles i Platon mogliby zostać choćby magistrami w czasach skwantyfikowanej

nauki? Głos polemiczny w sprawie przyszłości uniwersytetów europejskich.

Piotr KOWALSKI: Początki końca ery Gutenberga? Słowo niedawne i zwielokrotnione ponad potrzebę słówko dzisiejsze. Próba interpretacji zdania Umberta Eco: *Kiedyś książki o nakładzie trzystu egzemplarzy rewolucjonizowały świat, dziś nikt by ich nie zauważył.*

Marzena MAKUCHOWSKA: Nowa (?) nazwa starej części mowy. Jak Felietonista * z „Tygodnika Powszechnego” i Polonistka ** z ważnej instytucji naukowej zaimmek zwrotny „się” partykułą (sic!) zwrotną przewali.

* M. S. *nie ma pojęcia o dość oczywistej dla ludzi posługujących się językiem polskim partykuły [sic!] zwrotnej „się” w zdaniu.*

** *zgadzam się z felietonistą, że w polszczyźnie pozycja partykuły [sic!] zwrotnej „się” jest ruchoma.*

Marzena MAKUCHOWSKA: Dlaczego każda homilia może być kazaniem, ale nie każde kazanie – homilią? O myleniu różnych form wypowiedzi nie tylko przez dziennikarzy.

Appendix

Manieryczne słówka-wytrychy w polszczyźnie współczesnej: „problem”, „generować”, „pochylać się”.

Franciszek Antoni MAREK: Którą to grupę etniczną dobry Bóg szczególnie w miłosierdziu swoim przyozdobił? Czy nie górnośląską przypadkiem?

Franciszek Antoni MAREK: O regionalizmie, etniczności i współczesnej idei europejskiej. Dlaczego nawet w jednoczącej się Europie można się czasem posłużyć paradoksem Adolfa Nowaczyńskiego: *Każda nacja drwi z drugiej nacji i wszystkie nie tracą racji.*

Stanisław Sławomir NICIEJA: Jak Stefania Kossowska, ostatnia redaktorka „Wiadomości” londyńskich, sztuki polemizowania mnie uczyła. Oszczerstwa nawet i dokuczliwe napaści Schnellschreiberów radziła puszczać mimo uszu.

Stanisław Sławomir NICIEJA: Moja samowola ortograficzna. O pisowni nazwisk typu *Kreja*, *Nicieja*, *Śmieja*, *Bareja* w dopełniaczu, celowniku i miejscowniku. Między dziwną regułą obowiązującą od lat trzydziestych XX wieku (*Krei*, *Niciei*, *Śmiei*, *Barei*) a poczuciem językowym (*Kreji*, *Nicieji*, *Śmieji*, *Bareji*).

Appendix

O względach morfologicznych i fonetycznych przemawiających za zmianą dziwacznej reguły. Poglądy i racje prof. prof. Bogusława Kreji i Jana Miodka.

Piotr OBRĄCZKA: Zagadka bibliograficzna: dlaczego w „Księdze parodii” (Warszawa 1986) zostały przytoczone tylko te tytuły z 13. nru „Przewodnika Bi-

bliograficznego”, na które zwrócił już kiedyś uwagę Julian Tuwim? (Zob. *Cicer cum caule, czyli groch z kapustą*, Warszawa 1958, s. 102–104).

Piotr OBRĄCZKA: Jak pisać szkice i książki biograficzne w czasach, kiedy tytuł biegłych w piśmie rozprawia o śmierci autora. O dekonstrukcjonistycznych teoriach biografizmu polemicznie.

Wiesław OLKUSZ: Dlaczego w „Dziennikach” Stefana Kisielewskiego znalazło się tajemnicze zdanie o Piotrze Obrączce: *On wie wszystko...* Co ono znaczy naprawdę? Tezy i hipotezy.

Anna PIETRYGA: O początkach logiki parakonsystentnej. Teza: logika dyskusyjna jako pierwsza współczesna logika parakonsystentna. Logiczny dyskurs z logikami o logikach.

Appendix:

Jeszcze jedna próba analizy logicznej „zakładu Pascala”.

Władysław STUDENCKI: O moich poszukiwaniach powiedzeń „zagłobowych” w listach Kazimierza Sztetkiewicza (późniejszego teścia Henryka Sienkiewicza) pisanych do żony z zesłania. Inedita. Wstęp, komentarze, przypisy i uzupełnienia Władysław HENDZEL i Piotr OBRĄCZKA.

Adam WIERCIAŃSKI: Galicyjska republika cieni w prozie powojennej. Raj utracony i piekło odnalezione. Od Leopolda Buczkowskiego do Juliana Strykowski.

Adam WIERCIAŃSKI: Poczet ostatnich (?) wielkich czytaczy w kulturze polskiej: Juliusz Wiktor Gomulicki, Władysław Kopaliński, Stanisław Lem, Henryk Markiewicz, Maria Janion, Janusz Tazbir, Ludwik B. Grzeniewski, Andrzej Biernacki, Jerzy Timoszewicz, Andrzej Dobosz. Czy to naprawdę ostatnie egzemplarze czytającej Polski?

Appendix

Lista rezerwowa: Tomasz Fiałkowski, Jan Gondowicz, Zbigniew Mentzel, Małgorzata Musierowicz, Tadeusz Nyczek, Jan Tomkowski, Paweł Dunin-Wąsowicz.

Agnieszka WÓJTOWICZ: Formuła kończąca spektakl w teatrze Grotowskiego: *Idź i nie wracaj więcej.* Pożegnanie ostateczne czy przewrotna zachęta do odwiedziny? Analiza logiczna, hierarchiczna i sytuacyjna.

Agnieszka WÓJTOWICZ: Małe wielkie miasto czy wielkie małe miasto. Opole nie tylko teatralne w przyszłości nieodgadnionej.

AWIER

Pierwsza część „Zapowiedzi...” ukazała się na łamach „INDEKSU” kilka lat temu (1/2000), druga w roku 2004 („Indeks” 5–6/2004), trzecia w przedostatnim numerze („Indeks” 2005, nr 7–8).

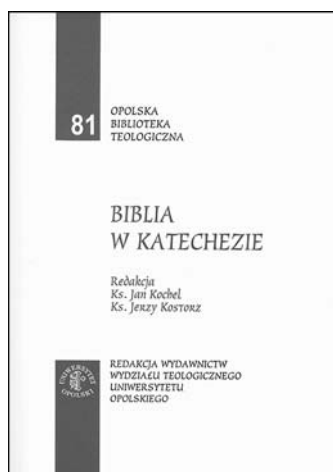
NOWOŚCI REDAKCJI WYDAWNICTW WYDZIAŁU TEOLOGICZNEGO UO

Polok Bernard (red.), *Scriptura Sacra*, (czasopismo – *Scriptura Sacra* nr 8–9) Opole, 2004–2005, 292 s., cena 20,50 zł



z okazji 10-lecia redakcji czasopisma „Liturgia Sacra”.

Kochel Jan, Kostorz Jerzy (red.), *Biblia w katechezie*, (Seria – OBT 81), Opole, 2005, 120 s., cena 10,00 zł



der Welt. 40 Jahre, (Seria – *Colloquia Theologica* nr 6), Opole, 2005, 190 s., cena 14,50 zł



Sobeczko Helmut Jan (red.), *Modlitwy eucharystyczne Mszału Rzymskiego. Dzieje – teologia – liturgia*, (Seria – OBT 80), Opole, 2005, 328 s., cena 22,50 zł



Książka jest owocem ogólnopolskiego sympozjum katechetycznego zorganizowanego przez Katedrę Katechetyki, Pedagogiki i Psychologii Religii Wydziału Teologicznego UO i Wydział Katechetyczny Kurii Biskupiej w Opolu 23 kwietnia 2005 r. W książce tej znajdują się następujące artykuły: Teoretyczne założenia wierności Objawieniu Bożemu we współczesnej katechezie; Współczesne metody interpretacji i wykładu Pisma Świętego; *Lectio divina* a katecheza; Biblijne drogi katechezy parafialnej i szkolnej; Metody aktywizujące w pracy z Biblią; Film biblijny w katechezie; Cele aktywnych form katechezy w świetle dokumentów Kościoła; Propozycje pracy z Pismem Świętym; Projekt edukacyjny „Biblia w każdej szkole”.

Werbick Jürgen, Worbs Marcin (red.) *Kościół w świecie. 40-lecie „Gaudium et spes”/ Die Kirche In*

Praca zbiorowa, dwujęzyczna, napisana z okazji sympozjum zorganizowanego w ramach wieloletniej współpracy wydziałów teologicznych Monastynu i Opola. Inspiracją sympozjum, były treści Konstytucji duszpasterskiej o Kościele w świecie współczesnym *Gaudium et spes* Soboru Watykańskiego II.

Chałupniak Radosław, *Między katechezą a religioznawstwem. Nauczanie religii katolickiej w szkole publicznej w Niemczech w latach 1945–2000*, (Seria – OBT 79), Opole, 2005, 462 s., cena 31,50 zł



Praca zbiorowa, która ukazuje bogactwo modlitw eucharystycznych Mszału Rzymskiego Pawła VI (1970) i Mszału Rzymskiego dla diecezji polskich (1986). Dzieło to powstało z okazji obchodzonego Roku Eucharystii (2004–2005), oraz

Praca w sposób wieloaspektowy i syntetyczny przedstawia złożoną rzeczywistość, jaką była lekcja religii katolickiej w publicznej szkole niemieckiej w latach 1945–2000. Kluczem było wskazanie dwóch biegunów edukacji religijnej – ka-

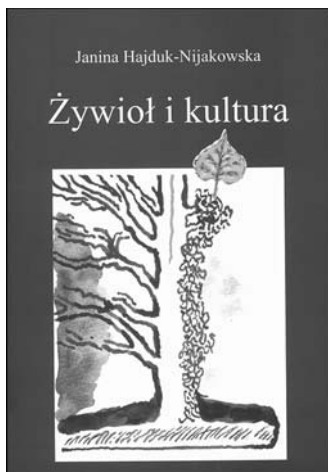
techezy i religioznawstwa, oraz określenie, na ile nauczanie religii oscyloowało między nimi. Kontekst historyczny umożliwił ukazanie tych zajęć jako ściśle związanych z określonym wyznaniem chrześcijańskim, będącym – jako istotna

część katechetyczno-pastoralna zaangażowania Kościoła katolickiego – ważnym środowiskiem edukacji religijnej.

Przygotował: Piotr Juszczyszyn

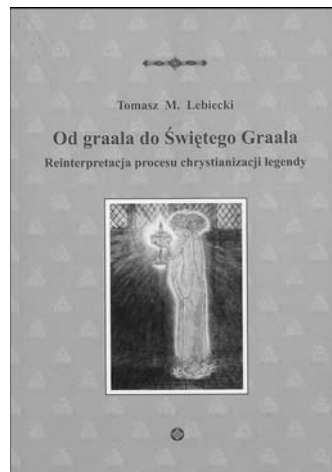
NOWOŚCI WYDAWNICTWA UNIWERSYTETU OPOLSKIEGO

Hajduk-Nijakowska J., *Żywioł i kultura. Folklorystyczne mechanizmy osuwania traumy*, format B5, 252 s. + 16 s. nieliczbowanych,, cena 25 zł



Spojrzenie folklorysty na katastrofę naturalną, jaką była wielka powódź w 1997 roku. Praca eksponuje kulturowe przeżycia zbiorowej grozy oraz wskazuje na tkwiące w kulturze mechanizmy osuwania traumy. Antropologiczna analiza dotyczy nie tylko współczesnych zjawisk folkloru, ale również przekazów medialnych konstytuujących społeczną wiedzę i opinie o katastrofie. Dzięki temu wyeksponowano w pracy charakterystyczne dla kultury współczesnej relacje między przekazem folklorystycznym a przekazem kultury masowej i popularnej. Praca jest adresowana do badaczy kultury współczesnej.

Lebiecki T., *Od graala do Świętego Graala. Reinterpretacja procesu chrystianizacji legendy*, 2006, 2005, format B5, 273 s., cena 26 zł



Dwunastowieczna Europa była świadkiem narodzin legendy, która miała wkrótce zaćmić wszelkie dotychczasowe mity Zachodu – opowieści o Graalu i wyprawie w jego poszukiwaniu. Okres pomiędzy 1190 a 1220 rokiem był świadkiem prawdziwego zalewu historii o tym tajemniczym przedmiocie, czego skutkiem stała się olbrzymia różnorodność często jawnie sprzecznych wersji legendy o (Świętym) Graalu. Pojawiające się w nich sprzeczności, analizowane z punktu widzenia ich zgodności z kanonami chrześcijaństwa, ich nielogiczność, a czasami nawet absurdalność – uznawane często przez arturianistów za przypadkowe i niezamierzone – mogą być efektem ubocznym przemyślanego i skomplikowanego planu jej chrystianizacji, efektem nie tyle niezrozumiałości samej istoty Graala czy też niespójnej, przypadkowej konglomeracji często nieprzystających do siebie elementów odrębnych kultur, ile wynikiem literackiej i społecznej ewolucji samej legendy za-

chodzącej na płaszczyźnie religijnej. W tym świetle omawiana w książce ewolucja pojęcia „graal” jawić się może jako stopniowe i zamierzone przeistoczenie pierwotnie pogańskiego mitu w legendę, która nie tylko miała stać się wkrótce zgodna z kanonami wiary chrześcijańskiej, lecz także miała przyczynić się do umocnienia pozycji średniowiecznego Kościoła rzymskokatolickiego. Praca jest adresowana do osób zainteresowanych kulturą, literaturą i życiem religijnym średniowiecza oraz do etnografów i antropologów kultury.

Brągiel J., Badora S. (red.), *Formy opieki, wychowania i wsparcia w zreformowanym systemie pomocy społecznej*, format B5, 595 s., cena 48 zł



Główną treść pracy stanowi prezentacja funkcjonujących obecnie w Polsce najważniejszych instytucji opieki, wychowania i pomocy, opisanych zgodnie z obowiązującymi obecnie przepisami prawnymi.

NOWOŚCI WYDAWNICTWA UNIwersYTETU OPOLSKIEGO

mi oraz najnowszymi wynikami badań i analiz źródłowych. Prezentowane formy opieki, wychowania i wsparcia zostały podzielone na kilka grup. Pierwszą stanowią placówki opieki i pomocy rodzinie o charakterze uzupełniającym, wspierającym i interwencyjnym. Druga grupa to formy opieki nad dziećmi i młodzieżą, podejmujące zarówno opiekę dzienną, jak i całodobową, a mające charakter opiekuńczy, socjalizacyjny i resocjalizacyjny. W ostatniej grupie przedstawione zostały placówki opieki nad ludźmi starymi i niepełnosprawnymi. Praca dotyczy pedagogiki, a więc adresowana jest przede wszystkim do studentów pedagogiki o specjalności pedagogika społeczna, opiekuńcza, praca socjalna, resocjalizacja oraz do nauczycieli akademickich prowadzących przedmioty metodyczne z zakresu wymienionych specjalności. Może być także przydatna studentom innych kierunków z obszaru nauk społecznych oraz praktykom – wychowawcom, pracownikom socjalnym, kuratorom sądowym.

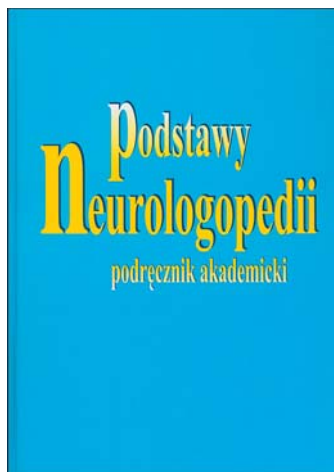
Kosowska-Rataj J. (red.), *Społeczność lokalna – kultura – edukacja*, 2005, format B5, 199 s., cena 16 zł



Książka poświęcona jest prof. Ludwikowi Kozołubowi w 70-lecie urodzin. Zaproszeni autorzy, z którymi współpracował profesor,

zapropozowali różnorodną tematykę swoich artykułów. Problematyka ta oscyluje wokół zagadnień takich jak: kulturowe aspekty procesów społecznych, region i społeczność lokalna oraz kultura i edukacja. Praca jest adresowana do pracowników naukowych, studentów i wszystkich tych, którzy są zainteresowani pedagogiką kultury i socjologią kultury

Gałkowski T., Szeląg E., Jastrzebowska G., *Podstawy neurologopedii*, 2005, format B5, 1061s. + 2 s. nieliczbowane, oprawa twarda, cena 90 zł



Pierwsze kompleksowe kompendium wiedzy z zakresu neuronauk: neurobiologii, neurolingwistyki, neuropsychologii, które umożliwiły powstanie i rozwój nowej specjalności logopedycznej – neurologopedii. Neurologopedia to dyscyplina silnie koncentrująca się na powiązaniu informacji uzyskanych na podstawie kompleksowych badań w obszarze wymienionych dyscyplin naukowych. W książce *Podstawy neurologopedii* zaprezentowano najnowsze osiągnięcia w wymienionych dziedzinach i wskazano sposoby ich

wykorzystania na gruncie logopedii (zarówno w praktyce, jak i dla celów badań naukowych).

Podręcznik *Podstawy neurologopedii* został napisany przez reprezentantów różnych dyscyplin naukowych, uznane autorytety w swoich dziedzinach. Jest adresowany do neurologopedów i surdologopedów, a także do studentów logopedii, psychologii, pedagogiki, polonistyki oraz do lekarzy specjalizujących się w takich dziedzinach jak neurologia, audiologia, foniatria i pediatria.

Przygotowała: **Lidia Działowska**

Ponadto ukazały się:

Dyskurs nr 2/2005. Czasopismo politologiczne, format B5, s. 180, cena 12 zł

Gawdzik A. (red.), *Nauki Techniczne 22, Inżynieria procesowa w ochronie środowiska*, format B5, 190 s., cena 16 zł

Gleń A., Gutorow J., Jokiel I., *Miasto. Przestrzeń, topos, człowiek*, 2005, format B5, 328 s., oprawa miękka, 328 s., cena zł 27 zł

Jasiński Z., Karcz E. (red.), *Pedagogika porównawcza. Konteksty teoretyczne i praktyczne*, format B5, 199 s., cena 16 zł

Obrączka Piotr, *Od Szymanowskiego do Ordona. Studia i szkice*, 2005, format A5, 289 s., cena 27 zł.

Stadniczeńko S. L., Gołkin-Hudała M. (red.), *Pochodzenie dziecka. Polskie regulacje prawne na tle innych ustawodawstw wybranych państw europejskich*, format A5, s. 121, cena 10 zł

Wujec Tadeusz, *Spektroskopowa diagnostyka plazmy łukowej i wyładowania barierowego oraz pomiar stałych atomowych*, format B5, 216 s., cena 20 zł

Pełna oferta Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego znajduje się na stronie internetowej wydawnictwa

www.wydawnictwo.uni.opole.pl

tam też działa księgarnia internetowa



10 marca br. w święto Uniwersytetu Opolskiego pisarz i scenarzysta **Jerzy Janicki** i językoznawca **prof. Jan Miodek** zostali uhonorowani tytułami doktora honoris causa Uniwersytetu Opolskiego.

Te dwie wielkie i tak medialne postaci (obaj doktorzy są laureatami telewizyjnych Super-Wiktorów) ściągnęły do auli Wydziału Teologicznego tłumy. Przybyli naukowcy, przedstawiciele środowisk artystycznych, uczniowie opolskich szkół, studenci, zwykli mieszkańcy Opola. No i fotoreporterzy, którzy z prawdziwym oddaniem uwieczniali uroczyste chwile oraz wzruszenie i radość na twarzach honorowych doktorów.

Fot. Tadeusz Parcej i Jerzy Mokrzycki.

